ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXVII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.

1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12½.

Druk ukończono d. 31 stycznia 1895 r.

PRETENSYE INDYWIDUALIZMU.

Wiele się dzisiaj mówi i pisze o prawach jednostki wśród ogółu, o indywidualizmie i jego znaczeniu zarówno w życiu, jak w piśmiennictwie. Nie jestto kwestya nowa, jak może niektórym się wydaje; ma owszem swoją już dosyć długą historyę.

Nie sięgając zbyt daleko, nie cofając się aż do wieków starożytnych, gdzie nietrudno byłoby znaleść przykłady walki jednostki w obronie swojéj odrębności w pojęciach i postępowaniu, dość będzie przypomnieć epokę romantyczną, a w niéj Byrona i jego naśladowców. Życie Byrona było świadomą siebie opozycyą względem narzucanych przez społeczeństwo form postępowania, a jego poezya wymownym protestem przeciwko więzom wszelkiego rodzaju i uwielbieniem takich jednostek, które pokłóciwszy się ze społeczeństwem umiały żyć w szczupłém kole według własnéj fantazyi. Geniusz poety potrafił narzucić ogółowi ukształconemu swoje uwielbienie dla osób i pomysłów, w których częstokroć istotnéj treści do zachwytu zgoła nie było, wycisnąwszy na nich cechę swego potężnego indywidualizmu. U naśladowców Byrona znajdowało się bardzo często wygórowanie aż do ostatecznego kresu tych znamiom wyniosłości, dumy, pogardy lub nienawiści dla społeczeństwa, jakiemi postaci wielkiego poety były naznaczone, a to wygórowanie, gdy zostało wypowiedziane przez mniejsze talenty, musiało wywołać krytykę, musiało doprowadzić do wykazania czczości mniemanych ideałów, lub też bezgranicznego samolubstwa w bohatérach, których kazano uwielbiać.

Z literatury przechodząc w życie, bajronizm wywoływał postaci niezrozumianych geniuszów i kobiét „zapoznanych", jak ich z francu-

ska nazywano. Po zachwytach, jakiemi ich darzono przez czas pewien, nastąpiła reakcya lekceważenia i wydrwiwania. Jaskrawo w owych czasach zaakcentowane przeciwieństwo między genialną rzeczywiście lub genialną we własném tylko mniemaniu jednostką, a ogółem „filisterskim” musiało następnie być zrównoważoném sprawiedliwszą, a chłodniejszą oceną tego stosunku, w którym jednostka chciała dla siebie wszelkich praw, nie poczuwając się wzamian do żadnego obowiązku. Zaczęto wykazywać, że jednostka wszelka tyle winna swemu otoczeniu, iż zaledwie drobną cząstkę jakąś ma właściwéj sobie oryginalności, która w wyjątkowych jedynie wypadkach przetworzyć się może na cechę wybitną, znamienną, wyróżniającą stanowczo jednostkę tę od szarego ogółu. Wyciągano stąd wniosek, że wynoszenie się nad ogół, drwienie z niego jest dowodem tylko pychy i zarozumiałości najczęściéj, nie zaś istotném i uprawnioném poczuciem i pojęciem swego wyjątkowego wśród społeczeństwa stanowiska.

Teorye naukowe przedstawiające setki wpływów na umysł każdego człowieka; analizy krytyczne wydobywające na jaw źródła najoryginalniejszych napozór natchnień poetów, tak zdawały się usuwać myśl o samodzielności jednostki, że w duszach nadwrażliwych i temperamentach niecierpliwych mogły wzniecić obawę, iżby indywidualność nie rozpłynęła się w oceanie społecznym jak drobna, ledwie dostrzegalna kropelka.

Z drugiéj strony zwyczaje towarzyskie, instynktem naśladowczym kierowane, narzucały jednostce nietylko sposób ubiérania się i zachowywania wśród ogółu, lecz także sposób myślenia i czucia, albo, mówiąc ściśléj, formy, w jakich uczucia i myśli objawiać się powinny.

Dążności społeczne wreszcie, wymagające poświęcenia swoich upodobań, a częstokroć i poglądów na rzecz dobra powszechnego i nakazujące nie wyodrębnianie się, lecz łączenie we wspólnéj pracy, zdawały się również nastawać na prawa rozwoju indywidualnego.

Obecnie zjawiła się, jako oddziaływanie przeciwko pochłaniającemu indywidualizm prądowi, powrotna fala subiektywizmu. Według krańcowych jego wyznawców, dla jednostki świadoméj siebie i wyrobionéj jedyném prawidłem postępowania pod jakimkolwiekbądź względem powinna być własna jaźń, usiłująca zrzucić z siebie wszelkie pęta, pozbyć się wszelkich wpływów, wydalić ze swego wnętrza wszystkie obce naleciałości, ażeby zajaśnieć w całéj prawdzie i szczerości, w całéj potędze i blasku. Moralném i niemoralném, dobrém i złém, piękném i brzydkiém, prawdą i fałszem dla takiéj jednostki

ma się stać to tylko, co ona sama, bez względu na wszelkie prawa, reguły i przepisy, za takie uzna, gdyż kierując się tém, co „przeciętnie” w społeczeństwie za moralność, dobro, piękno i prawdę uchodzi, naraża się jednostka uświadomiona na bolesne ze sobą samą starcia, ba, nawet na skrzywienie, „okaléczenie”, albo téż upodobnia się do całego szarego tłumu ze szkodą dla wielkiego celu udoskonalenia ludzkości, lub téż dla osobistego szczęścia. Nie wyrobiona jednostka do napół świadomego tłumu ma się stosować, lecz przeciwnie tłum brać powinien wzór i przykład postępowania z wyborowéj jednostki nie w tém znaczeniu, żeby ją miał ślepo naśladować, ale żeby dążył, jak ona, do wytworzenia wśród siebie jaknajwiększéj liczby samodzielnie myślących i działających indywidualności.

W takich i tym podobnych rozumowaniach wyróżnić potrzeba dwie, całkiem od siebie odmienne rzeczy, mające téż wartość odmienną, a mianowicie: nawoływanie do wytwarzania samodzielności w uczuciach, myślach i postępkach, powtóre zaś pełne zarozumiałości przekonanie, że się już tę samodzielność w sobie wyrobiło. Nawoływanie do samodzielności nietylko nie jest złem, ale owszem zasługuje na jaknajwiększe uznanie i upowszechnienie. Pedagogowie i publicyści wspólnie w tym kierunku działać powinni, ażeby wytworzyć jaknajwięcéj jednostek myślących, czujących i postępujących samoistnie, bo społeczeństwa, rozwijające się normalnie, ku udoskonaleniu, potrzebują nie małp i papug, ale obywateli oświeconych, rozumiejących swoje prawa i spełniających swoje obowiązki ze świadomością i głębokiém przeświadczeniem o ich znaczeniu i potrzebie.

Przeszkodą atoli najważniejszą w urzeczywistnieniu tego celu jest fałszywe pojęcie samodzielności, poddawane przez próżność, a podsycane przez zarozumiałość. Jak się często łudzimy w ocenie swego charakteru, biorąc np. upór za dzielność woli, tak jeszcze więcéj łudzimy się w ocenie naszych zdolności, biorąc mętne rojenia za genialne pomysły, paradoksy dowcipne za prawdy niewątpliwe, talent frazeologiczny za obfitość nowych pojęć i ich połączeń. Przeniknięci takiém złudzeniem, zaczynamy pomiatać wszystkiém i wszystkiemi, bo nam się wydaje, że my w jednéj godzinie potrafimy wygłosić więcéj świeżych, oryginalnych i doniosłych myśli, aniżeli pokolenie poprzednie wygłosiło ich przez całe życie swoje.

Nie tak łatwo zdobywa się dzisiaj samodzielność prawdziwą. Kto ma talent rzeczywisty, a chce w nim stanąć na stopniu doskonałości, ten musi poznać i to poznać dobrze, co i jak przed nim już zrobiono, ażeby nie powtarzał rzeczy dawno i może lepiéj już przed nim dokonanych. Jeżeli, zmierzywszy się z olbrzymami myśli lub fantazyi,

z całą sumiennością wobec siebie samego będzie jeszcze miał odwagę wierzyć, iż zrobi lepiéj, doskonaléj, niż oni, niech próbuje szczęścia, a wówczas może istotnie wywrze wpływ silny na swój czas i na swe otoczenie, może dorzucić jeden promyk więcéj do słońca wiedzy lub sztuki. Atoli pogardliwie traktować wszystko, co ludzkość w rozwoju swoim na polu myśli i twórczości zdobyła, wierzyć, iż tylko siłą indywidualnego talentu — może całkiem urojonego — stanie się odrazu na szczytach niedościgłych, na których nie było jeszcze stopy ludzkiéj, — to tak bezbrzeżna zarozumiałość, że jéj u człowieka ukształconego i choć trochę rozsądnego pojąć niepodobna, a ze stanowiska pedagogicznego i społecznego potępić ją stanowczo wypada.

Po takiém dopiéro wyróżnieniu szychu i złota, samodzielności i zarozumiałości przyznać będzie można, że jednostki prawdziwie genialne, jako reformatorowie religii, twórcy nowych prądów naukowych, literackich i artystycznych, popychały tłum ludzki naprzód i odegrały role wzorów, wedle których kształciły się pokolenia całe. Ale i w tym nawet względzie potrzeba zaznaczyć pewne okoliczności, które wyświetlić mogą znaczenie mas i ich stosunek do geniuszów. Powtórzę tu myśli, które przed 22 laty w artykule „Ganiusze i masy" drukowanym w „Niwie" r. 1872) wypowiedziałem, starając się sformułować przekonania i dążności ówczesnego kółka postępowców.

Zarówno do wydania geniuszów, jak i do ich przyjęcia, potrzebny jest nieodzownie pewien stopień ukształcenia umysłowego mas; tak, że wartość i doniosłość genialnego człowieka zależą od rodzaju kultury narodu, wśród którego się on pojawia. Innym będzie typ genialnéj jednostki wśród plemienia surowego jeszcze zupełnie, innym wśród ludu napół ucywilizowanego, innym wśród świetnego rozwoju cywilizacyi. Zdarzają się wypadki, że w narodzie jakimś zjawi się umysł, przewyższający bystrością i pomysłowością wszystkie spółczesne sobie, wygłosi jakąś myśl nadzwyczajnéj wagi w rozwoju pojęć ludzkich, a jednak nie znajduje rozgłosu wśród swego narodu, bo ten nie posiada dostatecznéj liczby średnich talentów, przygotowanych należycie do zrozumienia i dalszego rozwinięcia owéj myśli. Wówczas wędruje ona do innych narodów lepiéj do ich przyjęcia przysposobionych, tam się udoskonala i dopiéro po latach wielu wraca do rodzinnego swego miejsca, już jako prawda niewątpliwa. Tak się u nas stało z teoryą Kopernika, która się u nas zrodziła, ale wyrosła i zmężniała w Niemczech i Anglii.

Geniusze pojawiają się rzadko wśród ludzkości. Nie są one słońcami, ani gwiazdami stałemi, któreby nam przyświécały ciągle, są to meteory, jaskrawym blaskiem przerzynające atmosferę i niknące

niebawem. Wprawdzie nie można porównywać wpływu tych dwu zjawisk; meteory pozostawiają po sobie resztki przydatne jedynie dla badaczów naukowych, gdy tymczasem geniusze, jeżeli tylko działają wśród odpowiednich warunków, wpływ przeważny na masy wywiérają, — ale czas ich trwania rzeczywistego jest prawie jednakowy. Po blasku oślepiającym następuje cisza — niekiedy szare chmury pokrywają niebo, poprzez które światło gwiazd, wiernych towarzyszów ziemi, przedostawać się musi. A praca ani na chwilę ustać nie może — praca ciągła, mozolna, wywalczająca zabezpieczenie bytu materyalnego i duchowego nieustannemi trudy... Do téj pracy zaprzęgnąć się oczywiście muszą owe masy, które przygotowują geniuszów i przyjmują ich z otwartemi rękoma, nie zważając na ponure cienie nocy lub na piekące promienie słoneczne. One uprawiają grunt pod przyszły zasiew i potem swoim skrapiają ziemię, z któréj kiedyś owoce łatwiéj przyjdzie genialnéj jednostce zbiérać; one odrzucają z drogi ciężkie kamienie, któreby uroczystemu pochodowi wielkich ludzi przeszkadzać mogły; one przynoszą cegły na gmach wiedzy i cywilizacyi i budują podwaliny, ażeby pod przewodnictwem zdolnych architektów wznieść piętra i szczyt wspaniały... Trud i mozół jest po większéj części udziałem biédnych, nieraz lekceważonych, a zazwyczaj fałszywie ocenianych. Kto rozumié znaczenie takiéj pracy, stanowiącéj podstawy całéj cywilizacyi, ten nie będzie pogardzał mirmidońską pracą, trudem milionów, nie będzie płakał krokodylemi łzami nad powszechnym upadkiem oryginalności; nie będzie się apatycznie usuwał od jakiegokolwiek przedsięwzięcia dlatego, że nie widzi dla siebie po jéj ukończeniu wieńca chwały w Panteonie wielkich mężów.

Zasadnicza różnica pomiędzy prawdziwymi geniuszami a pretensyonalną rzeszą geniuszków, wrzeszczących o swojéj potędze, polega na skromności. Geniusz nie prawi zazwyczaj o swoich zaletach, nie lęka się trwożnie stłumienia swojéj indywidualności, ale siłą swoją ciągnie za sobą masy, natchnieniem porywa je na wyżyny, czynem wykazuje swą wartość. Inaczéj się dzieje z tymi, którzy pod jakimkolwiek wpływem poczuwszy w sobie pewną zdolność, wydymają ją we własném przekonaniu do rozmiarów olbrzymich, a nie znajdując potwierdzenia swoich nadmiernych pretensyi w uznaniu ludzi postronnych, mszczą się na tych kretynach, co wielkiego talentu zrozumieć nie są zdolni, odmawiając im zmysłu do poczucia piękna, prawdy i sprawiedliwości, chrzcząc ich wszelkiemi pogardliwemi imionami.

Dobrze jest niewątpliwie i potrzeba nawet koniecznie strzedz swojéj samoistności, ale nie należy odmawiać tegoż samego prawa in-

nym także, choćbyśmy ich samoistność przezwali bierną i naśladowczą. Życie społeczne jest nietylko bojowaniem, jak je scharakteryzowała księga Joba, lecz jest także szeregiem ustępstw wzajemnych. Gdyby można było pomyśléć sobie istnienie ludzi pojedyńczych, w żadne nie wiążących się grupy od rodziny poczynając, wówczas tylko mogłaby być mowa o zachowaniu całkowitéj i niczém nie skrępowanéj indywidualności. Ponieważ jednak takiéj formy bytu jednostki ludzkiéj pomyśléć nawet niepodobna, bo już na najniższych szczeblach rozwoju spotykamy uspołecznienie, musimy się pogodzić z tą koniecznością przyrodzoną, iż nam z siebie jako jednostkom wciąż trzeba robić pewne ofiary na rzecz naszych spółbliźnich, którzy znów ze swéj strony tak samo względem nas postępować muszą. Jakie są granice tych ofiar, gdzie się kończy prawo jednostki, lub odwrotnie, gdzie się rozpoczyna prawo ogółu, do którego ona należy, to w każdym wypadku oddzielnie rozstrzygać należy, — wskazówek zaś dostarczają: religia, etyka, nauka, prawodawstwo, zwyczaje towarzyskie i tym podobne wytwory życia zbiorowego. Niektóre w nich przepisy tradycyjnie przekazywane mogą być złe, mogą nie odpowiadać nowo wytworzonym stosunkom; wówczas powstają projekty reformy, które walczą przeciwko zastarzałéj rutynie; zwycięstwo projektów rozumnych w téj walce zależy od liczby rozwiniętych duchowo jednostek, które je popiérają. Gdyby wszelako każde indywiduum pragnęło przeprowadzić swój osobisty projekt reformy, toby, jak wiadomo choćby z dziejów rozbicia się stronnictw w życiu parlamentarném, żadna reforma nie przyszła do skutku, bo projekty poszczególne zwalczyłyby siebie wzajem, a rutyna wyszłaby z tryumfem.

W sferze myślenia abstrakcyjnego granice swobody indywidualnéj niewątpliwie muszą być jaknajrozleglejsze, gdyż jedynie przez wypowiedzenie najróżnorodniejszych poglądów i mniemań możemy poznać usposobienie ogółu ukształconego, a więc z natury rzeczy uzdolnionego do kierowania sprawami powszechnemi. I rzeczywiście historya nam wskazuje, że lubo i w téj sferze nie obyło się bez prześladowania indywiduów wygłaszających opinie sprzeczne z zapatrywaniami tradycyjnemi; to przecież stosunkowo najwięcéj jeszcze było w niéj sposobności do stwierdzenia praw indywidualizmu. Upominać się o nie u ogółu potrzeba zawsze i ciągle.

Inaczéj rzecz się przedstawia, gdy przechodzimy do sfery działania, w jakimkolwiek zakresie — publicystycznym, artystycznym czy etycznym. Ponieważ chodzi tu nie o interesa jednostki, lecz o sprawy ogólne, muszą zatém być uwzględnione prawa indywidualne i prawa zbiorowe. Stąd to wytworzyły się stronnictwa i szkoły, grupujące

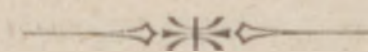
się w pewnym określonym celu lub przynajmniéj około pewnego hasła. Indywidualizm czuje się przez to pokrzywdzonym i pragnie zaznaczyć potrzebę uwzględnienia i jego głosu. Dążność ta wywołała w życiu parlamentarném t. zw. grupę niezawisłych (dzikich), a w życiu artystyczném szkoły czy grupy, zmuszone jednakże, gdy chodzi o praktyczne przeprowadzenie jakiéjś sprawy, łączyć się z innemi grupami, gdyż jednostka odosobniona nic prawie zdziałać nie potrafi tam, gdzie nie idzie o sferę czysto indywidualnéj czynności.

Indywidualista zatém, choćby najbardziéj krańcowy, jeśli nie chce pozostać własnym tylko słuchaczem swoim, lecz pragnie przemawiać jeżeli nie do ogółu, jak się zwykło mówić, to do pewnéj grupy społecznéj, musi baczyć na stopień ukształcenia, uczucia, poglądy, przekonania téj grupy, a nawet nieraz musi się liczyć z jéj uprzedzeniami i przesądami. Indywidualizm czysty tylko w dziedzinie indywidualnego myślenia i czucia może być konsekwentnie przeprowadzony; w zetknięciu się z życiem zbiorowém, musi koniecznie prawa tego życia zbiorowego uwzględnić.

P. Ch.



Z seryi trzeciéj — sonety.



I. Hala.

Cudna złota jutrzenko wśród mroków granitu!
Senna zatoko pośród spiętrzonych fal cieśni!
Jasny kwiecie wśród lasu, cicha, słodka pieśni
Wśród szturmu trąb grzmiącego pod sklepy błękitu!

O, halo górska! Oczy omdlały z zachwytu — —
Twój widok roześpiewi duszę i roześni
I marzyć na twém łonie zieloném bezkreśniéj,
Niż tam, na czole skalnéj piramidy szczytu.

Tu, oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
I ku białym obłokom na błękitném niebie,
Można świata zapomnieć i zapomnieć siebie;

Utopić duszę całą w wód i lasów szumie
I w upajającéj bezkreśnéj zadumie
Chcieć śnić do życia końca i po życia końca.

II. Noc w Kościeliskach.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
Idą z gór lasem zrosłych, z uplazów i jarów
Tajemnicze milczenia w mgławicach oparów
Wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk

Głucho warczą strumienie po głazach swych ścielisk,
Las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
Padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni parów,
Miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną światłością powlekły się ściany
Nagich, skrzesanych turni; wielka cieniu rzeka
Ogarnia je i niesie w mroku oceany.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się smreka,
Rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błyskawice
I ostrza świetlnych kolców wbił w nieba ciemnicę.

III. Rysy.

Ciemno. W powietrzu wilgoć. W Rysach potok huczy,
Staw uderza o brzegi, bulkota i pluszcze,
Wiatr błądzi przez powietrzne ponad stawem puszcze
I wyjąc po upłazach i turniach się włóczy.

Czasem w ciemni blask zalśni metaliczny, kruczy
Na wodzie, którą lekki wiatr marszczy i muszcze;
Zaczernią się na śniegu kosodrzewu kuszcze,
Lub skała się w cień martwy i twardy obłóczy.

Ciemno—w tém gdzieś w przepastnéj, nieprzejrzanéj dali
Błysnęło—czy to spadła na brzegi odmętu
Gwiazda, o promienistym blasku dyamentu?

Już błysła druga, trzecia, już dziesięć się pali—
Rzekłbyś, że się gwiazdami podnóże skał złoci—
Księżyc wszedł z za gór mgławy w powietrznéj wilgoci.

IV. Ku szczytom.

Wyżéj! kędy wiatr gwiżdże i po turniach dzwoni,
Tam, kędy obłok oparł o głaz białe stopy
I złotych blasków słońca wziąwszy na grzbiet snopy
Ku błękitnym niebiosom wzniósł purpurę skroni!

Wyżéj! Gdzie krzywoszpony ryś w chytréj pogoni
Ściga dzikich kóz szereg błyskawicostopy,
Gdzie się z urwisk śniegowe zsypują roztopy
Z hukiem na zżółkłe trawy o uwiędłéj woni!

Wyżéj!.. Szczyt—powódź wierchów —Jak pusto... W za-
Wyżynie coś się bieli u skalnéj krawędzi— [wrotnéj
Ha! motyl, biały motyl, wiatr go tutaj pędzi...

Pod nim ciemna toń stawu... leci ku głębinie,
Zmęczył się, spada niżéj, niżéj—ha! już ginie—
Samotny wbiegł pod słońce i zginął samotny.

V. Orzeł.

Spłynął wolno przez ciche powietrzne ogromy,
Usiadł na skale, złożył skrzydła ciemno-płowe,
Pierś odął, dziób podnosząc wcisnął w barki głowę
I siedział zadumany, wielki, nieruchomy.

Patrzył w dół, świat mu wokrąg legł u stóp widomy,
Patrzył, a jego oczy w skrach błyskawicowe
Treść całéj orléj duszy miały i wymowę—
Patrzył spokojny, zimny na świata poziomy.

Tam—mógłby wulkan ziemię w nic obrócić całą,
Jemu-by jedno pióro w skrzydłach nie zadrgało—
I wiesz ty, wichroskrzydły, podsłoneczny ptaku,

Siedzący tam bez ruchu na téj skale twardéj,
Czegoć więcéj zazdroszczę, niż twych lotów szlaku?
Oto prawa do zimnéj, spokojnéj pogardy!

VI. Zbrodnie.

Na rozhukanych koniach wśród zamieci,
W wirze kurzawy kłębów, chrzęstu, łomu,
Wśród huraganów ryku, grzmotów, gromu,
Orszak fatalnych amazonek leci.

Lecą przez łany i stepy stuleci,
Przez pieśni zwycięstw, przez jęki pogromu,
Pośród wrzaw pychy, pośród milczeń sromu,
Przez zwały złomisk, przez ogrody kwieci.

Lecą w purpurach i szmatach u ramion,
Trzymając w rękach lilie i pochodnie,
Krwią, łzami, błotem szlak ich dróg poplamion.

Jedne urocze, jak hurysy wschodnie,
Inne, jak furye, pełne wstrętnych znamion,
Na rozhukanych koniach lecą Zbrodnie.

VII. Sonet.

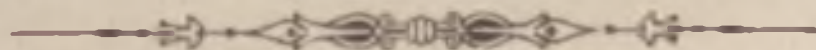
Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
W rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe.

Lubię tę dźwięki pełne, szerokie, bronzowe,
Brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
A w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
Jak mgły na jedném niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
Olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie;
Lubię to górne, wązkie, naskalne wydroże,

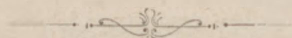
Skąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
Lubię tę gwiazdę małą, co świeci, jak zorze,
Dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów szumie.

Kazimierz Tetmajer.



PSYCHOLOGIA PIERWOTNIAKÓW

I ZADANIA PSYCHOLOGICZNE.



Psychologia, jako nauka, jest wytworem naszego wieku; jéj istnienie datuje zaledwie od końca szóstego dziesiątka. Dziwném może wydaje się to twierdzenie wobec setek i tysięcy traktatów filozoficznych o duszy, wobec wielowiekowych już wysiłków potężnych nieraz umysłów, jak Arystotelesa, Platona, Spinozy, Leibniza, Hegla i t. p. na polu nauki o duchowych objawach; lecz nie mniéj jest ono prawdziwém. Nie licząc urywkowych, choć słusznych uwag, tam i owdzie spotykanych, pomińmy trafne nieraz obserwacye, luźnie lub w pewnym porządku podane — o „władzach" duszy, a otrzymamy w rezultacie tylko—systemat filozoficzny, ten lub ów. Psychologia dla saméj siebie nie istniała; potrzebna była filozofowi dla wypełnienia pewnéj cząstki całego systematu. Naprzykład: Spinoza, rozważający duszę jako cząstkę wszechprzenikającego ducha, stworzył z psychologii całokształt odmian myślącéj substancyi; monadologia Leibniza, dla którego dusza, owa wyższéj kategoryi monada (coś w rodzaju istoty duchowéj żyjącéj w istocie cielesnéj), była tylko przykładem dla potwierdzenia idei celowości panującéj w naturze; Hegel z nauki o duszy stworzył traktat filozoficzny o „stawaniach się" ducha — idei, którą również starał się zilustrować faktami z historyi sztuki, religii i filozofii. — To samo można powiedzićć o materyalistach z końca zeszłego stulecia i początku obecnego: u nich znów traktaty o duszy są

obrazem czynności materyi; i tu nauka o duszy jest tylko pewnym przedziałem w ogólnym gmachu filozoficznym.

Nic téż dziwnego, że psychologia filozofów, obracając się w zaczarowaném kole tego lub owego systematu filozoficznego, nie przekroczyła progu *artis philosophandi*, czyli ssania różnych pomysłów z własnego palca, i że do żadnych rezultatów pozytywnych, nawet o istocie ducha, tego kamienia węgielnego filozofii psychologicznéj, nie doszli. Również nic dziwnego, że kwestye psychologiczne powtarzały się u wszystkich prawie filozofów z systematyczną stałością, jedne i te same, w bardzo szczupłym zakresie. „Wyniki" jednych i drugich, idealistów i materyalistów, można było przyjąć zaledwie na wiarę, *in verba magistri*. Dlaczego? Bo metoda racyonalistyczna nie nadaje się do badania i do ugruntowania wyników badań: Sposobem filozoficznym zanalizowany przedmiot psychologii może się tylko przedstawić, jako kwestya istoty ducha, jego kilku władz, i pokrewieństwa z pierwiastkiem metafizycznym — „materyą": stokrotne formy (nie mówiąc już o w a r u n k a c h) objawów duchowych takiéj psychologii nie obchodzą ich wcale, bawiący się w psychologię filozof nie widzi po za lustrem filozoficznem, w którém tylko swoją własną głowę ogląda. Umysł zaś ludzki, a raczéj czytelnik lub słuchacz tego lub owego wykładu pomysłów filozoficzno-psychologicznych nie zadawalnia się zaręczeniem autora swoją głęboką wiarą w wyłożone poglądy: każdy chce dowodów namacalnych, niezbitych jak fakty; sama analiza filozoficzna i usystematyzowanie wniosków, mniéj lub więcéj, dowcipnie pomyślane, nie jest jeszcze faktem lub prawem, czyli obiektywnym fundamentem naukowéj wiary. Obserwacya obiektywna i doświadczenie były obce psychologii dedukcyjnéj; wystarczył jéj środek, bardzo wprawdzie wygodny, lecz kruchy: wewnętrzna kontemplacya, a potém dedukcya filozoficzna niepewna, rozumie się, jak sam punkt wyjścia, i przypadkowa, jak filozoficzne usposobienie jéj autora.

Nie jest naszém zadaniem tłómaczyć przyczyny tego stadyum psychologii; musimy jednak zwrócić uwagę na związek, jaki zachodził między psychologią filozoficzną a naukami przyrodniczemi (biologią), pod względem sposobu uogólnienia faktów w ostatnich, a szczupłych obserwacyi subiektywnych—w pierwszéj.

Przedział ustanowiony między psychologią filozoficzną a naukami przyrodniczemi był pozorny: pierwsza miała być abstrakcyjną, metafizyczną „nauką", posiłkującą się metodą obserwacyi wewnętrznéj i dedukcyi filozoficznéj; drugie — nauką obiektywną, badającą fakty i uogólniające je w teorye. Otóż, przy bliższém zestawieniu tych tak różnych przedmiotem i metodami specyalnemi dziedzin myśli ludzkiéj,

przekonywamy się, że różnice są tu tylko specyalne, drobne, w zasadzie jednak, w metodzie, t. j. w sposobie wiarogodnego ugruntowania wniosków lub idei — schodzą się na jednym punkcie. Gdy zaś uprzytomnimy sobie czynniki historyczne, znajdziemy jeszcze bliższe pokrewieństwo między niemi.

Nauki przyrodnicze, z Geoffroy St.-Hilaire'em, Cuvier'em, Owen'em, Agassis'em i t. d. na czele, pomimo swojéj metody porównawczéj w badaniu, uogólnienia czerpały z ogólnych koncepcyi filozoficznych; jedni demonstrowali idee Arystotelesa (Cuvier — celowość organów i wogóle wszechstworzenia), inni — Leibniz'a (G. St. Hilaire — jedność planu organizacyi, Goethe — metamorfozę, ciągłość i harmonię wieczną) i t. d. Porównywano i zbiérano fakty z dziedziny przyrodniczéj, tylko w tym celu, by zapewnić tryumf téj lub owéj idei filozoficznéj. Wszystkie prawa nie były właściwie prawami, a teorye były tylko ładną fantazyą: Agassis nawet typowo się wyraził, że nauki przyrodnicze powinny być tylko szeregiem obrazów myśli boskich (co w swoim Systemacie Natury starał się urzeczywistnić). Psychologia filozoficzna tak samo swoje zadanie spełnia: zbiéra obserwacye wewnętrzne, subiektywne, grupuje w odpowiednie „władze" i — śpieszy galopem ku szczytom uogólnienia, naprzód już wytkniętego przez oryginalnych poetów natury: Arystotelesa, Spinozę, Leibniz'a. Słowem, widzimy brak metody uogólniania w tych dziedzinach, gdzie myśl ludzka, biorąc za podstawę życie i duszę, chciała dojść do pozytywnych rezultatów w tłómaczeniu tajemnic, wyzierających z po za faktów spostrzeganych. Tu i tam powoływano się na działanie zasady, w gruncie rzeczy—tajemniczéj, metafizycznéj, jak np. jedność planu organizacyi, harmonia wieczna,—celowość, wszechobecność ducha i t. d.; tu i tam naginano spostrzeżenia subiektywne i rezultaty badań obiektywnych do ogólników, zamiast odwrotnie. Tu i tam, dlatego też istniała ta sama ciasnota: zasada, idea przewodnia krępowała badania, hamowala je nawet i uszczuplała przez to pole kwestyi i uogólnień.

Lecz europejczyk ze strefy umiarkowanéj nie mógł wiecznie siedzieć na wschodnim dywanie i marzyć, jak filozofowie w Grecyi, lub Lukrecyusz poeta-filozof w Rzymie, o zagadnieniach natury. Zmysł badawczy i praktyczność nie pozwoliły myśli ludzkiéj ciągle w obłokach bujać; potrzeba faktów i ciągłe hamletowskie niedowierzanie ogólnikom, oraz wszystkiemu, co się kontroli zmysłów wymyka lub wątpliwość pozostawia w podejrzliwym, a prawdy absolutnéj żądnym umyśle, ściągnęły rozbujałą fantazyę na grunt realny, i tu kazały szukać, badać, wnioskować (nie zaś jak dawniéj — luźnie uogólniać).

Potrzeba namacalnego dowiedzenia się prawdy ukrytéj po za faktami była bodźcem do postępu technicznego w badaniach, które znowu zrodziły konieczność ścisłego uogólnienia. Już nieraz, w końcu zeszłego stulecia, odzywały się głosy opozycyjne wobec tryumfalnego pochodu abstrakcyi i metody dedukcyjnego uogólnienia; opozycya ta jednak była słaba, choć trwała przeszło dwa wieki: w filozofii — od Bakona do Comte'a, w biologii — od Buffona do Cuviera. Już Bakon się domagał badania nie fantazyi, praw nie abstrakcyi, doświadczenia (a za tém indukcyi) nie zaś rozumowania czystego; lecz nikt z jego współczesników nie zrozumiał tego *Organum novum*; Buffon oponował przeciw przedwczesnemu uogólnianiu, przeciw dowolnym klasyfikacyom: i on żądał badania. Lecz umysł ludzki powoli się tylko przekonywał o potrzebie obiektywnego traktowania rzeczy: filozofia metafizyczna (chrześciańska), od wieków panująca w przekonaniach i poglądach na naturę, zbyt głęboko zapuściła korzenie w mózgach ludzkich, by miała ustąpić słusznym nawoływaniom natchnionych proroków zdrowego rozsądku. Dopiéro mógł nastąpić tryumf badania i wnioskowania naukowego, gdy z jednéj strony filozofia metafizyczna, dobiegłszy do szczytów abstrakcyi, nie wiedziała gdzie daléj pójść: znów się na ziemię spuścić, czy w pierwotnym kierunku do nieba się wznieść i tam nareszcie zniknąć z przed oczu rzeczywistości (Absolut rozumowy Kanta, przerobiony konsekwentnie przez Fichtego na absolut jaźni — negujący, ni mniéj, ni więcéj, jak cały świat zjawisk, i z innego punktu oświetlony przez Hegla, jako fenomenizm ducha; rozpaczliwa filozofia Schopenhauera); z drugiéj zaś strony, nauki ścisłe i przyrodnicze, świat cały objąwszy swym wzrokiem badawczym, aż do tych krańców, gdzie tylko ślepy acz domyślny metafizyk coś dojrzéć potrafi, oświetliła blaskiem nauki milionowe zakątki, wyciągnęła na widok milionowe fakty, posiłkując się przyrządami, obserwacyami, opisami, rozumowaniem koniecznem (paleontologia — Cuvier, geologia — Lyell, anatomia — Bichat, fizyologia — Helmholtz, Schiff, Du Bois-Reymond, embryologia—von Baez i t. d.).

Filozofia, czyli uogólniająca myśl ludzka, widząc olbrzymie rezultaty otrzymane w stosunkowo krótkim czasie przez przyrodników metodą porównawczą lub doświadczalną, wstąpiła nareszcie na drogę zwycięskiego pozytywizmu, ze swoim prorokiem Comtem na czele, prowadzona z różnemi ostrożnościami przez filozofów angielskich Hartleya, Milla, H. Spencera i t. d. To był skutek wpływu wzmagających się z każdą chwilą badań przyrodniczych; lecz nietylko imponujący zasób faktów i ich różnorodność trzeba tu przyjąć pod uwagę: pierwszorzędną rolę w tym przewrocie pojęć musimy przypisać udo-

skonalonéj lub udoskonalającéj się metodzie badań i poszukiwań. Poszukiwanie przyrodnicze, odrzuciwszy kwestye metafizyczne, zaczęło przy pomocy różnych środków pomocniczych, wyciągać wnioski z faktów, racyonalnie zestawionych i porównywanych na podstawie analogii i homologii, łącząc w pewne grupy analogi i homologi, a oddzielając niepodobne pod względem budowy lub funkcyi; prócz klasyfikowania przyrodnicy zaczęli szukać praw—co jest główną zasługą Darwina, który z potęgą tytana dał pierwszy przykład utwierdzenia uogólnień biologicznych metodą indukcyjną, polegającą na zbliżaniu podobieństw (i odwrotnie) w miarę możności, czyli uogólnianiu w miarę potrzeby (tylko dzięki téj metodzie nie uległ losowi Lamarka, a zwyciężył zatwardziałych metafizyków, lub zbudził wielkie zamieszanie w szeregach—upartych). Filozofowie angielscy, poparci wpływem pozytywizmu Comte'a i nauk przyrodniczych, przemówili do świata zrozumiałym językiem i zapragnęli również duszę badać tak, jak przyrodnik rodzaj zwierzęcy, rośliny — metodą możliwie ścisłą, by módz, jak przyrodnicy, z faktów uzasadnione wnioski wyciągnąć i w prawa je grupować.

Również i niemiecka filozofia uległa rosnącéj potędze naukowéj indukcyi biologii; za przejściową fazę do pozytywizmu uważać możemy—filozofię natury, koślawą próbę zbudowania świata z niczego, z niezrozumiałych pierwiastków ja i nie-ja, absolutu czynnego i biernego, z „eteru", z substancyi tajemniczéj (Schelling). Pomimo to jest ona pierwszym krokiem ku ujęciu filozofującéj myśli w karby naukowe, ścisłe przy pomocy nauk ścisłych, polegającéj na sprowadzeniu zjawisk złożonych do ich pierwiastków — i odwrotnie, na utworzeniu z kombinacyi tych ostatnich — całości złożonéj. Schodząc z Olimpu na grunt, filozofia niemiecka stanęła nareszcie na ziemi, choć niepewną nogą.

W pierwszéj połowie obecnego stulecia, w Niemczech, znać było wysiłki filozofów w celu stworzenia racyonalnéj nauki o duszy. Herbart jest w tym względzie inicyatorem. Lecz dziecię XVIII-go wieku, przesiąknięty jeszcze był racyonalizmem, choć ogłosił swój Podręcznik psychologii, jako nauki ścisłéj w czwartym dziesiątku lat; zresztą chwila ta, 1839, nie była jeszcze decydującą nawet w historyi metody badania i uogólnienia nauk przyrodniczych.

Na wzór wszystkich nauk, rodzących się wówczas: fizyologii, embryologii i t. d., których przedmiotem badania jest człowiek, Herbart również i psychologię człowieka poddał ściśléj analizie. Lecz uczynił to nie sposobem przyrodników i lekarzy, jeno filozofa z epoki metafizyków, przekładających rozcinanie rozumowym mieczem wę-

złów gordyjskich nad obserwacyę, a témbardziéj doświadczenie. Choć doniosłość ostatnich dwu środków nie była tajemnicą dla Herbarta, jednak, zdaniem jego, obserwacya i doświadczenie nie wszędzie są możliwe, a braki powinna zapełnić matematyka, wyliczanie. Zastosowanie metody matematycznéj Herbart uważał za możliwe na téj zasadzie, że różne stany duchowe (pomijając ich jakość niezbadaną) mogą być porównywane między sobą, jako ilości; odrzuciwszy jakości, pozostają jednak ilości do usymbolizowania stanów duchowych: to są wielkości, które można powiązać w formuły matematyczne. Dosyć tylko przy pomocy pewnika wymierzyć różne dane psychologiczne, które mogą zostać sformułowane w szeregu określonych twierdzeń. Np. przyjąwszy za pewnik (axiomat, jak w geometryi: „najkrótsza droga między dwoma punktami jest linia prosta") antagonizm różnych stanów, dążących do wzajemnego unicestwienia, Herbart określa dany stan duchowy: jeśli A i B są dwoma ściérającemi się „wyobrażeniami" (*Vorstellung*, jednostki duchowe, które w stosunkach wzajemnych, podług H., tworzą: uczucie, wolę i rozum), a ich ilości [1]) odnośne m i n, to wynikające wyobrażenie, czyli nowy stan (dany) przedstawia się graficznie: $A : B = m : n$, czyli wielkość $^m/_n = a$, jest wielkością, symbolem szukanym. Nie będziemy się wdawali w szczegóły; wykażmy, gdzie błąd.

Popierwsze: zasadniczy pewnik Herbarta, że wszystkie stany duchowe pochodzą tylko ze wzajemnego a różnego stosunku jednego rodzaju pierwiastków duchowych — wyobrażeń (*Vorstellungen* — wytwór rozumowy każdego wysiłku naszego jestestwa do zachowania siebie wobec otaczających zjawisk), nie jest pewnikiem, lecz hypotezą Herbarta, przytém bardzo wątpliwą. — Podrugie: samo wyliczanie Herbarta nie ma podstawy racyonalnéj: np. wielkość $^m/_n$ określająca stan $A : B$, co właściwie ma znaczyć? Niewiadomo, bo m zostało podzielone przez n bezpodstawnie; niewiadomo, czy nowy stan określonym być powinien przez $m : n$, czy przez $(m—n)$.—Potrzecie: błąd logiczny: określenie stanu $A : B$ przez ilość $^m/_n$ nie jest możliwe: 1) Stosunek m do n równa się określonéj jednéj ilości, np. a; tymczasem nowy stan $^A/_B$ nie może być usymbolizowanym przez formę a, bo podług Herbarta, każdy stan duchowy — to tylko stosunek dwu wyobrażeń A i B; nowoutworzona ilość a (z m i n) potrzebowałaby jednak swego równoważnika duchowego. 2) Ilość $^m/_n = a$ powinniśmy módz zmierzyć, sprawdzić doświadczalnie (jestto zasada nauk ścisłych, na których

[1]) U Herbarta „ilości" są to jakieś liczby pitagorejskie, nic realnego nie mające za podstawę.

Herbart chciał wzorować swoją psychologię); tymczasem do matematycznego określenia Herbart ucieka się wtedy, gdy obserwacya i doświadczenie wydają mu się niemożliwemi. Poczwarte: metodą czystéj metafizyki można dowieść fałszywych twierdzeń, jak to Herbart nieraz czynił: bo niewiadomo, czy stany duchowe zmieniają się, jak ilości — wielkości.

Metoda ta okazała się złą dlatego, że jest czysto rozumową: narzuca dosyć dowolnie zjawiskom naturalnym formy matematyczne, które ich ani tłómaczą, ani charakteryzują. Daléj, nie była metodą badania, a takiéj właśnie szukali uczeni psycholodzy: za pomocą metody matematycznéj można tu tylko dowodzić (co zresztą było prawie jedyném zadaniem Herbarta: stawiał twierdzenie i dowodził go kalkulowaniem). Na to można sobie pozwolić, gdy wszystkie dane, w grę rachunkową wchodzące, posiadają ściśle określony współwymierny charakter. Herbart nie domyśla się jeszcze tego pierwiastka, jaki psychofizycy usilują brać pod uwagę przy określaniu prawem stosunku między różnemi zjawiskami psychicznemi wzajemnie i między niemi a światem zewnętrznym — energii. Stan duchowy jest jeszcze u Herbarta czémś nieokréśloném; wprawdzie „wyobrażenie" jest u niego wyrazem wysiłku, lecz wysiłek ten jest niejasno pojętym, jak i „wyobrażenie". Zastosowanie więc przez Herbarta matematyki do psychologii nie było jeszcze ówcześnie możliwém, i nie dało rozwiązania kwestyi założenia naukowego fundamentu pod przyszły gmach psychologii, jako nauki ścisłéj.

Pomimo że Herbart nie dał nauce o duszy metody, któraby pozwoliła się jéj ukonstytuować, usiłowania jego okazały swój wpływ w taki sposób, że przekonały psychologów, jakich sposobów nie trzeba używać. Wpływ ten okazał się największy w Anglii, gdzie filozofowie z dawien dawna (od Hume'a) usiłowali duszę rozłożyć na pierwiastki naturalne — na wrażenia. Przykład Herbarta posłużył Spencerowi, Bainowi, Millowi i t. d. na dobre, przekonali się bowiem, że zaczynać trzeba — nie od pierwiastków rozumowych, lecz od pierwotniejszych — czuciowych. Gdy Herbart wykuwał na swojém kowadle psychologię z pierwiastków nieuchwytnych — „wyobrażeń", psycholodzy angielscy, wogóle — bardzo praktyczni ludzie, obdarzeni potrzebą obserwowania, porwani nowém hasłem badania faktów w naukach przyrodniczych, uciekli się pod skrzydła nauk tych, biologii i fizyologii, by zrozumiaiéj i prościéj tego ducha ludzkiego przedstawić. Była to w psychologii reakcya przeciw dowolności w uogólnianiu i sposobie badania, podobna do téj, jaka zapanowała na polu nauk przyrodniczych po zwycięstwie „szkoły faktów" i metody koniecznego uogólnia-

nia — w osobie Cuvier'a, odniesionėm nad kierunkiem forsownego uogólniania—reprezentowanym przez G. St. Hilaire'a.

Prócz wątpliwych rezultatów, otrzymanych metodą Herbarta, miały na psychologię angielską wpływ badania przyrodników i lekarzy, które prowadziły do przyjęcia dwóch bardzo ważnych wniosków: że objawy duchowe są funkcyą organiczną i że duch ludzki jest wytworem stopniowego rozwoju organicznego. Te dwa pojęcia stały się kamieniem węgielnym do utworzenia metody fizyologicznėj, usiłującėj wszelki objaw ducha przedstawić na tle czynności organicznych. Z takiego postawienia kwestyi wyniknęła konieczność zbiérania obserwacyi, a dalėj — porównywanie rezultatów obserwacyi: ten właśnie czynnik — porównywanie — stał się najważniejszym środkiem wnioskowania. W ten sposób psychologia ukonstytuowała się, jako nauka przyrodnicza, wysiłek zaś Herbarta był tylko próżnym fajerwerkiem.

Metodą tėj nowėj nauki, psychologii, była z jednėj strony — analiza faktów, jako rezultatów obserwacyi, przy pomocy zestawienia podobnych objawów, a odłączenia niepodobnych, by w ten sposób otrzymane najkonieczniejsze uogólnienia łączyć w coraz ogólniejsze wnioski, które jedynie miały stanowić twierdzenia psychologii; z drugiéj zaś strony — analiza objawów duchowych bardzo złożonych, w celu sprawdzenia rezultatów syntezy poszczególnych uogólnień. Celem jėj było nietylko wytłómaczenie mechanizmu duchowego, jak u Herbarta, ale zarazem—rozwoju ducha (na co H. tylko napomykał) i jego zależności od otoczenia. Widzimy więc, że ze zmianą metody powstał jednocześnie nawał kwestyi najróżnorodniejszych, bezpośredni związek mających z przedmiotem psychologii; tam, gdzie była ciasnota i duszność metafizyczna, powstają w psychologii przyrodniczėj badania, kwestye, wątpliwosci: bo psychologia przyrodnicza zaczęła dopiéro składać to, co w przekonaniu metafizyków było prostém—umysł ludzki.

Widzimy tu pierwszy raz zastosowanie metody obiektywnėj do danych psychologii. Metoda ta wyrażała się w naocznėm przedstawieniu zależności objawów duchowych od ustroju naszego organizmu, jego funkcyi i otoczenia zewnętrznego. Jedni, jak Spencer, Romanes, uzasadniając teoryę ewolucyi, brali za punkt wyjścia protoplazmę, wrażliwością tylko obdarzoną, stopniowo się wznosili po drabinie organicznėj i dochodzili do najwyższych stanów duchowych, które, jak wykazywali, wynikały tylko ze spotęgowania pierwotnych stanów w ogólności i złożoności; inni, jak Bain, Mill, Lewes, wystrzegając się teoryi pospiesznych, zadawolniali się warunkami ludzkiego organizmu, dla racyonalnego rozklasyfikowania i opisania objawów duchowych. Przy takiém pojmowaniu realném zadania psychologii, jako

nauki przyrodniczéj, uczeni ci starali się odnaléść prawa dla danych swoich poszukiwań, zarówno jak procesy tworzenia się wyższych, t. j. bardziéj złożonych stanów duchowych, z prostszych. Rozumie się, że procesy duchowe i prawa psychologiczne, również, jak i same dane, miały swoją podstawę w odpowiednich procesach i prawach fizyologicznych.

Do godności zasadniczych procesów duchowych podniesiono koordynacyę współzależności na zasadzie ich podobieństwa lub identyczności w jedno ogólne — czyli integracyę i dysocyacyę ogólnego w szczegółowe czyli dezintegracyę. Prawo najwyższe wyśledzono w asocyacyi stanów duchowych: wrażeń, uczuć, wysiłków, pojęć. Prawo to, główny cel (obok teoryi ewolucyi Spencera) psychologii angielskiéj, które miało wytłómaczyć wszystkie zjawiska duchowe, zostało nietylko metodą obiektywną skonstatowane: przywołano również do pomocy (Spencer) a n a l i z ę objawów duchowych najbardziéj złożonych, rozkładając je na coraz prostsze, aż do najniższych, najogólniejszych. Bo zauważyć trzeba, że psychologii subiektywnéj bynajmniéj nie odmówiono wszelkiéj racyi bytu; Spencer uzasadnia to w ten sposób: „Dla tych, którzy widzą, że pojęcia zasadnicze psychologii ogólnéj, że wyrazy uczucia, idee, wspomnienia, chcenia, nabrały znaczenia tylko dzięki analizie siebie samego i że różnica, jaką my ustanawiamy, między czuciem i wzruszeniem, albo między aktem automatycznym a dowolnym, może mieć miejsce tylko dzięki porównaniu i rozklasyfikowaniu naszych stanów duchowych, dla tych jest jasném, że psychologia obiektywna nie może istnieć bez tego, by nie zapożyczyć swoich twierdzeń od psychologii subiektywnéj.” Psychologia więc angielska korzystała jednocześnie z dwóch metod — obiektywnéj i subiektywnéj; pomimo to metoda przyrodnicza poważny kierunek nadała badaniom psychologicznym.

Jeśli się zapytamy, czy za pomocą procesów inteligencyi i dezintegracyi, i prawa kojarzenia się wyobrażeń i uczuć, wszystko w psychologii rozstrzygnęli, zmuszeni będziemy powiedzieć, że nie. Po pierwsze — prawo kojarzenia się nie jest w ścisłém tego słowa znaczeniu prawém, bo nie określa warunków k o n i e c z n o ś c i połączenia dwu stanów duchowych na zasadzie identyczności, podobieństwa i t. d.; bo w każdym poszczególnym wypadku dane skojarzenie mogłoby być zmienione zależnie czy niezależnie od naszéj woli. Podrugie — poszczególne prawa kojarzenia się tyle pola pozostawiają bujnym kombinacyom, np. waryatów, lub więcéj normalnych marzycieli, że zaprawdę traci ono charakter prawa, ściśle określającego stosunek wzajemny kilku danych psychicznych. Pomimo to jednak, powyższe poszukiwa-

nia psychologiczne odpowiadają ówczesnym wymaganiom uczonych. Ich zadaniem całkowitém było: odkryć, opisać, rozklasyfikować różne rodzaje stanów duchowych — od wrażeń do myśli, śledzić ich rozwój stopniowy od form najniższych do najwyższych, odnaleść związek między światem zewnętrznym a wewnętrznym, sformułować uogólnienie dla danych psychologii— czyli ich zasadniczy stosunek. Przy pomocy racyonalnéj metody porównawczéj przyrodników wykonali psychologowie swoje zadanie sumiennie, bez przesady metafizyków, lub stanowczości racyonalisty Herbarta. Zastosowanie téj metody mogło już nastąpić, dzięki olbrzymim materyałom psychologicznym, nagromadzonym przez przyrodników, lekarzy, historyków, etnografów, antropologów, podróżników, statystyków i t. d.

Nowe zadania i metoda przyrodnicza psychologii ogólnéj dały pochop do najróżnorodniejszych poszukiwań psychologicznych na wszystkich polach życia ludzkiego. Zaczęli więc szukać stopni rozwoju ducha ludzkiego etnografowie, jak Humboldt, Steinthal, przy pomocy porównawczych studyów nad językami i formami językowemi, zestawiając je z obserwacyą bezpośrednią. Dotrzymali im placu antropologowie, jak Weitz, Lubbock, Tylor: zbiérali materyał ciekawy z dziedziny obyczajów i zwyczajów ludów pierwotnych, dzikich i barbarzyńskich. Również i statystycy nie omieszkali w swojéj formie pewne objawy ducha badać: moralność, wolność woli — Quettelet, Buckle i t. d. Lecz dotychczas wszystko stanowi tylko chaotyczny materyał psychologiczny do zużytkowania. Każda z tych wiadomości może się zarazem stać ważnym działem nauki psychologicznéj.

Metodycznie przystąpili do badania nad psychologią porównawczą: przyrodnicy, fizyologowie (Preyer i inni), psychiatrzy (Maudsley i t. p.); obchodzi nas w danym razie tylko psychologia zwierzęca, uprawiana przez Romanesa, Darwina, Lubbocka i innych, dlatego, że ich badania nietylko przysporzyły materyału obserwacyjnego, lecz utrwaliły ważną zasadę ewolucyi umysłowéj i przyczyniły się wielce do ulepszenia metody obiektywnéj.

Darwin, wykazawszy stały stosunek między ruchami i wzruszeniami na zasadzie porównawczych obserwacyi, dał sposób wykrycia u zwierząt wyższych różnych stanów emocyonalnych, nawet w takich razach, gdy zewnętrzne pobudki nie dają bezpośredniéj nici przewodniéj do tajników duchowych. Choć obserwacye jego są szczupłe i na wyższych tylko zwierzętach dokonane, jednak były one ważne dla historyi metody obiektywnéj w psychologii porównawczéj.

Rozszerzywszy zakres obserwacyi i zastosowawszy tę samą metodę do niższych typów organicznych aż do ustrojów jednokomórko-

wych, można było wyprowadzić wnioski o zachodzącym w badanym organizmie procesie duchowym. Romanes, szukając początków umysłu rozwiniętego, czyli rozumu, użył podobnéj metody: obserwował zewnętrzne zmiany w organizmie — ruchy. Z nowych ruchów, niezwykłych, wywołanych warunkami zewnętrznemi, również niezwykłemi w trybie życiowym danego osobnika — słowem, z indywidualnego przystosowania się—wnioskował o odbywającym się procesie umysłowym—rozumowaniu. Zastrzega się jednak, że oporność na indywidualne zmiany w przystosowywaniu się do warunków otoczenia nie jest jeszcze dowodem braku pierwiastku umysłowego. Mając na uwadze to, co już Darwin wykazal, że ruchy mogą być tak dobrze przystosowywane do warunków zewnętrznych drogą dziedziczności, drogą doświadczenia indywidualnego, że nie jest możliwém w podobnych razach z ruchów sądzić o jakimkolwiek procesie umysłowym, przekonamy się, jak niedoskonałą jest ta metoda; Romanes sam to przyznaje, używa jéj jednak w braku lepszéj. Pomimo to metoda powyższa wystarczała mu, będąc dostatecznym środkiem do wnioskowania w sferze tych kwestyi, jakie sobie postawił. Jego tezy były następujące: czynność umysłowa jest asocyacyą spostrzeżeń; życie duchowe, najwięcéj złożone, powstaje z najmniéj złożonego; świadomość jest rezultatem przystosowania się do warunków życiowych (wszystkie tezy psychologii ewolucyjnéj Spencera). Romanesowi więc szło o to, jak z pierwotnego pierwiastka czuciowości *(sensation)* przy coraz bardziéj złożonych warunkach bytu powstawały coraz różnorodniejsze i wyższe władze umysłowe. Wobec takiego zadania, trzeba było szukać punktu wyjścia u podstawy życia organicznego i zacząć od najprostszego objawu duchowego — czuciowości; następnie przy pomocy zasadniczéj czynności asocyacyi, budować coraz wyższe stany duchowe, rezultatem czego byłby wniosek, że nie ma substancyonalnéj różnicy między niższemi a wyższemi władzami psychicznemi, że poznanie zaczyna się od rozpoznawania zewnętrzności, opartego bezpośrednio na wrażliwości protoplazmy. Więc ponieważ pierwiastek poznania od A do Z jest substancyonalnie ten sam, różniąc się tylko stopniem natężenia i komplikacyi, dosyć dla badającego rozwój duchowy notować współzależność rosnącego zróżniczkowania bodźców zewnętrznych i poruszeń, w celu wyprowadzenia wniosku o równoległém potęgowaniu jakościowém władz duchowych (podobnie jak Spencer to czynił na podstawie ewolucyi anatomicznéj). Daléj, po za to zadanie psychologia porównawcza nie szła. Jak np. chemia wychodzi z zasadniczego faktu — powinowactwa, tak psychologia przyrodnicza wzięła za za punkt wyjścia wrażliwość czy téż czuciowość, i na wzór nauk przyrodniczych,

zbudowała (Spencer) i zilustrowała (Romanes, Lubbock) teoryę rozwoju władz duchowych.

Lecz psychologia, zacząwszy być nauką przyrodniczą, postępowała coraz dalej w kierunku ścisłego określenia przedmiotu psychologii i metody.

Z powyższego widzimy, że psycholodzy angielscy dosyć dobrze pojęli istotę psychologii przyrodniczéj, pomimo, że jedni, jak Spencer, Romanes, większy nacisk kładli na pierwiastki biologiczne (dziedziczność, przystosowanie się do warunków, ewolucyę), inni, jak Bain, Lewes — na dane fizyologiczne, czynne w procesie psychicznym. Celem jednych i drugich było utożsamić istotę procesu duchowego z asocyacyą i dysocyacyą stanów duchowych, czynnością — równoległą odpowiednim procesom fizyologicznym, integracyą i dezintegracyą. Przytém materyał dowodowy czerpano wszędzie, gdzie się dało, porównywano, wywody logiczne sprawdzano faktami z etnografii, historyi i t. d. Gdy zaś psychologia wyczerpała wszystkie ogólne kwestye: znaczenie procesu duchowego, historyę poznania, rozumu, gdy już wszystko w obszerném gospodarstwie ducha ludzkiego przyprowadzono do porządku, zgodzono się, że jednak istoty zjawisk inteligencyi, woli, uczucia — nie znamy, że musimy przypuścić pierwiastek niepoznawalny: Spencer wielokrotnie zaznacza, że po za objawami duchowemi i materyalnemi kryje się jakaś siła, któréj nigdy nie zrozumiemy, że „pomimo nagromadzenia doświadczeń i obserwacyi, świadczących, że duch i czynność nerwowa stanowią dwie strony, subiektywną i obiektywną, jednéj i téj saméj rzeczy, w zupełności jesteśmy niezdolni widzieć, a nawet wyobrażać sobie, jaki stosunek między niemi zachodzi". Konstatowanie tajemniczości związku procesów psychicznych i fizyologicznych jest prawie przyznaniem się do kompletnéj nieznajomości istoty i roli w naturze procesów duchowych od najwyższych szczebli rozwoju ducha, rozumu, samowiedzy — do jego najsłabszego promyka — wrażeń pierwotnych; równa się to prawie połowicznemu negowaniu k o n i e c z n o ś c i praw przyrodniczych: rozwoju i kojarzenia się, — praw, mogących być owocem niewytłómaczonéj, choć często się powtarzającéj przypadkowości, — lub też dziełem „myśli Boskiéj". Niepewność ta jest dziełem metody nieścisłéj: porównywanie, wnioskowanie i sprawdzanie jest metodą ścisłą tylko wtedy, gdy warunki są ściśle określone: warunkiem wnioskowania psychologii angielskiéj jest konstatowana współbieżność procesów psychicznych z fizyologicznemi; ponieważ jednak procesy fizyologiczne w sprawach duchowych i teraz jeszcze nie są znane, więc nic dziwnego, że powoływanie psychologów angielskich na fizyologię mogło być bardzo ogłądném, luźném,

powiérzchownêm, wskutek czego dowody fizyologiczne były tylko połowicznemi dowodami. Dlatego téż psychologowie niemieccy zaniechali metody porównawczéj, a za najlepszy środek poznania istoty i przebiegu duchowego uznali doświadczenie.

Gdy psychologia angielska postawiła sobie za główny cel zbadać rodowód pierwiastków duchowych, psychologowie niemieccy realniéj się wzięli do rzeczy; wytknęli sobie inny cel: poznać i doświadczalnie określić warunki fizyczne (nietylko fizyologiczne) i przebieg procesów duchowych. W psychologii angielskiéj dostrzedz można w pojmowaniu duszy, pomimo teoryi rozwoju i doboru, odcień, choć bardzo słaby, metafizyki, widzimy genezę pierwiastków duchowoch—to prawda, lecz przy granicy, u któréj się stykają duch i materya, słyszymy narzekania hamletowskie, głosy metafizyka, lub spostrzegamy „dyskretne milczenie". Pojmowanie zjawisk duchowych, jako funkcyi organicznych, jest tu połowiczne, bo mamy tu t a k i n i e w tym względzie. Owo n i e jest owocem poczęści metody. Z powszechnego porównania między zjawiskami duchowemi i fizyologicznemi, jakiém się psycholodzy angielscy zadawalniali, bynajmniéj nie mógł wyniknąć wniosek pewny, niezaprzeczalny o funkcyonalnéj naturze procesów duchowych: dlatego trzeba było dopiéro przedsięwziąć dużo doświadczeń specyalnych.

Psychologia niemiecka, raz pojąwszy zjawiska duchowe, jako wytwór czynności systemu nerwowego, lub téż protoplazmy nerwowéj (u niższych ustrojów), rozpatruje nietyle p i e r w i a s t k i duchowe, ile p r o c e s y duchowe i dlatego bada je wszędzie w dynamicznym ich stanie, jak fizyka, ciepło, światło, elektryczność.

U psychologów niemieckich zjawiska duchowe rozpatrywane są jako wytwór specyalnéj własności substancyi żyjącéj i dlatego do ich badania, jak wogóle przy badaniu wszystkich innych własności materyi, zastosowano metodę najściślejszą — polegającą na doświadczeniach i statystyce (znalezienie ś r e d n i é j z pomiędzy rezultatów doświadczeń).

Nikt nie wątpi, że doświadczenie jest najlepszym środkiem do poznania prawdy w badaniu, dlatego, że dostarcza przesłanki ścisłe do wnioskowania. Lecz czy doświadczenie jest w psychologii należytym środkiem badania? Takie pytanie jest ważne, ponieważ doświadczenie może tylko objąć warunki fizyczne, t. j. takie, jakie są badane w fizyce, w mechanice i charakteryzują zjawiska czysto fizyczne. Doświadczenie z konieczności zatém jest fizycznêm, ponieważ dla doświadczenia dostępna jest tylko dziedzina warunków fizycznych. Pytanie więc wynika, czy doświadczenie fizyczne może nam tłómaczyć

zjawiska psychiczne? Odpowiedzi na to dostarcza nam już psychologia angielska, któréj jedném z najgłówniejszych zadań było rozwiązać ogólny problemat związku zjawisk duchowych z fizycznemi. Wundt rozstrzyga to pytanie logicznie: „Zmiana psychiczna, będąca następstwem zmiany pewnego warunku zewnętrznego (doświadczenie psychologiczne polega właśnie na wywołaniu zmian psychicznych przy dowolnie zmienionych warunkach zewnętrznych), zależy nietylko od natury warunku, lecz również od natury warunkowanego. Zatém zmiany w stanie duchowym, równoległe zmianom wpływów zewnętrznych, posłużą właśnie do wyświetlenia natury tego stanu wewnętrznego. W tém znaczeniu — wszelkie doświadczenie psychofizyczne powinno być jednocześnie uważaném jako psychologiczne". Doświadczenia Helmholtza nad wrażeniami słuchowemi, Wundta — nad wzrokowemi i t. d. rzucają silne światło na naturę tych wrażeń. W ten sposób metoda doświadczalna dostarcza nam, lub może nam dostarczyć jednostki ilościowe dla oznaczenia stanów psychicznych. Obecnie psychofizyologia znajduje się dopiero w stadyum początkowania, jéj jedynym celem tymczasem jest objaśnić elementarne fakty psychiczne; prace Wundta i jego uczniów do tego tylko dążą, bo zasadnicze pierwiastki, ściśle raz określone, mogą służyć za podstawę do również ścisłego, nawet w kształcie równania algebraicznego wyrażonego określenia stanów wyższych. Dlatego staraniem psychologów-eksperymentatorów jest określić różne stany duchowe, różne pierwiastki duchowe w wyrazach czasu, natężenia, szybkości i t. p. Rezultaty tych starań są dosyć słabe, by już mogły służyć za podwalinę do zbudowania mechaniki psychologii, o jakiéj marzył Herbart. Bądź co bądź, psychologia doświadczalna, siląc się wyrazić pierwiastkowe stany duchowe w ogólnych funkcyach zjawisk fizycznych zbliża się do wytłómaczenia natury zjawisk psychicznych.

Jeśli nawet psychologia doświadczalna nie dopięła jeszcze teraz swego ideału, by stać się mechaniką zjawisk duchowych, to jednak potrafiła wytłómaczyć wiele tam, gdzie psychologia angielska z jéj metodą fizyologiczno-porównawczą zdolną była tylko się domyślać. en zawdzięczać trzeba metodzie, która w ścisłym związku stała z głównem zadaniem psychologów niemieckich. Ich celem było wytłómaczyć zjawiska psychiczne, zbadać warunki fizyczne ich powstania, ich przebiegu, ich wzajemnego stosunku psychicznego i t. d.; rezultatem tego powinno być dobre zrozumienie warunków fizyologicznych, na które Bain, Spencer i t. d. tak często się powoływali, a które jednak i teraz jeszcze nie są dobrze znane. Tłómaczenie zjawisk duchowych wymagało ścisłego zbadania ich warunków

fizycznych; tak np. w zakresie wrażeń wzrokowych (pośrednio wyobrażeń) Wundt bada ich jakość w ten sposób: określa warunki fizyologiczne, następnie sprawdza prawo mieszania kolorów, bada stopniowanie w nasyceniu kolorów, zaznacza znaczenie energii świetlnéj w wytwarzaniu tego nasycenia, bada zmienność wrażliwości siatkówki i wpływ jéj na wytwarzanie kontrastów wrażeń świetlnych. W zakresie poznania Wundt odróżnia trzy momenty: uwagę, apercepcyę i asocyacyę; bada więc reakcyę prostą na wrażenia zmysłowe, warunki utrudniające lub ułatwiające spostrzeganie, wybór między dwoma spostrzeżeniami, spostrzeganie wyobrażeń złożonych (doświadczenia z cyframi, figurami geometrycznemi), czas potrzebny dla asocyacyi, zmiana szybkości przebiegu wyobrażeń w razie ich reprodukcyi; i dochodzi do wniosku, że wszelki akt umysłowy jest zjawiskiem o trwaniu określoném, że wszystkie okoliczności komplikujące akt psychiczny zwiększają trwanie jego i t. d. Takie i tym podobne badania przedsięwzięto w celu poznania natury zjawisk psychicznych, jak na teraz najprostszych, elementarnych, z którychby z czasem można było odbudować złożoną machinę duchową człowieka. Rezultatem tych badań, jedném z najważniejszych, był wniosek o fizycznéj naturze zjawisk duchowych, wniosek, który psycholodzy angielscy wyprowadzali połowicznie lub pozostawiali *ad meliora tempora*. Wundt namacalnie się przekonawszy, że każde zjawisko duchowe wymaga tych samych warunków fizycznych, co i zjawisko „materyalne”, czasu i natężenia, i że zjawiska duchowe tylko na podścielisku procesów fizyologicznych powstają, mógł z naukową ścisłością orzec o naturalném pokrewieństwie jednych z drugimi: odnośna hypoteza jego, że zjawiska świadomości są tylko pewną grą tych własności substancyi organicznych, które stanowią stronę wewnętrzną procesu fizyologicznego, podczas gdy stroną zewnętrzną jego są zjawiska fizyczne i chemiczne, jest tylko wnioskiem logicznym z szeregu badań doświadczalnych — zatém ma wszelkie szanse prawdopodobieństwa; zarówno jak logiczna konsekwencya z poprzedniego, że własności duchowe materyi organicznéj są tylko rezultatem podobnych własności atomów wogóle, których komplikacya organiczna rodzi równoległą komplikacyę psychiczną.

Z powyższego krótkiego przeglądu zadań i metod psychologii naukowéj przekonywamy się, jak dochodzono stopniowo do kwestyi coraz głębszych, bardziéj zasadniczych, i do metod coraz ściślejszych: szkoła doświadczalna jest tymczasem najwyższym szczeblem w tym rozwoju. Widzieliśmy powyżéj, że psychologia ewolucyjna dała pochop do badań porównawczych, że badania te nie mogły się zatrzy-

mać na jedném polu psychiki ludzkiéj, i musiały zstąpić aż do najniższych szczebli rozwoju organicznego, w celu wykrycia w najprostszych organizmach, żyjących najprostszą organizacyą duchową, mogącą służyć za żywy dowód ewolucyi duchowéj. — Teraz z kolei musimy skonstatować wpływ nowego kierunku w psychologii ogólnéj na psychologię porównawczą, a specyalnie zwierzęcą. Gdy pod wpływem teoryi ewolucyi psychologia porównawcza wzięła sobie za zadanie prześledzić rozwój stopniowy władz duchowych po przez cały szereg hierarchii zwierzęcéj, najnowsza psychologia porównawcza zakres swoich badań uszczupliła. Jeśli sobie przypomnimy, że psychologia doświadczalna głównie postanowiła zbadać i wytłómaczyć zasadnicze fakty psychiczne, będzie jasném, dlaczego psychologia porównawcza eksperymentalna stawia sobie to samo zadanie, przytém na takim gruncie, na jakim się owych faktów psychicznych, najprostszych dośledzić może: w granicach ustrojów jednokomórkowych pierwotniaków. Psychologia przyrodnicza i psychologia doświadczalna zostawiła badaczom psychologii jednokomórkowych żyjątek dwa zasadnicze pytania do rozstrzygnięcia: jakie są najprostsze objawy ducha, i jakie procesy fizyologiczne są podścieliskiem zjawisk duchowych. Odpowiedź na te pytania jest ważna, ze względu na ścisłą metodę, jaka zostaje wysnuta.

Powyższe zagadnienia bezpośrednio graniczą z kresem psychologii naukowéj i prowadzą do rozstrzygnięcia bardzo ważnéj kwestyi, jakie są duchowe własności protoplazmy, która, jak wiadomo, nieraz, bez śladu zróżniczkowania (prócz jądra), wypełnia całą organizacyę pierwotniaka. Widzimy więc ważne zadanie psychologii pierwotniaków w sferze kwestyi psychologicznych, zadanie, jakie dawniéj podejmowali spełnić drogą empiryczną lub drogą czystego rozumowania — metafizycy: teraz kwestye „ostateczne" przypadły w udziale zoologom z profesyi. Psychologia pierwotniaków ma jeszcze i inne znaczenie, bardzo doniosłe pod względem ulepszenia metody. Z konieczności możliwém jest tu badanie czysto obiektywne: idzie więc o to, do jakiego stopnia można stosować metodę obiektywną w badaniach psychologicznych. Jedném z najgłówniejszych zadań psychologii doświadczalnéj jest stworzyć metodę obiektywną doskonałą i różnorodną w celu ściśle naukowego badania faktów subiektywnych; przytém psychologia doświadczalna daleką jeszcze jest od téj doskonałości; dlatego téż usiłowania psychologii pierwotniaków w tym względzie mają swoją ważność dla przyszłéj nauki.

Zatrzymajmy się więc nieco dłużéj nad badaniami psychologii

jednokomórkowych ustrojów; przekonajmy się, jak swe zasadnicze zagadnienia rozwiązywała, do jakich rezultatów doszła.

* * *

Psychologia ustrojów [1]) jednokomórkowych liczy nie całe 20 lat istnienia, mniéj więcéj od 1877 r., od pamiętnego zjazdu przyrodników i lekarzy w Monachium, gdzie Heckel pierwszy raz określił zadania i zasady psychologii pierwotniaków. Jéj pokrewność z psychologią ogólną zaznacza się jasno w pierwszéj dobie jéj historyi, gdy mając przed sobą cel wyjaśnienia początków duszy, nie posiadała jeszcze metody ani jasno wytkniętéj drogi. „Psychologia komórki" Heckla jest raczéj traktatem filozoficznym z apryorystycznemi przesłankami, opartemi na materyale biologicznym, niż rzeczowém badaniem. Celem jego pracy było dać przyrodniczą teoryę powstania duszy ludzkiéj. Wychodzi on z założenia, że komórka żyjąca posiada wszystkie cechy duchowe wyższego organizmu: wrażliwość i wyobrażenia, wolę i poruszenia — „każda komórka żyjąca ma komórkową duszę. Gdy się przekonywamy, że już u jednokomórkowych wymoczków istnieją charaktery i temperamenty bardzo różne, osobniki inteligente i tępe, silne i słabe, żywe i ociężałe, lubiące światło i unikające go, nie można sobie wytłómaczyć wielorakiego stopniowania życia duchowego tych drobnych istot, tylko hypotezą o bardzo delikatnych różnicach w składzie ich ciała protoplazmatycznego." Różnice psychiczne, oparte na różnicach chemicznych, mają racyę w tém, że dusza komórkowa jest sumą sił nagromadzonych w komórce, czyli sumą dusz molekularnych, głównym rysem których jest pamięć, będących, kolejnie, sumą dusz atomowych, które są naturalną własnością niedziałek, i składają się z drażliwości i ruchu. Załatwiwszy się z kwestyą istoty zjawiska duchowego, przechodzi do innéj: jak powstała dusza złożona, np. ludzka. Odpowiedź daje apryorystyczną i na to pytanie, jak na wszystkie poprzednie: Na téj saméj zasadzie, na jakiéj „dusza komórkowa" składa się z „dusz molekularnych" (*Plastitudseele*), a te z „dusz atomowych", — tak dusza wyższa składa się z dusz komórkowych. Kolonia (np. Vorticellów, Siphonofory) posiada jedną duszę, złożoną z dusz jednostkowych każdego in-

---

[1]) Czerpaliśmy wiadomości z dzieł: W. Binet, „Essais de psychologie comparée", Paris, 1888; Verworn, „Psycho-physiologische Protistenstudien", Jena, 1889; Heckel, „Psychologie cellulaire"; Hertwig, „Die Zelle und Gewebe", 1892 i t. p.

dywiduum; mózg ludzki, będący ostatecznie tylko agregacyą komórek, obdarzony jest duszą, powstałą z wielolicznych „dusz komórkowych": ten ostatni wniosek wyprowadza na téj zasadzie, że „ponieważ dusza jest ogólnym faktem życia organicznego, komórka psychiczna może być, słusznie, szczególnym wypadkiem w ogólném prawidle." W ten sposób dusza ludzka wytwarza się tak samo, jak słynna dusza narodowa („uczucie narodowe", „wola racyonalna", „umysł narodu"), gdzie całość jest wytworem jednolitym części. Widzimy więc rusztowanie przesłanek, ubarwionych gdzieniegdzie ilustracyą z życia pierwotniaków, które zostały obdarzone duszą prawie ludzką, tak, że brak im tylko pióra i atramentu, by mogły między sobą listowną korespondencyę prowadzić. Taką zasadę przyjął Heckel w przekonaniu, że wszystkie pierwiastki duchowe biorą początek u progu życia organicznego, a zatém wszystko co spostrzedz się daje w duszy człowieka, już w zarodku w duszy pierwotniaka spoczywa. Wniosek ten niczém nie poparty, wyprowadzony z przesłanek logicznych, a nie z faktów, został przez późniejsze badania obalony, lecz w swoim czasie posłużył za wzór dla wielu badaczy. Jedni w mniejszym, inni w większym stopniu przypisywali drobnoustrojom wszystkie zdolności psychiczne człowieka: Cienkowski, Engelmann—z niepewnością, Moebius, Eimer, Entz—bez żadnych zastrzeżeń zdają się w zachowaniu pierwotniaków widzieć wykształconą uczuciowość, wolę i rozum, funkcyonujące z zupełną świadomością siebie. Dla potwierdzenia swoich przypuszczeń gromadzono materyał obserwacyjny, który jednak użytkowano bez żadnéj metody. Wraz jednak ze wzrastającém nagromadzeniem faktów, rosła potrzeba bliższego wyjaśnienia psychiki pierwotniaka. Nie dosyć było zaznaczyć taką lub inną władzę duchową, że tak powiemy, *en gros;* starano się zanotować skrzętnie wszystkie możliwe objawy psychiczne w zakresie każdéj władzy: tak np. Moebius 1887 r., w rozprawie o *Folliculina ampula*, obserwując proces pożywienia, przypuszcza cały szereg wrażeń: wr. ruchu własnego, wr. prądu wody, wr. uciskania otworu ustnego przez pokarm, wr. przełykania, wr. wysiłku w celu wydzielenia niestrawnych części pokarmu i t. d. W tym czasie prawie Binet zamierzył przedstawić całkowity obraz spraw psychicznych pierwotniaków. Ponieważ praca jego jest jedną z najpoważniejszych w danym przedmiocie, przyjrzyjmy się jéj bliżéj: streszcza ona wszystkie poglądy i znane w ówczesnéj psychologii komórkowéj uogólnienia antropomorficzne; jest téż znakomitém odbiciem wszystkich wad metody obserwacyjnéj.

Z góry przypuszczając zdolność odczuwania zewnętrznych bodźców, Binet bierze sobie za zadanie zbadać „życie stosunków", czyli

życie umysłowe pierwotniaka: objawy woli świadoméj i rozumu. Dane psychologiczne grupuje około procesów organicznych: ruchu, odżywienia i rozmnażania się. Za kryteryum dla wnioskowania o złożonych objawach duchowych, towarzyszących trzem wyżéj wskazanym grupom procesów fizyologicznych, służy mu zróżniczkowanie organów (organoidów) i wielostronność przejawów ruchowych przy wyszukiwaniu i asymilacyi pożywienia, i przy sprawie zapładniania.

Zaczyna też studyum od organów, z których każdy, podług głębokiego przekonania Binet'a, powinien charakteryzować pewną dziedzinę spraw psychicznych pierwotniaka: wola ruchowa—objawiają się za pośrednictwem migawek, których ruch nie jest automatyczny, skoro zmienia pozycyę, tempo i siłę uderzenia; funkcya koordynacyi ruchów — istnieje w całym organizmie protoplazmicznym, który przedstawia sobą niby system nerwowy „rozproszony"; zmysł dotyku — pierwotnie mający siedlisko w całéj protoplazmie, w nibynóżce, migawce, koncentruje się już u *Bryptochilum* w specyalnym organie — w długim pręciku umieszczonym na przodzie; zmysł wzroku — zdradzają „oczy" (plamki barwikowe) wielu wymoczków, np. *Euglena Ehrenbergii* i t. d.; zaś u *Glenodinium Euphemus* i t. p. podług Pouchet'a, Künstlera, jakoby rozróżnić się daje w organoidzie wzrokowym niektóre części analogiczne składnikom ludzkiego oka: soczewkę, barwik, rogówkę; zmysł słuchu funkcyonuje np. u *Loxodes rostrum*, za pośrednictwem pęcherzyków, zawierających otolity.

Po zrehabilitowaniu pierwotniaków (właściwie, tylko wymoczki są tu brane pod uwagę) pod względem zmysłów i niby wysoce zróżniczkowanéj budowy anatomicznéj, Binet przechodzi do złożonych zjawisk biologicznych, które, jego zdaniem, wymagają interwencyi bardzo złożonego mechanizmu duchowego, kierującego i przystosuwującego organizm stosownie do potrzeb chwili i do zewnętrznych okoliczności.

Naprzód odżywianie. Mikroorganizmy wykazują rozmaitość w smaku; jedne, jak bakterye, czują pociąg do tlenu, wskutek czego zawsze się gromadzą w miejscu bogatém w ten gaz; inne — *Chilodon (Diatomée)* i t. d., szukają pokarmu roślinnego; inne jeszcze, jak np. *Paramaecium*, *Leucophrys* i t. d. żywią się pokarmem białkowatym, łowiąc żyjątka mikroskopowe. Przy wyszukiwaniu pokarmu dają dowody wyboru: np. Amoeba odpycha ziarnka piasku, asymilując rzeczy pożywne. Żyjątka ruchliwe posługują się celowo swemi organami w sprawie odżywiania, manipulując wiciem lub migawkami w ten sposób, by pokarm wpędzić do otworu ustnego. Wymoczki, łowiące zdobycz na pokarm, nieraz, jak np. Acinety, zabijają swą ofiarę

na odległość, wyrzucając strzałki zabójcze, czy też zatrzymując ją wyskakującą ssawką, którą się przymocowywa do złowionego osobnika i jego zawartość wysysa. Przy tych różnorodnych operacyach chwytania, wykonywane są ruchy bardzo urozmaicone: jedne osobniki tworzą migawkami naokoło siebie wir, inne pędzą dokoła, inne czyhają na zdobycz, rzucają się nagle w prawo, w lewo, gonią za ofiarą i t. d. Dla takich danych Binet czuje się upoważnionym do przypuszczenia następującego mechanizmu duchowego: 1) spostrzeganie, 2) wybór, 3) oryentowanie się, 4) dowolny ruch (w celu schwytania upolowanéj zdobyczy, lub w celu ucieczki). Binet więc nie wątpi, że u wymoczków (i wogóle u drobnoustrojów) istnieje świadoma koordynacya wrażeń i aktów woli.

Dopiéro sprawa płciowa dostarcza Binetowi najwięcéj przykładów dla potwierdzenia tezy o wysoce posuniętéj organizacyi duchowéj pierwotniaków. Przystępując do wykładu faktów z téj dziedziny, z góry zaznacza, że wszystkie objawy w zachowaniu pierwotniaka przy sprawie płciowéj zalicza do sfery duchowéj na téj zasadzie ogólnéj, że „w całém królestwie zwierzęcém zbliżenie płciowe jest następstwem li tylko przygotowawczych procesów psychicznych, okres których może trwać bardzo długo.” Objawem przygotowawczych procesów duchowych mają być pewne zjawiska przypominające Balbianiemu i Binetowi tańce godowe (tokowanie ptaków), tarcie (u ryb) i t. p. objawy „estetyczne” u wyższych zwierząt, ze sprawą płciową związane: wiele gatunków, w czasie rozmnażania, zbiérają się grupkami, w których nadzwyczajna panuje ruchliwość: „instynkt wyższy zdaje się w każdéj z tych drobnych istot panować; szukają się, gonią się nawzajem biegają od jednego do drugiego, macając się migawkami, zczepiają się w pozycyi połączenia płciowego i opuszczają się, by po chwili znów się zespolić. Gdy rozpędzić te grupki, prędko się zbiérają znowu.” W tym objawie pierwotnym „estetyki” płciowéj osobniki żeńskie, niby samki kokietliwe, długo się wymykają samcowi. Najbardziéj jednak zadziwiającym wydaje się Binetowi fakt poszukiwania pierwiastka żeńskiego, oosporu, lub jajka przez pierwiastek męski, zoospora lub spermatozoida; tu Binet widzi niewątpliwy dowód świadomego poszukiwania samiczki: np. spermatozoid, który u ptaków przebiega 60-centymetrową drogę najeżoną trudnościami i bardzo zawiłą; wié niby o celu swéj podróży i o swym losie ostatecznym.

W ten sposób Binet konstatuje, po za wielostronną zewnętrznością, liczne i bardzo nieraz złożone objawy duchowe; przytém w wielu razach nie zna granicy, przy któréj ma zatrzymać swoją fantazyę po-

równawczą: zastrzeżenie jednak robi tam, gdzie go nęci zbyt hazardowne porównanie. Choć fakty podane pewne światło rzucają na życie duchowe pierwotniaków, nie popierają jednak wywodów dowolnych Bineta i innych o wysoce wykształconéj, u tych żyjątek, świadomości, i poniekąd samowiedzy: każdy ruch bezwzględnie prawie przyjmowanym jest za wyraz woli rozwiniętéj i inteligentnéj, za skutek takich procesów umysłowych, jak przewidywanie, rozmyślanie, rozważanie i t. p. Wszystkie te przypuszczenia nie mają żadnéj wartości naukowéj i nie dają najmniejszéj pewności prawdy, bo nie są doświadczalnie dowiedzione: Psychologia pierwotniaków, jak wogóle psychologia porównawcza, jest z konieczności nauką czysto obiektywną; a zatém, oprócz pewnych prawd ogólniejszych, czyli aksyomatów psychologicznych, jak np. wrażliwość—wszystkie inne wnioski muszą być oparte na przekonywających doświadczeniach. Wnioski Bineta mają za sobą tylko szczere przekonanie autora: to mało. Nie wdając się w krytykę poglądów Bineta, zwrócimy na jedno uwagę, by dać przykład dowolności jego wnioskowania: poruszenie wymoczka z góry przyjmuje za skutek woli. Proste doświadczenie przekonywa nas, że nie każdy ruch jest wyrazem świadomości: odcinek przełyku żaby wywrócony wewnętrzną ścianką epitelialną na wierzch, zmienia sam miejsce wskutek ciągłego ruchu migawek; nikomu jednak przez myśl nie przejdzie, że odcinek ten z własnéj, świadoméj woli to czyni. Dlatego też świadomości lub istnienia woli jako wewnętrznego bodźca do ruchu, trzeba dopiéro dowieść.

(D. n.) *L. Biszofswerder.*



BRACIA.

NOWELA *).

II.

O tej saméj godzinie, któréj dnia poprzedniego Horniczowie jedli obiad w atmosferze, zatrutéj kwasem i posępnością, przy tym samym stole panował gwar głosów ożywionych i wesołych. Zenon Hornicz mógłby znaléść w tém temat do rozmyślań nad pierwiastkiem życia, który zawsze najsilniéj uderzał jego umysł, mianowicie nad zmiennością wszystkiego w życiu. Ale on teraz nie rozmyślał nad niczém, bo ze wszystkich poruszeń wewnętrznych istniały w nim tylko radość i czułość, ze wszystkich zmysłów wzrok, dla którego znowu nie istniało w téj chwili nic, oprócz brata. Tylko co przywiózł go był ze stacyi kolei i prawie wprost z bryczki prowadził do stołu. Protestów Wiktora przeciw ukazaniu się damom w ubraniu podróżném i okurzoném, ani chciał słuchać; śmiał się z nich głośno i serdecznie, mówiąc, że jego żona i jéj siostra nie były damami, tylko kobiétami i w dodatku wieśniaczkami, nie znającemi się na etykiecie światowéj.

— Ależ nie mam jeszcze przyjemności znać twojéj żony i jéj siostry, a ukazywać się im po raz pierwszy w sposób tak nieawantażowny...

*) Dokończenie.—Patrz „Ateneum" zeszyt styczniowy r. b., str. 20.

Nie skończył zdania rozpoczętego, wciągnięty prawie przemocą do pokoju, w którym znalazł się wobec Sabiny, tak zlęknionéj, że ręce jéj drżały, i wobec Rozalii poważnéj, ale uprzejméj. Anielka i Kazio, trochę wystrojeni na przyjazd stryja, stali za matką i ciotką. Wiktor pocałował w rękę obie kobiéty i oświadczył radość z tego, że je poznaje, uścisnął téż z serdecznością wielką, witające się z nim dzieci, zatrzymał przez sekundę spojrzenie uważne na oczach Sabiny, biegających z przelęknienia, i na pięknej kibici Rozalii, powiedział jeszcze parę zdań grzecznych, miłych, potoczystych i zaraz potém wszyscy zasiedli do stołu.

Dla każdego, nieznającego dwóch braci, musiałoby wydać się niepodobieństwem to, że Wiktor był starszym od Zenona, bo wyglądał na młodszego o dobre lat dziesięć. Był szatynem, średniego wzrostu, z małym początkiem otyłości, ale z ruchami młodemi i elastycznemi. Czoło miał białe i otwarte, policzki czerstwe, wąs zakręcony elegancko nad wargami wydatnemi, oczy piwne, piękne, bystre i wesołe. Mówił płynnie z łatwością; swoboda obejścia się objawiała w nim wprawę wielką w załatwianiu interesów, spotkań, rozmów najrozmaitszych. Ubranie, w którém nie chciał ukazywać się damom, istotnie okurzone nieco w drodze, uderzało wytwornością materyału i zgrabnością kroju. Uderzającym był również dźwięk głosu jego, pełen słodyczy i ciepła sympatycznego, które malowały się także w spojrzeniach i uśmiéchach.

Zasiadłszy do stołu okrył serwetą przód ubrania i z apetytem zajadał zupę, która wybornie udała się Maryannie, przytém opowiadał różne zdarzenia swojéj dość długiéj podróży w sposób tak zajmujący i często zabawny, że nawet Sabina przestała lękać się człowieka nieznajomego i troszczyć się o wartość podawanych potraw, ale słuchała go z zajęciem i przyjemnością. Zenon zupełnie naiwnie i prawie jak dziecko, wybuchał głośnym śmiéchem przy każdém trochę dowcipném słowie brata, ale to w nim było osobliwego, że chociaż śmiał się szczerze, głośno, oczy jego pozostawały na dnie smutnemi. Naléwał do szklanki i kiéliszka gościa piwo i wino, które dziś pośpiesznie z miasteczka sprowadził, zachęcał go do jedzenia i picia, przychylony ku niemu, poprostu patrzał mu w oczy. Na to zajęcie nim brata szczególne, gorączkowe, Wiktor prawie nie zwracał uwagi. Jadł dużo, pił trochę, opowiadał, śmiał się, patrząc najwięcéj na Rozalię i zwracając mowę najczęściéj do niéj. Ona téż głównie podtrzymywała rozmowę z gościem, bo Sabina, zazwyczaj małomówna, wobec człowieka nieznajomego milkła, jak ryba. Zenon był zbyt wzruszony, aby módz zdobyć się na porządną rozmowę; Pawełek, obecny dziś przy stole, był

zaciekawiony, ale też i zmieszany, dzieci naturalnie milczały, z oczyma, wlepionemi, jak w tęczę, w świéżo poznanego stryja. Rozalia zaś była spokojna i pewna siebie; zadawała gościowi pytania, które zręcznie podsycały jego werwę, odpowiadała mu w sposób swobodny i zajmujący, w częstowaniu go poprawiała niezręczności, popełniane przez zalęknioną siostrę i wzruszonego szwagra. W sukni czarnéj, ale odświętnéj, z kruczemi włosami, uczesanemi w sposób prosty i zarazem malowniczy, z kibicią kształtną i regularnemi rysami twarzy, była pięknością kobiécą przekwitającą, lecz jeszcze ponętną. Wiktor przypatrywał się jéj nieznacznie, ale z zajęciem; poczém przenosił wzrok na bratowę, na brata i w oczach jego przebiegał wyraz zdziwienia, albo filuterności. Rozmowa krążyła dokoła podróży, którą Wiktor Hornicz odbył i miał odbyć, a także dokoła podróżowania w ogólności. Rozalia była dziś pogodną i uprzejmą dla wszystkich, z wyjątkiem Pawełka, z którym nie przywitała się przed obiadem, udając, że go nie spostrzega. W połowie obiadu dopiéro błysnęła ku niemu spojrzeniem ironiczném i z równie ironicznym śmiéchem rzekła do gościa.

— Mamy tu pomiędzy sobą kogoś, kto także wybiéra się w podróż po złote runo!

Wiktor spojrzał na chłopaka, który zarumienił się jak piwonia i spuścił oczy z uczuciem przykrości widomém. Nie mówił jeszcze wcale z pryncypałem i dobroczyńcą o zamiarach swoich i to publiczne wydobycie ich na jaw wprowadziło go w położenie kłopotliwe. Zenon Hornicz zrozumiał to natychmiast i pomimo urazy, którą czuł do wychowańca, żal mu się go zrobiło: Po co go tak zawstydzać? Taka rozmowa, jaką on ma z nim do odbycia, odbyć się powinna na cztéry oczy. Dla wydobycia więc Pawełka z położenia niemiłego, zaczął prędko i długo opowiadać bratu o Górkiewiczu, o naturze i korzyściach posady, którą otrzymał i dla któréj te strony opuszcza, o jego zamiłowaniu w agronomii i gospodarstwie szerokiém, które skłania go do wyjazdu więcéj jeszcze, aniżeli interes pieniężny. Rozalia potakiwała słowom szwagra. Przyznawała Górkiewiczowi dużo inteligencyi i nauki. Taki człowiek może wszędzie uczynić wiele dla siebie i dla innych. Wiktor, któremu brat przedstawił był Pawełka, jako wychowańca i pomocnika swego, z uprzejmém spojrzeniem na młodzieńca zapytał:

— Czy zamierzona podróż pana zostaje w związku z odjazdem p. Górkiewicza?

Zamiast zapytanego, Rozalia odpowiedziała:

— A tak, pan Paweł jedzie także robić fortunę. Od dwóch miesięcy miał ten zamiar, a szwagier mój i my dowiedzieliśmy się o nim dopiéro wczoraj i ze strony. Ale to nic dziwnego, bo po pierwsze, nie ma na świecie karesu, któryby nie poszedł w kąt dla interesu...

— Pani wybornie przerabia przysłowia!—zaśmiał się Wiktor.

Ona zaś dokończyła:

— A powtóre: gdzie konie kują, tam i żaby nogi podstawiać muszą!

Mówiła to swobodnie, wesoło, tak, jak gdyby nie przechodziło jéj przez myśl dotknąć kogokolwiek temi słowami. Pawełek przecież miał minę człowieka, rozciąganego na torturach; Zenon Hornicz oburzył się za niego i rzekł z powagą:

— Co do żab i koni, to nie można nigdy twierdzić napewno, kto jest koniem, a kto żabą. Co zaś do tajemnicy, czynionéj przed nami, pochodziła ona tylko z wahań się i namysłów—przyszłego podróżnika.

Przy ostatnich wyrazach z żartobliwością przyjacielską mrugnął ku Pawełkowi, który wlepiał w niego oczy zdziwione i zachwycone. Wiktor zwrócił się ku młodzieńcowi z poufałością przyjacielską i czyniącą wrażenia sympatyczne.

— Ależ winszuję panu przedsiębierczości i energii! Bardzo dobrze, bardzo pomyślnie, że zdarzyła się panu posada korzystna i sposobność pracowania pod przewodnictwem człowieka tak przedsiębierczego i energicznego, jakim, o ile tu słyszę, musi być p. Górkiewicz. Przedewszystkiém przedsiębierczość i energia! Trzeba zawczasu budować sobie przyszłość!

— Ależ—wtrącił Zenon—budowanie przyszłości nie zależy tylko od mniéj lub więcéj korzystnéj posady i znacznych dochodów!

— A od czegóż więcéj ona zależy?—zapytał Wiktor.

Zenon z niejakiém zadziwieniem w głosie odpowiedział

— Przecież człowiek młody ma przed sobą przyszłość podwójną: materyalną i moralną.

Wiktor zaśmiał się i śpiesznie potwierdził.

— Ależ tak, to się rozumié, o tém przecież nie trzeba i wspominać. Piąte: nie zabijaj! szóste: nie kradnij!

Zenon przerwał śpiesznie:

— To elementarne! Naturalnie, że o moralności kodeksowéj wspominać nawet nie trzeba. Ale po za jéj granicami jest pole obowiązków i cnót bardzo szerokie.

Wiktor popatrzył przez chwilę na brata, zastanowił się i odpowiedział:

— A jest, rzeczywiście jest, nie wiem, czy takie szerokie, jak ty mówisz, ale jest. Tylko, że siostry miłosierdzia i inne tam owieczki Boże już po niém chodzą. I niech sobie zdrowe chodzą. Dla nas zaś kozłów światowych, przedsiębierczość, praktyczność, energia — przedewszystkiém! Naturalnie, że rozbijać po drogach, ani kraść, ani weksli fałszować nie należy, bo za to można dostać się na tym świecie do kozy, a na tamtym, jak księża powiadają, do piekła, jeszcze gorszéj, niż koza instytucyi...

Kończył mówić, śmiejąc się, poczém spoważniał.

— A propos kozy, czy słyszeliście państwo o sławnym skandalu finansowym i wynikłym z niego procesie, który zdarzył się w dniach ostatnich?

Ponieważ zaś mieszkańcy Zapolanki nic o tych rzeczach nie słyszeli i tylko trochę znali je z gazet, opowiedział je obszernie i ze szczegółami. Był to jeden ze szwindlów finansowych na skalę ogromną, z ostatnim aktem, odegranym przed kratkami sądowemi. Kiedy skończył opowiadanie, Zenon zawołał:

— A widzisz, Wiktorku, do czego doprowadzają czasem przedsiębierczość i energia, praktykowane z wyłączeniem tych cnót, po których polu chodzą siostry miłosierdzia i inne owieczki Boże!

Wiktor spojrzał na mówiącego oczyma zdziwionemi.

— A cóż to ma jedno do drugiego? Że tam kilku łotrów bank okradło, ja nie miałbym prawa zbiérać sobie majątku sposobami uczciwemi?

— Masz je niezaprzeczenie; tylko że bardzo jest trudno napełniać szkatułę, nie opróżniając serca.

Wiktor słuchał uważnie: ale rozśmieszyły go słowa brata.

— Co? Nie opróżniając serca?—zawołał, śmiejąc się—ależ całkiem przeciwnie, mój drogi, całkiem przeciwnie! Tylko wtedy, gdy się ma pełną szkatułę, można sobie napełniać serce... różnemi dobremi rzeczami.

— Nie wiem, o jakich dobrych rzeczach mówisz—ze zmieszaniem wtrącił Zenon.

— Wszelkiego rodzaju, mój drogi, o wszelkiego rodzaju dobrych rzeczach: rozrywkach, przyjemnościach, wesołości, a szczególniéj, szczególniéj o najlepszéj ze wszystkich, którą jest miłość. Tylko mając szkatułę pełną, można pozwalać sobie na te wszystkie zbytki, zwłaszcza na ostatni, który we wszystkich znaczeniach jest najdroższym!...

Mówiąc o miłości, rzucił spojrzenie na Rozalię, która żartobliwie zauważyła:

— Szwagier mój jest wogóle nieprzyjacielem zbytków wszelkich...

Wiktor obrócił się do brata i w twarz mu popatrzał.

— Co? Ty nieprzyjacielem zbytków? Eks-artysta? Nie wierzę! A co wyrabiałeś w Monachium, a? pamiętasz? Ale o tém teraz mówić nie wolno...

Filuternie spojrzał na Sabinę, która zmieszała się ogromnie. Zenon trochę spochmurniał, ale usiłując dostroić się do tonu brata, żartobliwie odpowiedział:

— Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. To są dawne historye, a od lat już wielu..

— Od lat już wielu zostałeś trapistą! cha, cha, cha!

Śmiejąc się, objął ramieniem szyję brata i ucałował go w oba policzki. Przytém mowił:

— O, ty mój kochany trapisto!

Obiad był już skończony, ale Sabina, jak zwykle bywało z nią przy gościach, zapomniała o daniu znaku do wstawania od stołu. Miała głowę tak napełnioną tém, co gość jadł i jeść będzie, rozmowa nieco gwarniejsza tak mąciła jéj myśli, że we wszystkich wypadkach podobnych byłaby do wieczora przesiadywała przy stole, gdyby nie wyręczała jéj Rozalia. Wyręczyła i teraz, ze znakiem porozumienia, rzuconym ku siostrze, wstając z krzesła.

W bawialni dość obszernéj, z niskim sufitem i sprzętami staroświeckiemi, Wiktor chwycił wpół przebiegającą obok niego Anielkę i żartobliwie zaczął pytać ją o nauki i zabawy, przyczém przypatrywał się nieznacznie szczegółom powiérzchowności podlotka, który odziedziczył po matce twarzyczkę okrągłą, białą i różową.

— Pójdźmy przejść się, Wiktorze — zaproponował Zenon — wyobrażam sobie, jak musisz być niecierpliwym zobaczenia ziemi i nieba w Zapolance. Po 18-tu latach...

— I owszem, i owszem! — chętnie zgodził się gość, ale natychmiast zwrócił się ku paniom:

— Wszakże panie nie zechcą odmówić nam towarzystwa swego?

Mówił w liczbie mnogiéj, ale patrzał tylko na Rozalię. Sabina uczyniła ruch niespokojny i zaszeptała coś o braku czasu i potrzebie pozostania w domu. Rozalia zaś odpowiedziała z uśmiéchem:

— Nie chciałybyśmy przeszkadzać obecnością swoją pierwszéj rozmowie poufnéj braci, po tak długiém niewidzeniu.

— Ależ mój Boże! —zawołał gość —cóżbyśmy takiego mieli sobie do powiedzenia, czegoby świat cały słyszeć nie mógł! Nie jesteśmy przecież parą kochanków. Prawda, kochany mój trapisto?

Znowu uścisnął Zenona i obu dłońmi poklepał go po ramionach. Rozalia przecież odmówiła stanowczo wzięcia udziału w przechadzce i bracia wyszli we dwóch do ogrodu.

Ten ogród był dziełem, uciechą i dumą Zenona. Pragnął go przedewszystkiém pokazać bratu. Były tam aleje stare, pełne wspomnień ze wspólnego ich dzieciństwa; ale zarośla malownicze, trawniki piękne, sad owocowy bardzo rodzajny i w téj porze roku najpiękniejszemi będą dla Wiktora niespodziankami, które sprawią mu pewno przyjemność wielką. Bo każdemu przecież miło być musi ujrzéć miejsce rodzinne tak starannie utrzymywane, przyozdabiane, wzbogacane. Milczał i oczyma rozpromienionemi wypatrywał na twarzy brata objawu pierwszych wzruszeń i zadziwień. O kilkadziesiąt kroków od ganku Wiktor zwrócił się ku niemu i rzekł półgłosem:

— Ta twoja szwagierka, choć nie pierwszéj młodości, jest jeszcze bardzo interesującą. Musiała być kapitalnie piękną, a i teraz jeszcze, oho! dyabełki w oczach siedzą! Przytém jest bardzo przyjemna w rozmowie... Cóż ty na to?

Uśmiéchnął się filuternie, patrząc bratu w oczy. Dla Zenona takie rozpoczęcie rozmowy było niespodziéwaném; więc bąknął tylko:

— Tak, to prawda, Rozalia była bardzo piękną i w rozmowie jest dość przyjemną.

— Cóż tak obojętnie o tém mówisz? No, przyznaj się, że żyjąc z taką kobiétą pod jednym dachem, od rana do wieczora, na wsi... niepodobna, aby tam czegoś... tak niby... nie było pomiędzy wami!

Zenon stanął jak wryty z oczyma szeroko otwartemi. Po chwili osłupienia przemówił:

— Co? pomiędzy mną a Rozalią? Ależ to siostra mojéj żony!...

— No tak, tak, zapewne — uśmiéchał się wciąż Wiktor — ale na świecie bywają różne rzeczy. Zdarzają się i takie... czy tylko takie! Myślałem, że jesteś dawnym Zeńkiem, pełnym fantazyi i trochę szalonym.

Zenon ochłonął już ze zdumienia i spokojnie mówić zaczął:

— Życie jest doskonałym lekarzem od fantazyi i szałów. Ale i w tych czasach o których wspominasz, jakkolwiek szalony, nie miałem pociągu do rzeczy szpetnych fizycznie, czy moralnie... To zaś, co przypuszczałeś, byłoby ze wszech względów ogromnie szpetném...

— Zapewne, zapewne — potwierdził Wiktor — ale bywają pokusy, którym niekiedy człowiek najuczciwszy oprzéć się nie może...

— Mogę cię upewnić, że w tym wypadku nie doświadczałem nawet pokus żadnych. Rozalia nie jest ulubionym moim typem kobiécym...

Starał się mówić tonem żartobliwym, ale z przykrością niewymowną myślał:

— O czém-że to my rozmawiamy!

Wiktora zaś ta rozmowa interesowała.

— Nie jest twoim ulubionym typem — powtórzył. — A jakiż ty masz typ ulubiony? Aha, blondynki! Twoja żona jest blondynką! Bardzo miła osoba. Tylko że wygląda na flegmatyczkę. Musi mieć temperament ogromnie limfatyczny. Te blondynki to tak: albo ogień, albo woda. Jednak przypominam sobie, że ten twój ideał monachijski, za którym tak szalałeś i który cię tak haniebnie wystrychnął na dudka, był brunetką ognistą. Prawda? co?

— Już nie pamiętam — odrzekł Zenon zcicha, bo z przykrością coraz dolegliwszą myślał: „O czémże to rozmawiamy!" Stanął i szerokim gestem ukazując bratu przestrzeń otaczającą, rzekł:

— Spójrz, Wiktorze. Popatrz trochę na dzieło rąk moich!

Stare alee i klomby z krzewów ozdobne, malownicze, trawnikami i ścieżkami otoczone przeszli już i minęli. Na Wiktora nie sprawiły one wrażenia żadnego. Możeby sprawiły, gdyby na nie patrzał, ale rozmawiając, żartując, zaglądając wesoło w twarz brat, nie patrzał. Teraz, znajdowali się w środku ogrodu owocowego, zajmującego spory kawał gruntu. Mnóstwo tam było drzew, z których nie zdjęto jeszcze owoców zimowych, których gałęzie gięły się pod ciężarem jabłek czerwonych jak rubiny, grusz złotawych, śliw fioletowych. Zenon rozpromieniony od uciechy serdecznéj mówił:

— Od otrzymania twego listu marzyłem o chwili, w któréj ci to pokażę. Drobna rzecz, ale taka moja! Pamiętasz, jakie tu było zestarzenie i zdziczenie przed 18-tu laty. Biédny ojciec nie miał już w ostatnich latach energii, ani ochoty do pielęgnowania ziemi. Ziemię zaś, mój drogi, trzeba nietylko uprawiać, ale i pielęgnować, jak matkę, aby nie podupadała na siłach i jak dziecko, aby w nie wzrastała, a jeżeli chcesz, nawet jak siostrę, aby stawała się coraz piękniejszą. Bo ziemię, mój drogi, można uczynić nietylko urodzajną, ale także piękną i może być ona nietylko żywicielką, ale i pocieszycielką. Widzisz ten duży kawał ziemi, zarosły suszyzną i chwastami, był nietylko bezużytecznym, ale brzydkim, smutnym. Teraz co? Wszystko tu siałem i sadziłem sam, z pomocą tylko dwóch niedorosłych robotników, bo na większą ich ilość i na ogrodnika nie miałem pieniędzy. Nie znałem się téż na ogrodnictwie, trzeba się było go wyuczyć! Zaczytywałem się w książkach ogrodniczych, zasięgałem rad paru sąsiadów doświadczonych. No i zrobiłem, mam. Popatrz tylko. Z jednéj strony przynosi to korzyść znaczną, a z drugiéj, ile

tu barw, linii, półświateł, półtonów. To obraz wymalowany przezemnie zamiast na płótnie, na łonie ziemi, która wydała mnie na świat. Jak mogę, tak wywdzięczam się jéj za życie...

Mówiąc to wszystko ulegał metamorfozie stopniowéj. Wyprostował plecy, zmarszczki zniknęły mu z twarzy prawie zupełnie, oczy rozbłysły entuzyazmem młodzieńczym. Wiktor przypatrywał się pięknemu ogrodowi, a gdy Zenon umilkł, rzekł:

— Tak, tak, bardzo piękny sad owocowy. Ile przynosi?

Zenon wymienił cyfrę dość znaczną i uszczęśliwiony, wsunął rękę pod ramię brata.

— Ale nie zauważałeś moich gaików i malutkich dywanów kwiatowych. Choć to już późno, ale są jeszcze piękne, w téj porze roku może jeszcze piękniejsze niż latem. Cudnemi są nasze jesienie! Chodź, zobacz, jakie mam pyszne sumaki. Sadziłem je razem z wierzbami srebrnemi i teraz to tworzy efekt szczególny: na tle krwistém, potoki roztopionego srebra!

Drogami krzyżującemi się pośród drzew owocowych prowadził brata do części ogrodu otaczającéj dom i na którą przedtém nie zwrócił on był uwagi. Wiktor szedł chętnie i mówił wesoło:

— Zawsze byłeś i pozostałeś poetą. Mówisz o ogrodzie, jak o kochance. Ale nie dziwię się wcale. Praca swoja każdemu miła. Ja mam teraz przed sobą taką, do któréj się aż palę. Wyobraź sobie, że idzie o zmianę systemu w całéj ogromnéj gałęzi fabrykacyi państwowéj. Czy znasz się choć trochę na mechanizmie gorzelnianym. Nie? to posłuchaj. Zaraz wytłómaczę ci, o co chodzi.

Zaczął tłómaczyć. Mówił o przeznaczeniu i konstrukcyi różnych maszyn i aparatów mechanicznych, o naturze kruszców, z których bywają sporządzanemi, o sposobach, sile, stopniach siły, z którémi działają na powierzone im materye różne działacze natury: woda, para, cieplik, tarcie i t. p. Był to cały wykład mechaniki, z mnóstwem komentarzy zaczerpniętych z fizyki, chemii, mineralogii. Mówiąc o tém wszystkiém, Wiktor Hornicz stał się człowiekiem poważnym i nietylko poważnym, ale nawet pełnym wiedzy i zapału. Posiadał znajomość ogromną przedmiotu, o którym mówił i nie mniejsze w nim zamiłowanie. Mówił z łatwością wielką i tak nieustannie, że byłoby niepodobna wtrącić mu w mowę, ani jednego słowa. Ale Zenon nie myślał przerywać mu mowy żadném słowem, bo w tym potoku słów i obrazów technicznych, większości nie rozumiał, a inne choć zrozumiałe nie wiązały się mu w umyśle w żaden sens jasny. Naturalnie, mechaniki nie studyował nigdy i miał o niéj wyobrażenie zaledwie elementarne. Raz pomyślał: „Jaki on dziwny! Przecież

musi wiedzieć, że nikt nie może, bez długiego przygotowania, rozumieć takich rzeczy, ani o nich rozmawiać!" Ale Wiktor nie zwracał uwagi najmniejszéj na rozpaczliwą niekompetentność słuchacza. Z przyjemnością człowieka, który wpadł na ulubiony sobie temat, mówił i mówił o systemach fabrykacyi gorzelnianych, takich jakie były, są, będą i być powinny w najróżniejszych krajach europejskich. Mówiąc, trzymał brata pod rękę i chodził z nim po aleach starych, pełnych wspomnień wspólnego ich dzieciństwa, dokoła klombów, będących rozkoszą i dumą ich twórcy, o niczém wcale nie wspominając i na nie nie patrząc. Zenona to chodzenie bezmyślne z alei w aleę, ze ścieżki na ścieżkę i to słuchanie o rzeczach prawie niezrozumiałych, zaczęło nużyć i nudzić. Poraz pierwszy przerwał mowę bratu:

— Usiądźmy. Możesz mówić, a ja mogę słuchać zarówno dobrze siedząc, jak chodząc.

Naturalnie, chodzili tylko dlatego, aby obejrzéć razem piękny ogród, skoro go zaś nie oglądali... Przytém, ławka, na którą Zenon zaprosił brata, stała w miejscu tak pełném wdzięku i malowniczości, że chyba już teraz Wiktor je zauważy i przestanie mówić o swoich maszynach. Rosły tam właśnie owe sławne sumaki czerwone i wierzby srebrne, kwitły na trawniku wielkie krzaki floksów liliowych i śnieżnych, przez otwór umyślnie uczyniony pomiędzy drzewami widać było szlak łąki za ogrodem, cały w złocie zachodzącego słońca. Spojrzenie Wiktora wypadkiem upadło na ten kawałek łąki.

— A!—zawołał—toż to ta sama łąka, po któréj ty i ja, małemi chłopcami hasaliśmy boso, po rosie. Ale tylko w lecie można było to robić. Na wiosnę i w jesieni była bardzo błotnistą. Jak teraz wybornie można osuszać błota choćby największe! Czy wiész, jakiemi sposobami osuszono blisko połowę błot poleskich?

Jak przedtém o fabrykacyi gorzelnianéj, tak teraz opowiadać zaczął o osuszaniu gruntów mokrych, przyczém rolę ogromną odegrywała hydraulika, będąca właśnie najulubieńszym przedmiotem jego studyów. Przed kilku laty dokonał był w téj dziedzinie pewnego odkrycia, pozwalającego na używanie pewnéj kombinacyi działań, przedtém poczytywanéj za niemożliwą. Opowiedział teraz bratu o odkryciu ze szczegółami najdrobniejszemi, a Zenon, w połowie tylko rzecz rozumiejąc, słuchał go przecież z oczyma rozbłysłemi od zajęcia i radości. Powodzenie brata i chwała, którą się okrył cieszyły go ogromnie. W końcu rzekł zcicha:

— Tak, to prawda! cóż znaczy praca moja mała, mrówcza, wo-

bec tych, których ty dokonywasz! Dla mnie jednak jest to jedyną pociechą, gdy pomyślę...

Wiktor przerwał mu z ożywieniem wielkiém:

— Naturalnie, mój drogi! Żyjemy w epoce wielkiéj nauki i wielkiego przemysłu...

Zaczął mówić wiele i bardzo rozumnie o tém, jak nauka wspiéra i rozszerza przemysł, a przemysł ułatwia i przyozdabia życie ludzkie, odkrywając coraz nowe źródła zarobków, wygód i użycia wszechstronnego.

Zmrok spuszczać się zaczął na sumaki i wierzby, na trawniki, floksy i szlak łąki za ogrodem, gdy nadbiegła Anielka i cała w rumieńcach, drżącym głosikiem oznajmiła, że: „Mama prosi na herbatę".

Przy stole herbatnim wyelegantowanym, zastawionym, ozdobionym kwiatami, Rozalia rzekła do gościa:

— Zenon musiał chwalić się przed panem swoim ogrodem. Jest on rzeczywiście dziełem rąk jego, które się dobrze udało.

— Tak, tak—potwierdził gość — śliczny ogród, tylko że ja wogóle nie posiadam daru zachwycania się... zieleniną!

— Pracując tak wiele i nad rzeczami tak ważnemi, nie miał pan pewnie czasu przypatrywać się naturze — grzecznie zauważyła Rozalia.

Gość zaprzeczył.

— Ej nie, owszem, bywałem nieraz na wsi i za granicą w miejscowościach sławnych z piękności. Ale jakoś nie mam już tego zmysłu. Wzgórek, trawka i źródełko, oto dla mnie i cała natura. Większe, mniejsze, ale zawsze to samo: wzgórek, trawka i źródełko...

— Czy i morze wydaje ci się źródełkiem?—zapytał Zenon.

— Nudne!—zawołał Wiktor—ach, mój kochany, jaka to nudna rzecz, to morze! Bywałem nieraz nad brzegami jego; pływałem po niém. Powiadam ci, że gdyby na parowcach nie było z kim grać w winta i czasem nie istniały anioły pociechy, w postaciach dam ładnych i miłych, możnaby umrzéć na nich z nudy. W dekoracyach teatralnych robi to wrażenie duże, ale w przyrodzie, woda, woda i woda. Co jest prawdziwie pięknem i zdumiewającém, to telegrafy podmorskie...

— Że są zdumiewające, na to zgoda—z trochą zniecierpliwienia przerwał Zenon—że bardzo pożyteczne, to także niezawodne, ale aby telegrafy jakiekolwiek mogły być pięknemi...

— Są nietylko pięknemi, lecz wprost cudownemi — zawołał

Wiktor. — Nauka i przemysł dokonały w tém dziele cudu prawdziwego...

Zwróciwszy się do pań zaczął wykładać im sposób urządzenia telegrafów podmorskich płynnie, obszernie i dość dostępnie. Na twarzy Sabiny, która prawie nic z mowy jego nie rozumiała, malował się jednak podziw nad mądrością szwagra; Rozalia słuchała z zajęciem, rozumiała wiele, choć nie wszystko, i była coraz widoczniéj zachwycona gościem. Zenon nie promieniał już od uciechy i nie patrzył bratu w oczy tak jak przy obiedzie, niemniéj, widać było, że cieszy się jego obecnością, uczonością, wesołością i tylko czasem markotniał, spuszczał powieki i widać było, że odbiegał myślą od telegrafów podmorskich.

Po herbacie, w bawialnym pokoju, Wiktor zbliżył się do fortepianu.

— Pani jest muzykalną?—zapytał Rozalię.

Była muzykalną. Grywała wiele i z zamiłowaniem. Teraz także zasiadła do fortepianu, Wiktor usiadł przy niéj i z głową opartą na ręku słuchał. Zenon przypatrywał się mu z kanapki stojącéj w kącie pokoju i wydało mu się parę razy, że brat udaje pilnego słuchacza, a myśli wcale o czém inném, niż o muzyce. Dla niego talent muzyczny Rozalii bywał nieraz i przyjemnością wielką i smutkiem; bo ta osoba samowolna i niestała, nie grywała wcale podówczas gdy on potrzebował tego najwięcéj, ale tylko wtedy, gdy sama grać chciała.

Czasem, spędzał przy jéj muzyce szare godziny pełne uroku smętnego i myśli uciekających w kraje ideałów; ale daleko częściéj, wtedy właśnie, gdy najmocniéj gryzła go nuda życia samotnego i kłopotliwego, Rozalia była w złym humorze i za nic nie usiadłaby do fortepianu właśnie dlatego, aby nie okazać mu przez to swéj życzliwości. Biédna Sabinka grywała niegdyś słabiutko, lubo dość wdzięcznie, ale już oddawna poszło to u niéj w zaniedbanie najzupełniejsze. Teraz, Zenon czuł trochę gniewu przeciw Rozalii, za to, że długiém graniem swojém zabiérała mu brata i z niejaką niecierpliwością oczekiwał końca muzyki; ale gdy Rozalia po długiém graniu wstała od fortepianu, Wiktor wstał także i zaczęli chodzić po pokoju, rozmawiając z ożywieniem o kilku operach, które on widywał na wielkich scenach europejskich, a o których Rozalia, chociaż ich nie widziała nigdy, umiała zręcznie mówić i decydować. Byli nawzajem bardzo zajęci sobą i Wiktor raz tylko zwrócił się do brata, siedzącego na kanapce, w kącie pokoju.

— Byłeś na „Aidzie”, prawda? Pamiętasz scenę zbierania się nad morzem ludu, kapłanów i bożków egipskich?

Zenon parsknął śmiechem.

— Mój drogi, jakimże sposobem mógłbym „Aidę” znać ze sceny? Przecież od lat 18-tu nie byłem w żadném wielkiém mieście...

— To szkoda! — rzucił Wiktor i wracając do przechadzki z Rozalią, zaczął opowiadać zdarzenia i anegdoty z życia różnych śpiéwaków i śpiéwaczek.

Zenon, patrząc na przechadzającą się parę, myślał:

— Ależ on naprawdę zajmuje się Rozalią! Może się z nią ożeni? Kto wié? Są dla siebie stosowni wiekiem...

Rozalia nie była wcale zalotną i nie miała staropanieńskiéj śmieszności upatrywania w każdym mężczyznie wielbiciela lub konkurenta. Jednak zajęcie się nią gościa widoczne i coraz żywsze mogło jéj pochlebiać i nawet nasuwać przypuszczenie pewnego rodzaju. Stawała się coraz weselszą, mówniejszą, aż przy końcu wieczora Wiktor przysiadł się do Sabiny i dokonał tego prawdziwego cudu, że ją także rozweselił i do mówienia skłonił. Zaczęła trwożliwie i z wahaniem, potém rozgadała się o dzieciach, o domu, o swoim sposobie przepędzania czasu, prawie rozszczebiotała się, ożywiona ogromnie, często przez dowcipy i zapytania szwagra rozśmieszana. Że zaś i Rozalia brała niemały udział w téj gawędce poufałéj, pustéj, żartobliwéj, więc wszyscy troje, siedząc przy stole z lampą i staremi albumami, bawili się wybornie.

Godzina była dość późna, kiedy Zenon wstał z kanapki stojącéj w kącie pokoju.

— Może już potrzebujesz odpocząć po drodze—rzekł, zbliżając się do brata.

Wiktor zgodził się chętnie, mówiąc, że istotnie czuje się trochę zmęczonym podróżą; wesoło ucałował ręce bratowéj, a życząc Rozalii dobréj nocy znacząco w oczy jéj popatrzył. Po kilku minutach bracia znaleźli się sam na sam w pokoiku na górze, czystym, wesołym, przystrojonym firankami świeżutkiemi i wielkim bukietem z floksów różnobarwnych, stojącym na stole obok kilku książek i dzienników. Zenon upatrywał znowu na twarzy brata wrażenia, które pokój ten na nim sprawi. W nim to przecież za czasów szkolnych mieszkali we dwóch, spędzając w domu wakacye, w nim także po śmierci ojca, gdy zwłoki zmarłego stały na dole w pokoju najparadniejszym, spędzili parę nocy na cichych rozmowach o stracie poniesionéj i różnych swoich smutkach i nadziejach. Tu Zenon zwierzał się przed starszym bratem z zawodu serdecznego, który go spotkał od kobiéty ubóstwio-

néj, a Wiktor opowiadał mu o pożyciu szczęśliwém z tą, którą niedawno był poślubił. Nie był jeszcze wówczas ani bogatym, ani tak znaczącym i pewnym siebie; doświadczał obok szczęścia domowego wielu trosk i niepewności. Ileż dni upłynęło od owych nocy przerozmawianych z bratem! Ile zmian zaszło w położeniu i usposobieniu ich obu! Jakiém nagłém, rzewném przypomnieniem godzin życia porannych i przedpołudniowych, uderzy mu w serce widok tego pokoju!

Lampę znaleźli już zapaloną; na krześle przy stole stała zamknięta skrzynka podróżna, do któréj Wiktor zbliżył się wprost ode drzwi i otwiérając ją, plecami do brata odwrócony, półgłosem mówić zaczął:

— Powiédz mi, Zenku, dlaczego ta wasza Rozalia nie wyszła za mąż? Taka pyszna kobiéta! Czy nikt się nie poznał na niéj, czy zanadto przebiérała, albo może jakie małe nieszczęście, co?

Przy ostatnich wyrazach odwrócił twarz ku bratu i filuternie mrugnąwszy, zaczął wydobywać ze skrzynki tualetowe przybory i drobiazgi. Zenon przez chwilę nie odpowiadał. Spuścił powieki, brwi ściągnęły się mu posępnie. Nakoniec, siadając na krześle umieszczoném przy stole, odpowiedział:

— Nieszczęście było istotnie, ale nie takie, jakie przypuszczasz. Przed dwunastu laty, Rozalia miała narzeczonego, który na krótko przed dniem na ślub przeznaczonym, prawie nagle umarł. Była po nim w rozpaczy i chociaż zdarzały się jéj potém partye odpowiednie, za mąż iść nie chciała.

— Głupia!— zawołał Wiktor i wyprostowawszy się z nad skrzynki, zaczął wydobytym z niéj grzebieniem przyczesywać sobie wąsy i krótko przystrzyżone włosy. — A wydaje się taką rozsądną, nawet rozumną! Zostać starą panną dlatego, że jakiś tam narzeczony, Bóg wié tam kiedy umarł! Chodząż to jeszcze po świecie takie sentymenty i romanse! Ale czyż to naprawdę przyczyna rzeczywista? a? powiédz prawdę?

— Mogę upewnić cię słowem honoru, że jest to przyczyna rzeczywista i jedyna pozostania Rozalii niezamężną. Wyznam ci też, że ta stałość uczucia, którego grób nie zabił, podnosiła ją zawsze w oczach moich.

— Może to i bardzo wzniosłe, ale niepraktyczne — odparł Wiktor. — I cóż dobrego wyniknęło z téj stałości? Umarłego przez nią nie wskrzesiła, a sama, zamiast uszczęśliwiać jakiego żyjącego śmiertelnika, więdnie w staropanieńskim stanie. To jest wielka niepraktyczność, a co niepraktyczne to i na dyabła zda się. Szkoda kobiéty! Lepszego losu warta!

Na twarzy Zenona rozléwał się uśmiech ironiczny.

— Uważam, że zajęła cię bardzo żywo. Jesteś w możności poprawienia jéj losu, nad którym tak ubolćwasz. Spróbuj, może już zapomniała, może uda ci się zasłonić przed nią cień z tamtego świata.

Wiktor, który w przywdzianym przed chwilą szlafroku eleganckim i kosztownym, czyścił sobie paznogcie jakiémś połyskującém narzędziem, podniósł na brata oczy pełne zdziwienia.

— Ja?—zawołał—ależ ja jestem już prowincyą zabraną, podbitą, na wieki wieków oddaną w posiadanie najpiękniejszéj w świecie rączki. Mam narzeczoną, mój drogi! Zjadę się z nią teraz w Wiedniu, tam ślub weźmiemy i będziemy już razem odbywali dalszą podróż. Wybornie się złożyło, uważasz? Bo podróż poślubną zawsze potrzeba byłoby odbyć, więc ją odbędę, ale jednocześnie z obowiązkową, w którą zwierzchność mnie wysyła. Chcesz może wiedzieć, jak wygląda narzeczona moja? Oto masz jéj portret, bardzo podobny. Śliczna, prawda?

Zenon patrzył długo na dużą fotografię, podaną mu przez brata, z któréj uśmiéchała się twarz kobiéty może trzydziestoletniéj, śliczna istotnie, rozumna, pełna wdzięku i słodyczy. Patrzył długo, bo czar wielki bił ku niemu z jéj oczu mądrych i dobrych, z uśmiechu zamyślonego, z bogactwa włosów upiętych malowniczo nad czołem otwartém i szlachetném. Po kilku minutach zaledwie oddając bratu fotografię, rzekł:

— Szczęśliwy jesteś Wiktorze. Przeżyjesz poraz drugi poemat życia. Ja, który nie przeżyłem żadnego...

— Tak, tak—przerwał mu mowę Wiktor—małżeństwo z tą kobiétą można rzeczywiście nazwać poematem...

I usiadłszy obok brata zaczął mu obszernie rozpowiadać wdzięki i zalety narzeczonéj. Nie skąpił szczegółów; kobiétę kochaną rozbiérał po prostu przed słuchaczem, zarówno fizycznie jak moralnie. Rozgrzał się i uniósł do tego stopnia, że wyrażenia poetyczne albo namiętne wplatały się mu w mowę. Dostał silnego blasku w oczach i rumieńców na policzkach Mówił długo. Powiedział nazwisko narzeczonéj i że to była młoda wdowa, która pierwszego męża nie kochała, że miała majątek, co nigdy niczemu nie przeszkadza, że różnica wieku jest trochę za dużą, ale że nie budzi to w nim obawy najmniejszéj, bo najprzód czuje się sam zdrowym, silnym i jeszcze młodym, a potém wié dobrze kogo bierze i jak zupełnie polegać może na prawości, szlachetności i przywiązaniu do niego téj kobiéty.

Zenon słuchał tych zwierzeń z oczyma przysłoniętemi dłonią,

jakby olśniony roztaczanym przed nim obrazem wielkiego szczęścia. Kiedy nakoniec Wiktor umilkł, odsłonił oczy i rzekł głosem nieco stłumionym:

— Czego najwięcéj winszuję ci, Wiktorze, to tego, że będziesz z żoną na jednym poziomie umysłowym. Mógłbym, chciałbym nawet opowiedziéć ci, jak dalece rozdział myśli i upodobań wpływa przytłumiająco na stronę uczuciową...

— Ależ Amelia jest bardzo, bardzo wykształconą! — z żywością przerwał Wiktor--wiele czyta, posiada parę ładnych talentów, w towarzystwie bywa prawdziwie świetną. Innéj-bym nie wziął. Wziąć za towarzyszkę wiekuistą gęś, albo kurkę, dziękuję! Nuda w domu i wstyd przed ludźmi...

Znowu mówił o zaletach umysłowych i towarzyskich przyszłéj żony dość długo, ale był to już monolog całkowity, bo Zenon po dwukrotnie nieudanéj próbie „otwiérania duszy" przed bratem, zamknął ją i milczał jak ściana. Ale i wymowa Wiktora słabła, ustawała, parę razy zamrugał powiekami jak człowiek walczący z wielką ochotą do snu.

Zenon spojrzał na zégarek.

— Pora ci już zasnąć po podróży. Dobréj nocy.

Podał rękę bratu i chciał tylko ją uścisnąć, ale Wiktor przyciągnął go do siebie i kilka razy w policzki wycałował.

— Rad jestem—rzekł z wylaniem—niewymownie rad jestem, że widzę cię zdrowym, zadowolonym, szczęśliwym, że ci się dobrze dzieje! Dobréj nocy, mój drogi! Dobréj nocy!

Powieki nieprzezwyciężenie opadały mu na oczy. Widać było, że gdy tylko dotknie głową poduszki, spać będzie jak zabity. Natomiast praca zawodowa gorliwa i kłopotliwa przyzwyczaiła go do wstawania rannego.

Zenon zastał go nazajutrz o dość wczesnéj godzinie nietylko już ubranego, lecz zajętego pisaniem listów. W szlafroku eleganckim, przed piękną teką, pełną papiérów i kopert różnego gatunku, siedział pogrążony w pisaniu tak dalece, że wejścia brata zrazu nie zauważył, a gdy po kilku minutach spostrzegł jego obecność, prawie nie patrząc na niego, rzekł krótko:

— Dzień dobry, Zenku. Każ, mój drogi, przynieść mi tu herbatę, bo mam na parę godzin jeszcze tego pisania. Gdy tylko skończę, zbiegnę tam do was na dół...

Po kilku minutach Filipek szedł na górę z tacą obciążoną wszelkiemi przysmakami, jakie tylko towarzyszyć mogą na wsi herbacie rannéj, a za nim, aż do drzwi pokoju szwagra biegła Sabina, strzegąc,

aby czegokolwiek po drodze nie uronił, albo nie stłukł. Zenon, chodził około stodoły i obory; rozmawiał z gumiennym i parobkami, kiedy zbliżył się do niego Pawełek i zaczął mówić o jakimś szczególe gospodarskim. Szło o parę koni fornalskich, z których jeden okaleczał, więc nie można będzie przez czas jakiś wysyłać go w pole z pługiem, a tu orka pod zasiew wiosenny jeszcze daleka jest do końca. Kłopot Co tu robić! Jak opóźnieniu się orki zapobiedz? Czy posłać po weterynarza, aby obejrzał chorego konia? Czy to jego okaleczenie jest lub nie jest winą parobka, który zazwyczaj tą parą pracował?

Zgryziony niepowodzeniem gospodarskiém, a więcéj jeszcze rozdrażniony czémś tajemném i dla niego samego niezupełnie jasném, Zenon odpowiadał zrazu Pawełkowi trochę szorstko i niecierpliwie. Potém jednak zauważył, że chłopak był mizerny, smutny, wzroku jego unikał i żal mu się go zrobiło. Złagodniał, zaczął mówić tonem poufałym i przyjacielskim, nakoniec z ręką położoną na ramieniu wychowańca, zapytał:

— Co ci jest? Nigdy jeszcze nie widziałem cię tak bladym i mizernym. Może czujesz się nie zdrowym, w takim razie nie jedź dziś w pole, odpocznij...

Nie skończył jeszcze słów tych, kiedy Pawełek zdjął jego rękę ze swego ramienia i zaczął całować ją gorąco, po wiele razy. Przytém łzy kręciły mu się w oczach.

— Zdrów jestem i zaraz w pole pojadę. Jabym dla pana pojechał na koniec świata...

Odwrócił się żywo, odbiegł i po paru minutach cwałował już na koniu do oraczy, których roboty miał doglądać. Zenon wyszedł tuż za bramę i udał się do bliskiego lasu, skąd zaczęto dziś wozić drzewo do dworu na opał zimowy. Trzeba odjąć stamtąd parę koni i wysłać ją z pługiem w zamianę téj, która na czas jakiś stała się nieużyteczną. Idąc myślał:

— Gdyby wszystkie puste słowa ludzkie zajmowały w przestrzeni tyle miejsca, ile go zajmują w czasie, zepchnęłyby ludzkość z kuli ziemskiéj. Pojechałby dla mnie na koniec świata! Pojedzie istotnie na koniec świata, ale dla pieniędzy. Kosztuje go to jednak widocznie, bo aż zmizerniał przez te dni parę. Ale ba! czy to tylko jest przyczyną tego zmizernienia? Może poprostu nie zdrów.

Potém opanowały go myśli wcale inne. Wczoraj o téj porze jechał po brata na stacyę kolei. Oto już i upłynęła doba jedna; upłynie zaraz druga i uniesie z sobą to, czém się tak cieszył, czego tak gorączkowo oczekiwał. Miał zamiar zaprowadzić Wiktora do tego lasu, ku któremu zbliżał się teraz, aby pokazać mu swoją szkółkę za-

sianych sosen, które udały się ślicznie i gęstą szczotką okrywały kilka morgów gruntu. Są tam zresztą w tym lesie ścieżki ciekawe, po których często chodzi sam jeden. Chciał przejść się po nich z bratem. Cóż kiedy Wiktor cały prawie ranek musi poświęcić pisaniu listów. Człowiek zajęty, bardzo zajęty! Zresztą, nie lubi... zieleniny!

W parę godzin potém wracając z lasu, Zenon usłyszał wesołe głosy i śmiechy, które rozlegały się w stronie sadu owocowego. Poszedł śpiesznie w tym kierunku i zobaczył scenę niezmiernie ożywioną i wesołą. Niedorosły ogrodniczek siedział na dużéj śliwie i wstrząsając drzewem zrzucał z niego grad owoców, które trzy osoby dorosłe i dwoje dzieci podnosiło i składało w kosze z bieganiem, gonitwami, śmiechem i rozmowami przez śmiéch przerywanemi. Wesołe to grono osób było także wystrojoném. Zenon już nie pamiętał, kiedy widział żonę tak starannie ubraną i uczesaną; miała nawet pasek kolorowy dokoła wątłéj kibici i jakąś zalotną kokardę w jasnych włosach. Na czarnéj sukni Rozalii połyskiwały ozdoby dżetowe. Anielka cała w bieli i Kazio w kostyumie marynarskim, wyglądali na królewięta w porównaniu z codzienną swoją postacią. Ale z pomiędzy wszystkich Wiktor był najświetniejszym. Zmuszony wczoraj do pozostania w ubraniu podróżném i okurzoném, dziś ustroił się *à quatre épingles*, w sukno czarne i cienkie, w przód koszuli olśniewającéj białością, w srebrny znak inżynierski u klapy surduta. Przytém, ilekroć wbiegał w pas światła słonecznego, roznieciały się na jego osobie dwa małe ogniska blasków tęczowych: jedno pod szyją, drugie na małym palcu ręki. Były to brylanty tkwiące w szpilce od krawata i w pierścionku zapewne zaręczynowym.

Powietrze było przejrzystém jak kryształ, nieruchomém i bladozłotém; pasy światła słonecznego i pasy cieniów, nierówne, postrzępione, kładły się na trawę usianą opadłemi z drzew liśćmi czerwonemi, brunatnemi, żółtemi. Pomiędzy te liście, szeleszczące przy każdém dotknięciu, spadały gradem ze wstrząsanego drzewa śliwki węgierki dojrzałe, fioletowe, ze złotemi kroplami wosku i z liliowym puszkiem.

Spadały nietylko na trawę i liście suche, ale też często na plecy i głowy osób, które dokoła drzewa biegały i co chwilę to pochylały się, to wyprostowywały. Wywoływało to za każdym razem chwytanie się za głowy i ramiona, ucieczki, śmiechy.

Śmiéch Sabiny brzmiał najcienièj, Rozalii najciszéj, Wiktora i dzieci najgłośniéj i najswobodniéj. Zenon, którego zbliżenia się nikt nie zauważył, usiadł o kilkanaście kroków, na małéj ławce i patrząc na brata myślał, że taka wesołość jak jego jest przymiotem bar-

dzo cennym, darem prawie cudownym, który nawet kurczątka skurczone i lękliwe przerabia na wiewiórki płoche i skaczące, a posępne chmury przemienia w motyle. On, Zenon, chciałby bardzo być równie wesołym, ale nie może; chciałby bardzo biegać, śmiać się, podnosić śliwki i zamiast do kosza rzucać je pokryjomu na plecy kobiét i dzieci, a zagrożony ich zemstą uciekać, zasłaniając się rękoma, połyskującemi ogniskiem świateł tęczowych. Nie może. Z uśmiechem przypatruje się zabawie, ale nie może wziąć w niéj udziału. Czuje się jakoś ciężkim. Co to takiego przygarbia mu plecy i przykuwa do ziemi stopy? Przecież nie starość! Wiktor jest od niego starszym o całe 4 lata. Różnica temperamentu, różnica umysłu. Po chwili pomyślał: różnica losu. Wszystkie te trzy różnice istniały niezawodnie i sam nie wiedział, która była najważniejsza. Dość, że były i wszystkie przemawiały na korzyść Wiktora, na niekorzyść jego. Tam było zdrowie ciała i ducha, trzeźwość, energia, miła wesołość ośmielająca najtrwożliwszych, rozchmurzająca najposępniejszych. Tu, myśli ciemne i uczucia wiecznie nienasycone, które z głodu gryzły tajemnie serce chore na tęsknotę za niepodobieństwem, na marzenia nie ziszczalne, na wątpienia o wartości wszystkiego na świecie i swojéj własnéj. Jedném słowem: niedołęstwo. Tam dzielność, tu niedołęstwo. Tak myśląc, Zenon uczuł się wobec świetnego brata swego niezmiernie małym i marnym.

Zabawa dokoła drzewa śliwowego trwała długo, potém przeniosła się pod gruszę, któréj owoców nie można było otrząsać, tylko trzeba było zdejmować je za pomocą przyrządów odpowiednich. Wiktor natychmiast uzbroił się w długą tykę z haczykiem i siatkę u końca, chodząc dokoła drzewa upatrywał na niém najpiękniejsze bonkrety i z ostrożnościami, które znowu rozśmieszały kobiéty i dzieci, zdejmował je z gałęzi. Przytém jednak zajęciu mniéj ruchliwém, niż poprzedzające spostrzegł wkrótce Zenona i wnet do niego przybiegł.

— Wróciłeś już od gospodarstwa! Jakże się masz? Czy dawno tu siedzisz?

Siadł na ławce obok brata. Kobiéty, dzieci i ogrodniczek z koszami owoców poszli w głąb ogrodu, w kierunku domu. Wiktor chustką woniejącą ociérając pot z czoła, z uniesieniem mówić zaczął.

— Co to za miła rzecz—wieś! Świéże powietrze, ruch, swoboda, taka obfitość wszystkiego...

— Nie lubiąc „zieleniny", jakże możesz lubić wieś? — uśmiechnął się Zenon.

— Na krótko téż, mój drogi, na krótko ją lubię. Ile razy wpa-

dłem na wieś, na kilka dni, na parę tygodni, zawsze bawiłem się jak dziecko i byłem zachwycony. Ale żeby tak rok cały, to nie! Nie mógłbym za nic żyć bez towarzystwa, muzyki, teatru, wszystkich tych zresztą wrażeń, które tylko miasta dawać mogą...

Obrócił się twarzą do brata.

— Ale ty, szczęśliwy człowieku, żyjesz tu sobie jak w raju. Taka śliczna wieś, takie miłe kobiéty, ładne dzieci... w czépku się urodziłeś!. .

Zenon zwolna odpowiedział:

— Dlaczegóż myślisz, że to, bez czego ty nie mógłbyś wyżyć, nie jest także dla mnie pożądaném? I czy wyobrażasz sobie, że dom jakikolwiek tak samo wygląda na codzień, jak w święto, dla gości?

— Wszystko tu, mój kochany, wygląda zachwycająco i gdybym był na twojém miejscu, czułbym się najszczęśliwszym z ludzi. Chociaż i na to, co mnie spotyka, wyrzekać nie mogę... Powodzi mi się na służbie, w interesach i... jeszcze w czémś bardzo ważném!... Zgadnij, ile mam kapitału?

— Nie zgadnę. Powiédz sam.

Powiedział cyfrę znaczną i zaraz opowiadać zaczął o dwóch aferach, które przyniosły mu zyski największe. Było to w związku z budowaniem kolei żelaznych i gmachów publicznych, znowu więc pociągnęło za sobą wykład rzeczy technicznych obszerny i szczegółowy. Znowu jeden z braci mówił długo, płynnie, z takim zapałem, z jakim zazwyczaj człowiek mówi o rzeczach, które przyniosły mu chlubę i korzyść; drugi słuchał i milczał.

Kiedy Wiktor przestał na chwilę mówić, Zenon zaczął:

— Co do moich interesów majątkowych, nie mogę powiedziéć, aby stan ich był opłakany, ale trzeba wielkiéj pilności i ostrożności . . .

— Naturalnie—wpadł mu w mowę brat —jakże może być opłakanym! Zapolanka jest wsią ładną, a wy tu macie potrzeby tak ograniczone. Na szerokim świecie jest wcale co innego. Gdybyś wiedział, jaki teraz zbytek panuje wszędzie. A stosować się do tego trzeba koniecznie, bo inaczéj niepodobna miéć stosunków, znaczenia, wpływu...

Opowiedział bratu, jaki sposób życia prowadzi, na jaką skalę dom utrzymuje, jakie meble są w jego salonie, a jakie w gabinecie, ile przeżywa rocznie, jakie stosunki posiada w téj stolicy, w tamtéj, w trzeciéj, do jakich klubów i teatrów uczęszcza najchętniéj, ile cza-

su poświęca na pracę, a ile na zabawę. Kiedy wreszcie skończył, Zenon zapytał:

— A córka twoja?

— Córka? Kostunia? Prawda, zapomniałem dotąd mówić ci o niéj. Ma już rok ośmnasty i chmarę konkurentów. Dziewczyna ładna, miła, utalentowana...

— Jakże się cieszę tém, co o niéj mówisz, z oczyma rozbłysłemi od radości zawołał Zenon i zaczął rozpytywać się z zajęciem niezmiernóm o nieznaną synowicę.

Wiktor, jak zwykle, nie szczędził szczegółów, kiedy przedmiot zdawał się wyczerpanym, Zenon z kolei mówić zaczął:

— Co do mnie, niepokoję się trochę z powodu starszego chłopca mego...

— A prawda! Wszakże masz starszego syna!—przypomniał sobie Wiktor.—Gdzież on jest?

— Odjechał w swoim czasie do miasta, do szkół... Chłopak zdolny i z sercem dobrém, ale... rozwijać się w nim zaczęła od niedawna niezmierna skłonność do elegancyi, komfortu, wszelkiego rodzaju popisywania się z osobą swoją...

— A cóż ci to szkodzi?—ze zdziwieniem zapytał Wiktor.

— Jakto! Lękam się, aby próżność i zamiłowanie w zbytku nie uczyniły z niego człowieka małego, którego celem jedynym...

— Ale śmiéj się z tego, mój drogi! — wesoło zawołał Wiktor — przeciwnie, będą mu one pomagały do stawania się coraz większym. Jeżeli chłopiec jest eleganckim, tém lepiéj, bo „jak cię widzą, tak cię piszą". Każdy z większém uszanowaniem obejdzie się z cienkim surdutem, niż z grubą kapotą, chociażby pod surdutem była koszula podarta, a pod kapotą cała, ale zgrzebna. To jedno. A drugie: jeżeli chłopak czuje potrzebę odznaczania się i popisywania, to będzie z całéj siły pchać się coraz wyżéj, a na świecie, mój drogi, ten tylko może stanąć wysoko, kto umié dobrze robić łokciami. Skromność i pokora na nic się w życiu nie przydają i chcąc nabyć u ludzi ceny wielkiéj, trzeba samego siebie cenić wysoko. Nie masz wcale, mój Zenku, powodu do niepokojenia się losem syna. Z tego, co mówisz mi o nim, jeżeli zwłaszcza nie brak mu zdolności umysłowych, widzę, że chłopak ma przed sobą przyszłość...

— Lękam się, aby nie chciał jéj kupować za cenę sumienia — chmurnie dokończył Zenon.

— To są egzageracye. Dlaczego zaraz za cenę sumienia? Przecież ludzi okradać, ani miast podpalać nie będzie, a z elegancyą, ambicyą i trochą próżności daléj zajdzie i zdobędzie sobie więcéj, niż

gdyby był safandułą i chodził po świecie cichym kroczkiem, ze spuszczonym nosem. Zresztą masz troje dzieci. Jedno ci się nie uda, drugie się uda, a zawsze dobrze będzie. Szczęśliwy z ciebie człowiek, mój Zenku i, jak Boga kocham, tak cieszę się tém, że aż mi płakać chce się z radości.

To mówiąc, objął i po kilkakroć uścisnął brata, z oczyma naprawdę wilgotnemi od rozrzewnienia. Zaraz téż zaczął mówić, że nie ma z córką kłopotu najmniejszego. Najprzód jest ona jedynaczką, a następnie istnieje tam taka ciotka, siostra jéj matki, która przepada za dziewczyną, od śmierci matki trzyma ją prawie ciągle u siebie, stroi, pieści i pewno wkrótce za mąż wyda. Ta ciotka jest wielką jego dobrodziejką, bo gdyby nie ona, miałby po owdowieniu kłopot ogromny z panną dorastającą. Odbywając często podróże obowiązkowe i prawie nigdy nie przesiadując w domu, trudno bardzo zajmować się edukacyą panny, a potém w świat ją wprowadzać. Ale to wszystko wzięła na siebie ciotka, on zaś tylko dostarcza pieniędzy na wydatki córki, czasem odwiedza ją u ciotki, a czasem, w czasie swobodnym od zajęć pilnych, bierze do siebie na parę tygodni lub miesięcy. Opowiadał o tém wszystkiém ze zwykłą werwą, ale co chwila rzucał spojrzenia na drogi ogrodowe, prowadzące ku domowi. Znać było, że już rad byłby odejść dla poszukania kompanii nieco liczniejszéj. Zenon to spostrzegł, wstał i zaproponował powrót do domu. W drodze spotkali Kazia, który rozbiegany i zasapany wpadł jak kula pod nogi ojcu i stryjowi, zaledwie mogąc wymówić, że „Mama prosi na obiad". Wiktor ujął go pod ramiona, podniósł znacznie w powietrzu, pocałował głośno i postawiwszy na ziemię, rzekł:

— Ogromnie silny jestem. Takiego dzieciaka dziewięcioletniego mogę jak piórko na dach zarzucić! Pracowałem w życiu bardzo wiele, ale praca nigdy mi nie szkodziła, owszem, podtrzymywała we mnie energię i zdrowie. Zmartwienia i kłopoty wszelkie, które zdarzały się nieraz, jak u każdego, traktowałem zawsze przez nogę. Zajdą mi drogę, to wezmę je za bary i obalę, albo jeżeli obalić nie mogę, na stronę uskoczę i daléj przed siebie, zawsze tylko praktycznie i energicznie, bez medytacyi, desperacyi, melancholii i innych tam takich rzeczy, które zdrowiu szkodzą, a niczemu wcale nie pomagają. I ty, Zenku, robisz tak samo? Prawda? Inaczéj nie można. Gryząc się byle czém, medytując nad każdą rzeczą, odmawiając sobie przyjemności życia, można wcześnie wtrącić się do mogiły, albo co najmniéj stać się niedołęgą, ciężkim dla siebie i dla innych. No, czyż nie prawda?

— Święta prawda — z przekonaniem potwierdził Zenon i po

chwili dodał. —Szkoda tylko, że usposobienia takie albo inne nie zależą od woli człowieka, tylko od natury jego temperamentu i umysłu, a po części też od okoliczności.

— Jakto, nie zależą! — oburzył się Wiktor. — Wszystko zależy od woli człowieka. Kto ma rozum i wolę, temu na świecie musi być dobrze. Masz przykład na samym sobie. Gdybyś był wówczas, przed 18-tu laty, nie zdobył się na zerwanie z tym swoim zdradzieckim ideałem z Monachium i na osiedlenie się w Zapolance, nie byłoby ci tak dobrze jak jest teraz! Prawda?

Zenon popatrzył na brata przez kilka sekund, w dalekiéj głębi jego oczu zapalił się płomyk ironiczny, nic jednak nie odpowiedział i wszedł z bratem do jadalni, gdzie u nakrytego stołu czekały już na nich kobiéty i dzieci. Wiktor natychmiast wsunął się pomiędzy Sabinę i Rozalię, tak manewrując, że przy stole zajął miejsce pomiędzy niemi. Było przytém trochę żartów i śmiéchu, bo panie chciały niby siedzieć obok siebie, on zaś usiłował je rozłączyć i dokonawszy tego, rozpościérając serwetę na piersi, mrugnął oczyma ku bratu.

— A co, Zenku! Widzisz, co znaczy wola!

Sympatya, którą od razu powziął był dla Rozalii, zdawała się wciąż wzrastać, ale niemniéj zajmował się i Sabiną. Przysługiwał się jéj co chwilę, mówił komplementy dotyczące porządków domowych, dzieci, nawet jéj dzisiejszéj toalety. Zenon prawie, nie biorąc udziału w rozmowie, pomyślał:

— Gdyby nie była tak przekwitłą i mało zajmującą, bałamuciłby ją z pewnością tak jak Rozalię.

Ale po chwili spostrzegł ze zdziwieniem, że Sabina nie poczytywała siebie za tak przekwitłą i mało zajmującą, za jaką on ją miał i jaką była rzeczywiście. Usłużność i grzeczność szwagra wprawiały ją w zachwycenie, błękitne oczy, jeszcze dość piękne, nabrały życia i blasku, parę razy uśmiéchnęła się do sąsiada prawie zalotnie. Kurczątko próbowało podlatywać i w połowie obiadu cieniutkim swym głosikiem zaczęło mówić o swojém dawném zamiłowaniu do muzyki, tańców, strojów.

— Ależ bratowéj i teraz także wszystko to się należy! — zawołał Wiktor. — Państwo nie bawicie się tu nigdy! Czy być może! Ależ to dla pań obu jest krzywdą wielką. Trzeba koniecznie, Zenku, abyś postarał się dom ożywić i postawić go na stopie towarzyskiéj... Przecież tu być muszą sąsiedztwa jakieś. Dlaczegóż nie udzielacie się im, nie zbiéracie ich u siebie?

Kobiéty milczały, Zenon odpowiedział:

— Po pierwsze, sąsiedztwa są tu nieliczne i niezajmujące. A po-

wtóre, gdybyśmy zaczęli udzielać się i u siebie zbiérać kompanie. Zapolanka uleciałaby z wiatrem, jak puszek.

Powiedział to tonem szorstkim, jakim prawie nigdy nie przemawiał i zaraz tego pożałował, ale daremnie, bo Wiktor nie miał widocznie skłonności do spostrzeżeń drobiazgowych.

— Co? — zawołał — Zapolanka uleciałaby z wiatrem! Ależ to być nie może. Kto jest w tak świetnych interesach, jak ty, mój drogi...

— Nie zapytywałeś mnie o stan interesów moich, więc i nie wiész...

— Jak to nie wiem! Przecież znam Zapolankę i widzę, że na taki sposób życia, jaki prowadzicie, jest ona aż nadto wystarczającą...

— Nie mówiłem, że jest nie wystarczającą — odpowiedział Zenon — ale na inny, trochę zbytkowniejszy, nie wystarczyłaby z pewnością...

— Ale wystarczyłaby, mój Zenku, upewniam cię, że wystarczyłaby doskonale. Kiedy niekiedy przyjęcie jakieś, wieczorek, albo jeszcze wojażyk mały... do wielkiego miasta, zagranicę... Cóż to znaczy? Alboż to znowu tak wiele kosztuje?

— Więcéj niż mógłbym wydać, bez pokrzywdzenia ziemi i ludzi... bo mam małe długi...

— Co tam długi! Jeżeli i są, to spłacą się kiedyś, prędzéj lub późniéj spłacą się z pewnością...

— Same przez się? bez przyczynienia się mego? — zażartował Zenon.

Wiktor bez najmniejszego zakłopotania odpowiedział:

— Zapolanka je spłaci, a tymczasem mógłbyś sobie i swoim paniom, więcéj niż dotąd, uprzyjemniać życie...

— Byłoby to grzechem przeciw praktyczności, cnoty, którą cenisz najwyżéj...

— To prawda, że praktyczność cenię bardzo wysoko, ale nie jest téż praktyczném prowadzić życie mnisze, bo można ztetryczéć i zdziczéć...

— Wiérz mi, Wiktorze, że nikt nie może stetryczéć i zdziczéć z sercem wesołém; jednak z dwojga złego, wolę być zdziczałym tetrykiem, aniżeli puszczać z wiatrem ziemię, honor, przyszłość dzieci...

— Pehuu! jakie wielkie słowa — zaśmiał się Wiktor — co to ma jedno do drugiego? Czyż ziemia i honor wymagają ofiar?

— Wymagają — stanowczo rzekł Zenon.

— Nie rozumiem tego i jestem pewny, że te rzeczy dałyby się pogodzić, byleby postępować z niemi...

— Praktycznie i energicznie...

— A tak i bez egzaltacyi w kierunku żadnym, bez egzaltacyi i egzageracyi. Ale ty zawsze byłeś egzaltowanym...

— Już ostygłem i ostudzam się ciągle — dokończył Zenon.

Byli obaj rozdrażnieni; Zenon więcéj, Wiktor mniéj; ale czuć było w powietrzu starcie się powściągane dwu natur zupełnie niepodobnych. Rozalia z wielkim taktem nadała rozmowie kierunek inny, prosząc Wiktora o wytłómaczenie jéj jakichś szczegółów architektonicznych, które w opisach spotykanych często bywały dla niéj niezrozumiałemi. Jego puściło to od razu na prąd, z którym mógł płynąć bez końca. Pomiędzy przedmiotami łączącemi się z jego zawodem była także i architektura. Wzniósł był nawet na swoją rękę i z zyskiem pieniężnym znacznym parę gmachów publicznych. Tłómaczył więc, opowiadał, trochę wyrzekał na trudy poniesione przy tych przedsięwzięciach i budowach, trochę chlubił się doskonałością dzieł dokonanych i korzyściami, które mu przyniosły. Był znowu rozpromieniony, ugrzeczniony, tryumfujący. Zenon słuchał wszystkiego w milczeniu i nie bez zajęcia, ale przez głowę przemknęła mu myśl:

„Pełen siebie i — swego!"

Po chwili pomyślał jeszcze:

„Tak pełen siebie i swego, że nic więcéj zmieścić się w nim nie może."

Jednak po obiedzie niezadowolony z siebie i szczerze żałujący, że posprzeczał się z bratem, zbliżył się do niego, usiłując rozmawiać o wszystkiém, co tylko Wiktora obchodzić mogło. On téż jeżeli i doświadczył był przez chwilę jakiego uczucia niemiłego, oddawna już o tém zapomniał, a propozycya Sabiny udania się po rydze do pobliskiego lasku ucieszyła go ogromnie. Zenon osłupiał ze zdziwienia. Żona jego tworzyła zamiar przechadzki i wypowiadała go z nieśmiałością i rumieńcem panienki szesnastoletniéj! Już nawet nie pamiętał, odkąd Sabina nietylko samoistnie na przechadzki się nie zdobywała, ale nie dawała się na nie wyciągnąć żadną namową i prośbą. Wiecznie brakowało jéj czasu, albo czuła się zmęczoną tuptaniem około gospodarstwa. Ale teraz i z gospodarstwem potrafiła się załatwić i z uciechą dziecinną pobiegła swoim drobnym kroczkiem po koszyki do śpiżarni. Wiktor w ręce klasnął.

— Grzybobranie, rodzaj sportu! Lubię wszelkie rodzaje sportów!

Zwrócił się do Rozalii.

— Będziemy razem szukali rydzów, dobrze? Niech pani mnie biédnego, niedoświadczonego w tym kierunku człowieka pod swoje skrzydło opiekuńcze weźmie!

— O nie — broniła się żartobliwie Rozalia; — kto tak jak pan umié być samodzielnym we wszystkiém, powinien téż samodzielnie i rydzów szukać!

Ulitowała się jednak i zaczęła go nauczać, jak, gdzie, dokoła jakich drzewek i krzaków, w jakich mchach i trawach najczęściéj rosną rydze. Sabina weszła z koszykami, za nią wbiegły uszczęśliwione dzieci. Wszystko było gotowe; tylko Zenon wymówił się od wzięcia udziału w zabawie pilnemi zajęciami gospodarskiemi.

Nie było to zmyśleniem; istotnie dowiedzićć się potrzebował, czy młóckarnia zrana trochę zepsuta dobrze już funkcyonuje, co dzieje się z orką, czy Pawełek jest jeszcze w polu i dlaczego na obiad nie przyszedł, bo złe wyglądanie chłopca, zrana spostrzeżone, trochę go niepokoiło. Mógłby jednak wszystko to odłożyć na późniéj, gdyby mniemał, że udział jego w przechadzce przyda się na cokolwiek jemu i gościowi. Ale wiedział z góry, że Wiktor będzie nieustannie trzymać się towarzystwa kobiét, a on spędzi te parę godzin na błąkaniu się po lesie bezużytecznóm, bo do zbiérania rydzów nie miał pasyi najmniejszéj. Było im zresztą zupełnie wesoło i dobrze bez niego; odeszli gwarząc, a on przedewszystkiém udał się do stodoły.

Jak bywa najczęściéj w gospodarstwie, zamiast dwóch lub trzech szczegółów do załatwienia, znalazł ich Zenon kilkanaście i zaledwie po upływie paru godzin wrócił do domu, trochę zgryziony młóckarnią, która zepsuła się na dobre i niespokojny o Pawełka, który wydał mu się więcéj jeszcze mizernym i bladym, niż zrana. Dotknął dłonią głowy chłopca i uczuł, że była gorąca. O wszelkich możliwych urazach zapomniał do szczętu, trwożył się tylko o to, aby chłopak nie rozchorował się na dobre, tém więcéj, że obiadu jeść nie chciał i że we wsi niedalekiéj panowały jakieś gorączki zaraźliwe. Jutro wypadnie zapewne posyłać naraz po lekarza dla Pawełka, po weterynarza dla konia okaleczonego i po mechanika do młóckarni.

W domu nie było jeszcze nikogo. Filipek tylko wnosił do jadalni samowar buchający parą i Kasia, pokojowa, ustawiała na stole koszyki i talérze z przygotowanemi zawczasu przez Sabinę dodatkami do herbaty. Zenon wyszedł na ganek ogrodowy i zamierzał udać się w stronę lasku z rydzami, gdy usłyszał za jednym z klombów rozmawiające głosy Wiktora i Rozalii. Towarzystwo powracało z przechadzki; ta para wyprzedziła Sabinę z dziećmi i krętemi ścieżkami okrążała klomby z drzew i krzewów. Do stojącego na ganku Zenona

dochodziły urywki rozmowy, dość głośno zresztą prowadzonéj. Wiktor prosił Rozalię o fotografię, ona wymawiała się tém, że jéj nie posiada, ale gdy nalegał, przyrzekała dać mu tę, która się znajdowała w albumie Sabiny. W głosie jéj czuć było wzruszenie, maskowane lekkim śmiéchem, po chwili wysunęli się z za grupy krzewów. Zenon widział, jak Wiktor, ująwszy obie ręce towarzyszki, długo przyciskał je do ust, poczém, zamiast iść ku domowi, skierowali się na ścieżkę dalszą i w zmroku zapadającym zniknęli za krzewami. W Zenonie coś zawrzało. Kilka naraz uczuć podniosło się w nim falą goryczy i gniéwu. Naprzód pomyślał:

— Zawróci jéj głowę na dobre i już na wieki humor zakwasi! Cóż? starą jeszcze nie jest i musi wiedziéć, że jest jeszcze piękną. Gotowa uwierzyć w jego androny, rozkochać się, a potém przyjdzie mi chyba z domu uciekać od jéj kwasów i fochów.

Potém przyszła mu na pamięć fotografia kobiéty z oczyma dobremi i mądremi, z uśmiéchém rozkosznym, z czołem szlachetném, pod gęstwiną włosów upiętych z prostotą i smakiem. Wszakże to narzeczona Wiktora, kobiéta, którą ma wkrótce poślubić, która mu ufa, w téj chwili może myśli o nim z tęsknotą i upewnieniem, że jest kochaną głęboko i wiernie! Tymczasem głębokość i wierność jego uczucia jest taka, że nie mogą oprzéć się powabom pierwszéj lepszéj staréj panny, trochę jeszcze pięknéj i roztropnéj! On Zenon, od bardzo dawna nie miał i nie mógł miéć dla żony innych uczuć nad szacunek i przyzwyczajenie, ale nie pozwalał sobie nigdy na cień jakiéjkolwiek kompensaty w tym kierunku. Ile go to kosztowało, on jeden tylko wiedział, ale była w nim prawość i litość, które nie pozwalały oszukiwać, ani zadawać cierpień. To też teraz oba te uczucia były w nim obrażone. Żal go zdéjmował nad tą nieznajomą, już zapominaną, już zdradzaną, a dla niego idealną, jeżeli tylko dusza jéj była podobną do swéj powłoki. I człowiek, który miał wkrótce posiąść to czarujące stworzenie, a w wieku już dość spóźnionym przeżyć pełnię szczęścia młodzieńczego, upędzał się jeszcze za tą okruchą uciechy, za tą przyjemnostką chwilową, osiągniętą kosztem zdrady względem tamtéj, zmącenia pokoju téj!

Był zbyt przyzwyczajony do wglądania w samego siebie i do roztrząsania sumienia swego, aby nie spostrzedz, że w uczuciach gorzkich i gniéwnych, których doświadczał, obok zasad obrażonych, obok współczucia dla kobiéty zdradzanéj i téj, która była wprowadzaną w złudzenie, istniało trochę, może nawet dużo, zazdrości. To, czego mu najwięcéj może brakowało, tamten miał posiadać w pełni upojeń wiosennych i długich, a jeszcze nie był syty! Czemuż dla jednych

czara życia wylewa przez brzegi uroki i uciechy, a dla innych z drobną kropelką słodyczy miesza garnce goryczy i ckliwości?

Wiedział dobrze, że te uczucia i myśli były złemi, ale je miał. Chciał odpędzać je od siebie, ale nie mógł. Twarz kobiéca, widziana na fotografii, piękna, dobra, rozumna, jak zaklęta, stała mu przed oczyma, a spodem mózgu wiła się myśl, przeszywająca jak wyostrzony drucik: „Jemu i tego mało!” Zarazem, czuł dla siebie pogardę. Pogardzał sobą, że zazdrościł bratu, jednak zazdrościł, tém tylko uniewinniając się trochę przed sobą, że Wiktor i Rozalia byli w ogrodzie wtedy jeszcze, gdy Sabina, śpiesznie wbiegłszy do domu, zakrzątnęła się około przyrządzania herbaty i wtedy, gdy herbata już naciągnęła i byłaby nawet zagotowała się na samowarze, gdyby nie zapobiegawcza troskliwość o nią Sabiny.

Siedział przy stole, oświetlonym lampą i myślał: „Jakimże będzie późniéj los téj kobiéty, jeżeli teraz jest już takim!”

W młodości był popędliwym; potém przezwyciężał w sobie tę wadę siłą przekonań i woli, aż wyléczył się z niéj prawie zupełnie. Teraz, pod wpływem złéj namiętności, która wślizgała mu się w serce, dawna ułomność charakteru wychodziła z kryjówki, w którą ją był zapędził. Kiedy nakoniec Wiktor i Rozalia weszli do salki jadalnéj i usiedli przy stole, oboje z oczyma więcéj niż zwykle błyszczącemi i trochę przymuszonemi uśmiéchami na ustach, Zenon zwrócił się do brata z zapytaniem.

— Czy termin twego ślubu z panną Amelią jest już stale wyznaczony?

Słowa te były prawdziwém *coup de théâtre*, które przecież trwało tylko jedną minutę. Wiktor zmieszał się ogromnie, po wyrazistéj twarzy Rozalii przebiegło drganie nerwowe, Sabina upuściła na spodek łyżeczkę i tak się zlękła, że oczy jéj biegać zaczęły. Ale w niespełna minutę Rozalia pierwsza, uprzejmym ruchem zwracając się do Wiktora, ze spokojnym uśmiéchem przemówiła:

— Pan ma narzeczoną?

— Tak — zwolna i z wahaniem w głosie odpowiedział Wiktor — to stara historya, któréj zakończenie nie wiadomo jeszcze, kiedy nastąpi.

Ale po raz pierwszy, odkąd przybył do Zapolanki, na czole jego powstała zmarszczka, spojrzeniem, prawie ostrém, błysnął ku bratu i na całe półgodziny stał się bardzo małomówny i zachmurzony. Wtedy jednak Rozalia zaczęła mówić z wielką swobodą o dzisiejszém rydzobraniu, lesie i pięknym dzisiejszym wieczorze, a Zenon, czując się głęboko unieszczęśliwiony widokiem zmarszczki na czole brata,

usiłował zagadywać o rzeczach, które mogły być dla niego najwięcéj przyjemnemi i zajmującemi. To też Wiktor po upływie pewnego czasu rozchmurzył się i wziął udział w rozmowie, ale do uprzedniéj swobody i werwy już nie powrócił. Nie wydawał się rozgniéwanym, ale zmieszanym i nieswoim. Po skończonéj herbacie wziął brata pod rękę i pociągnął go do ogrodu.

Na ganku już mówić zaczął:

— Mój Zenku, po coś ty wyjechał przed paniami z tym moim bliskim ślubem? Wprowadziłeś mnie w taki ambaras, że języka w gębie zapomniałem. Trzeba wypadku! Jak raz, tylko co powiedziałem Rozalii w ogrodzie, że dopókim jéj nie poznał, serce moje było wolne, jak ptak, i że ona dopiéro pozbawiła je téj wolności. A tu traf! W pięć minut po takiém powiedzeniu i odpowiedniém całowaniu rączek ty wyjeżdżasz z terminem mego ślubu! No!

Mówił to ze szczególném pomieszaniem zgryzoty i śmiéchu. Zenonowi także śmiać się zachciało, tak go zabawił ten sposób obchodzenia się z przedmiotem, do którego on przywiązywał wagę wielką. Ale wkrótce spoważniał.

— Mój Wiktorze—zaczął—nie potrafię nawet wypowiedzieć, jak mię to boli, że wyrządziłem ci przykrość i jak serdecznie za to cię przepraszam. Ale doprawdy, czyż podobna tak bez ceremonii obchodzić się z sercami innych. Przecież twoja narzeczona kocha cię i ufa miłości twojéj.

— Bo też ją i kocham! — zawołał Wiktor — co to ma jedno do drugiego? Tam miłość, tu zabawa. Jakąż szkodę sprawić może Amelii to, że ja, o dwieście mil od niéj, spędzę z inną kilka chwil przyjemnych.

Zenon, sam nie wiedząc, czy mu się więcéj chce śmiać, czy gniéwać, odpowiedział:

— Ty byś gotów był nietylko o dwieście mil, lecz i o dwa kroki od niéj spędzać takie przyjemne chwile z inną. Ależ i ta inna może uwierzyć i pokochać!...

— A cóż by się jéj stało od tego? — zadziwił się Wiktor — kilka miłych godzin przerwałoby jéj smutny stan staropanieński, pomarzyłaby trochę, a potém mogłaby aż do śmierci wspomnieć o czémś świéższém od nieboszczyka narzeczonego. Wziąłeś ze strony tragicznéj rzecz najpospolitszą w świecie i jeżeli grzészek, to niesłychanie powszedni i maluteczki, poprostu schwycenie w lot przyjemnostki, która przelatywała przed nosem i któréj nie pochwyciłby chyba głupiec.

Zenon w sposób echowy powtórzył:

— Głupiec!

A potém dodał:

— Czyż doprawdy ci, którzy nie uprzyjemniają sobie życia kosztem wszelkim, są głupcami?

Wiktor nie odpowiedział. Szli pod ramię drogą dość szeroką, przerzynającą ogród w całéj jego długości. Srebrny siérp, otoczony gwiazdami, świécił na niebie, napełniając powietrze przyćmioném światłém księżyca na nowiu. Po dość długiém milczeniu Zenon ozwał się pierwszy.

— Często zastanawiałem się nad tém, kto rzeczywiście ma słuszność, a kto się myli: ludzie światowi i weseli, usiłujący otrząść się o ile podobna z kolców życia i wyzyskiwać kosztem wszelkim jego strony rozkoszne; czy téż ci, którzy biorą na plecy brzemię obowiązku, strzegą tego tylko, żeby nie uronić najmniejszéj jego cząstki i, zapatrzeni w gwiazdę daleką, jak ślepcy, omijają kwiaty, a włażą w cierniste zarośla? Który z tych dwóch gatunków ludzi jest naprawdę głupim, a który mądrym?

— Zdaje mi się — odpowiedział Wiktor — że w tém, jak we wszystkiém, najlepszym jest rozsądny środek. Pracować trzeba, bo bez pracy człowiek musi stać się łachmanem poniewiéranym i nieużytecznym. Uczciwość i rzetelność w stosunkach pieniężnych, to rzecz honoru, którego pozbywszy się, człowiek się przerabia — za pozwoleniem twojém — na świnię. Cenię nawet do pewnego stopnia i dobroczynność, bo cierpienie ludzkie, kiedy je widzę, obudza we mnie litość i byłbym ostatnim egoistą, gdybym nie umniejszył go jaką okruchą, która ostatecznie nic prawie nie znaczy dla mnie, a dla cierpiącego może w danym razie być wsparciem i ulgą. Ale na tém koniec i oprócz tego nie wiem doprawdy, czegoby człowiek rozsądny mógł od siebie wymagać?

W téj chwili usiedli na ławce, stojącéj u brzegu drogi w mglistém świetle księżycowém i Zenon z żywością mówić zaczął:

— Czyż na tém koniec? Czyż doprawdy w ramkach, zbitych z trzech deseczek: pracy, honoru i łatwéj dobroczynności, mieści się rozwiązanie téj zagadki, którą jest przeznaczenie człowieka na ziemi? Dla mnie ta zagadka jest otchłanią. Od początku świata pochylają się nad nią najszlachetniejsze głowy ludzkie i nie mogą dna jéj dosięgnąć wzrokiem. Musiałeś także zastanawiać się nieraz nad zapytaniem: dla jakiego celu człowiek niezbędnie cierpi i umiéra? Niezbędność cierpienia i śmierci byłaby przerażającym figlem jakiéjś mocy piekielnie okrutnéj, gdyby nie posiadała celu, niepojętego dla naszych biédnych umysłów ludzkich, bo biédne zmysły nasze nic o nim powiedzićć nie mogą. Ale cel istnieje niezawodnie. Natura, która nie źno-

si próżni fizycznéj, czyżby znosiła taki bezsens moralny, jak bezużyteczne dręczenie niezliczonych miliardów istot? Przyszedłem do przekonania, że po za świadomością zmysłów naszych tworzy się w przestrzeni i czasie dzieło jakieś olbrzymie i doskonałe, dla którego potrzebnemi są jakieś istnienia, cierpienia, umiérania, a także i może nadewszystko nasza doskonałość. Ale ta doskonałość nie mieści się tylko w pracy, w honorze i w rzucaniu ubogim okruch z naszego stołu, nam samym niepotrzebnych. Słusznie czy mylnie upatruję ją w oczyszczeniu życia z najdrobniejszych chociażby krzywd ludzkich, w miłości dla ziemi i dla ludzi, posuniętéj do ofiar, sprawiających cierpienia, chociażby najcięższe. Nie wiem, czy jasno się wyrażam. Nie przywykłem mówić wogóle, a szczególniéj o rzeczach takich. Ale co do siebie przynajmniéj, usiłowaniem mojém najsilniéj naprężonėm jest to, aby miéć serce możliwie najczystsze i oddawać usługi możliwie największe ziemi i ludziom. Zdaje mi się, że tym tylko sposobem osiągam cel, dla którego przyszedłem na świat. Ale są to wyniki rozmyślań bardzo samotnych, może więc błędne. Co ty, Wiktorze, myślisz o tém wszystkiém?

Mówiąc, patrzał w przestrzeń, mieniącą się cieniami drzew i mglistém światłem księżyca na nowiu. Przy ostatnich wyrazach dopiéro obrócił twarz ku bratu i z trudnością powstrzymał się od śmiechu. Powieki Wiktora były przymknięte, dowiéro na dźwięk jego imienia podniosły się i zalatały niespokojnie, jak przestraszone ptaki. W czasie długiego mówienia brata zaczęła go była ogarniać drzémka nieprzezwyciężona, którą jednak przezwyciężał z całéj siły, chwytając nie bez trudności niektóre słowa i okresy. Teraz przetarł dłonią oczy i na to, co udało mu się usłyszéć, odpowiedział:

— Mój Zenku, wszystko to, o czém mówiłeś, należy do księży. Niech oni tam sobie dochodzą różnych gatunków grzéchów ludzkich i odgadują, co człowieka spotkać może na tamtym świecie. To teologia. Ja w Pana Boga wierzę i codzień paciérz mówię, bo tak mię nauczyła matka i weszło to już w krew i przyzwyczajenie. Ale nad rzeczami niezrozumiałemi głowy sobie nie suszę. Nie mam do tego ani czasu, ani ochoty. Co zaś do śmierci, to, mój kochany, jest ona rzeczą tak nieprzyjemną, że najlepiéj myśleniu o niéj dać pokój najzupełniéj. Gdy przyjdzie, to cóż robić? Ale dopóki nie przychodzi, nie wywołujmy z lasu brzydkiego wilka. Taką jest moja filozofia. Na dynamice, hydraulice, statyce, znam się dobrze, ale na nieśmiertelności duszy nic a nic. I nie potrzeba. Co Pan Bóg zechce, to i zrobi z moją duszą po śmierci, a dopóki żyję — *vive la vie!* Ale teraz

chodźmy już do domu, bo zaczyna być zimno i może już spać pora, jak myślisz?

Niespełna w godzinę potém w całym domu było już ciemno i wszyscy spali, albo przynajmniéj pokładli się do snu. Zenon sam jeden chodził po długim pasie drogi, przerzynającéj ogród. Ilekroć znajdował się u tego jéj końca, który dotykał pól szerokich, okrytych światłem drzémiącém, stawał i patrzał na srebrny rożek księżyca, wyglądający z za sosen na wzgórzu. Myślał wtedy:

— Czyżbym się mylił? Czyżbym zmarnował życie? O, źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wiedzy, jakiemi naprawdę są twoje prawa i rozkazy? Takiemi, jakie uczyniły brata mego dzielnym i szczęśliwym, czy takiemi, jakie pełniąc, stałem się przedwcześnie zestarzałym i bardzo, ty jeden wiész, jak bardzo—smutnym?

Ilekroć znowu zbliżał się do przeciwnego końca drogi ogrodowéj, tego, który dotykał domu, wznosił oczy ku oknu brata, w którém oddawna już światło zagasło i zapytywał w myśli:

— Który z nas głupi, a który mądry: on, czy ja?

III.

Ze stacyi kolei, na którą odwiózł brata, Zenon Hornicz udał się do miasteczka pobliskiego, skąd miał wziąć mechanika dla poprawienia zepsutéj młockarni. Zabawił tam dość długo, bo musiał widzieć się z weterynarzem, pomówić z kupcem, któremu sprzedawał zboże i załatwić trochę drobnych potrzeb domowych i gospodarskich. Dlatego zaledwie około wieczora wróciwszy do Zapolanki, wysiadł z bryczki przed stodołą i po upływie pewnego czasu szedł ku domowi z głową spuszczoną i czołem zmarszczoném. Dziedziniec był o téj porze pusty, w domu panowało milczenie; głosy dziecinne odzywały się daleko, około huśtawki, urządzonéj w głębi ogrodu.

Czy podobna, aby to, czego oczekiwał był z gorączką w sercu i głowie, czego oczekiwanie przez całą jedną noc usnąć mu nie dało, już przeminęło i należało do przeszłości?

Że przeminęło, to pewne i naturalne, ale — czy było? Czy naprawdę brat jego był tutaj i dwie doby z nim przepędził? Gdzież tam! Przyjeżdżał tu i dwie doby w domu jego przepędził ktoś mądry, świetny, wesoły, miły, ale nie brat jego, owszem, człowiek jakiś zupełnie obcy, zupełnie do niego niepodobny i z którym nic łączyło go nic, nawet wspomnienia, bo pochłonięty teraźniejszością, ruchliwą i szczęśliwą tamten nie potrzebował wspomnień.

Było i nie było. To samo, czegośmy pragnęli i oczekiwali, jednak wcale co innego. Raz jeszcze Zenon Hornicz doświadczył uczucia głębokiego niepodobieństwa, jakie zachodzi pomiędzy rojeniem a rzeczywistością, pomiędzy formą rzeczy, tą samą, co dawniéj, a istotą jéj, zmienioną do gruntu. Tak jak dawniéj, on i Wiktor byli synami jednych rodziców i nosili jedno nazwisko, ale gdzie, w czém, jakie pomiędzy nimi braterstwo?

Pożegnali się nie tak serdecznie, jak się witali. Przy ostatniém uściśnieniu dłonie ich rozłączały się z trudnością, bo mieli obaj, chociaż w stopniu bardzo nierównym, instynkt braterstwa. Ale u ludzi ucywilizowanych instynkt nie jest już panem jedynym, a wszystko, co oprócz niego w nich istniało, odtrąciło się wzajemnie i bez słów przekonało o bezużyteczności stosunków dalszych.

— Kiedyż zobaczymy się znowu? — zapytał Wiktor i zaraz dodał, zawsze mi trudno rozporządzać czasem...

— Tak—odpowiedział Zenon—najpewniéj znowu zobaczymy się nieprędko...

I w myśli dodał:

— Bo i po cóż?

Słowa te zamienili z żalem instynktownym, ale z przekonaniem, że inaczéj być nie może, bo—po cóż?

Kiedy lokomotywa gwizdnęła i pociąg zaczął oddalać się od stacyi, Zenon doświadczył przeszywającego uczucia straty poniesionéj. Utracił brata. Zwolna sunący naprzód szereg wagonów wydawał się mu konduktem pogrzebowym. Bywają pogrzeby rozmaite, a nie najmniéj bolesnemi są te, w czasie których człowiek odśpiéwuje *requiem* sam jeden i tylko w najgłębszéj tajemnicy serca swego. Teraz widok dziedzińca i domu odnowił w nim wspomnienia marzeń, poprzedzających przyjazd Wiktora i tego, co potém nastąpiło.

W myśli powtarzał przysłowie, którém już nieraz w wypadkach podobnych karcił swoją nieukróconą wyobraźnię:

— Ach, stary wróblu, dałeś się znowu złapać na plewy!

Lecz zaraz potém myślał, że nie były to wcale plewy. Owszem, tacy ludzie, jak Wiktor, byli zapewne ziarném ludzkości zdrowém i jędrném, a tacy, jak on plewami, które należałoby zsypywać do domu waryatów, tego magazynu dusz, obłąkanych ideami, niemającemi w świecie kursu żadnego.

Przed wejściem do domu zawahał się, stanął. Czuł, że miał twarz bardzo zmarszczoną i że, spotkawszy się z kimkolwiek, musiałby rozpogodzić ją trochę. Ani powiedzieć, ani okazać tego, co czuł, nie miał przed kim. Wolał pozostać samotnym i muskuły twarzy swojéj

pozostawić w spokoju. Usiadł na ganku. Niebawem usłyszał przez okno w pobliżu otwarte rozmawiające głosy Sabiny i Rozalii. Właściwie Sabina raz tylko się ozwała, krotko i tak zcicha, że słów jéj nie dosłyszał. Rozalia zaś odpowiedziała głośno, tonem oschłym i nauczycielskim, który zwiastował, że wraz z odjazdem gościa skończyły się na jéj niebie piękne dni Aranjuesu, a zgromadzać się zaczęły znowu ciężkie chmury. W sposób taki, jakby siostra była dziewczynką maleńką i pod każdym względem władzy jéj podległą, mówiła:

— Zawsze egzagerujesz, Sabinko, i wpadasz w same ostateczności. Całe życie przepadałaś za mężem i ulegałaś mu, jak niewolnica, a teraz, raptem, przyszło ci do głowy lamentować nad swoim smutnym losem. Spodziéwam się, że z takim panem Wiktorem byłby on daleko weselszy, bo twój mąż, moja droga, jest marzycielem, bardzo szlachetnym, ale i bardzo niepraktycznym. Tacy ludzie nie uprzyjemniają życia ani sobie, ani innym. Ale po 17-tu latach zamężcia nie pora już zachwycać się tak nadzwyczajnie przymiotami jego brata...

Zenon nie chciał słuchać daléj, zerwał się z ławki i szybko przebiegłszy dziedziniec, wyszedł za bramę. Masz tobie! Nawet Sabina lamentowała nad smutnym losem i zachwycała się nadzwyczajnie przymiotami Wiktora. Obudziło to w nim gniéw, bliski oburzenia.

Niechby spróbowała być żoną, a choćby tylko narzeczoną Wiktora! Stanowczo i zupełnie wyraźnie powiedział sobie, że nawzajem on czuje się z nią, pomimo łagodności i cnót domowych, zupełnie nieszczęśliwym, ale w tém także jest tylko jego własna wina. Wyidealizował ją sobie przed ślubem, tak, jak brata przed jego przyjazdem. Należał zawsze do tych, którzy lepią sobie ludzi na obraz i podobieństwo swoje, a gdy glina rozsypuje się pod wpływem czasu, spostrzegają, że zawiérała wcale co innego, niż mniemali. Zdarzało się mu to w życiu po wiélekroć, zdarzyło się i z żoną. Teraz dowiedział się, że ona także jest rozczarowana i niezadowolona. Zwierzała się z tém przed siostrą; on nie uczynił tego nigdy przed nikim. Chciał wprawdzie zwierzyć się przed bratem, ale okazało się, że—nie ma brata.

Ogarnęły go i ogarniały po brzegi dwie ciemności, największe w świecie: samotność bezbrzeżna i zwątpienie o sobie całkowite. Szedł z głową spuszczoną i plecami więcéj niż kiedykolwiek przygarbionemi. Myślał o tém, że zmarnował życie. Gdyby był nie porzucił karyery artystycznéj dla Zapolanki, byłby dziś może sławnym, uwielbianym, tak jak Wiktor, wesołym i dzielnym. Że nie posiadał wielkiego talentu do malarstwa, tego był pewnym, bo gdyby go posiadał, mógłby i tutaj tworzyć dzieła sztuki. Jednak, czy to tylko za

pomocą wielkich talentów ludzie torują sobie drogę na świecie? On ze swoim niewielkim, utorowałby ją sobie także, gdyby według słów Wiktora umiał dobrze robić łokciami i od pierwszego wstępu na szerszą widownię życia nałożył na siebie cenę wysoką. Ale miał zawsze skłonność do wątpienia o wartości swojéj i wszystkiego, co w nim było; nie obrachowywał, nie spekulował...

Tu obejrzał się, usłyszawszy za sobą szybkie kroki. Był to Pawełek, który doganiał go już od kilku minut, a teraz stał przed nim bardzo zmieszany, ale z wyrazem silnego postanowienia na twarzy pobladłéj i mizernéj.

— Bardzo przepraszam — zaczął — że zatrzymuję pana tak na drodze, ale nie mogę już dłużéj wytrzymać i niech mi pan pozwoli kilka minut pomówić z sobą.

— Ale i owszem — odparł Zenon — tylko dlaczego ty tak wyglądasz, jakbyś dziś powstał z obłożnéj choroby?

Na widok cierpienia, wyrytego na twarzy wychowańca, zapomniał o swoich ciemnych myślach i ciężkich uczuciach, Pawełek też popędliwie przerwał:

— Bo, proszę pana, trzy dni już męczę się tak, że ani jeść, ani spać nie mogę i czasem chciałbym wskroś ziemi przewalić się ze wstydu i z żalu!

Łzy nabiegły do jego ciemnych, bystrych oczu i zarazem odmałował się w nich gniew prawie wściekły.

— Gdybym mógł, proszę pana, tobym samego siebie bił, tłukł, kąsał, do turmy zapakował...

— Ależ na miłość Boską, czegóż ty się tak dręczysz! — zawołał Zenon z uśmiéchem, niepodobnym do powstrzymania, bo rozpaczliwe gesty chłopca, pokazującego, jakby to on siebie bił, tłukł, kąsał, miały w sobie żywość naiwną i komiczną. Ale Pawełek, nagle zdobywając się na spokój, rzekł głosem stanowczym:

— Bo ja, proszę pana, z panem Górkiewiczem nie pojadę!

— Nie pojedziesz! Dlaczego? Przecież nie namawiałem cię, abyś został.

Pawełek wahał się, czy namyślał przez chwilę, potém odpowiedział z powagą u niego niezwykłą:

— Pan mię nie namawiał, ale dobroć pana mię namówiła.

— Jak to? wytłómacz mi to, co mówisz!

— Co tu tłómaczyć? Postąpiłem, proszę pana, jak ostatni nikczemnik. Pan mię z nędzy wydobył, hodował, lubił, uczył, człowiekiem zrobił, a ja, nietylko, że chciałem pana porzucić i postąpić zupełnie inaczéj, niż mi pan przez całe życie doradzał, ale jeszcze tai-

łem się przed panem z projektami swemi, jak przed wrogiem. Myślałem, że pan mię znienawidził i pogardza mną jak psem... bo i byłem gorzéj niż psem... A tu przy obiedzie, kiedy panna Rozalia tak skompromitowała mię przed wszystkimi i przed bratem pańskim i chciała mię kąsać, tak jak to ona czasem umié, pan ujął się za mną i mrugnął, śmiejąc się do mnie, jak do przyjaciela... A potém znów, przy każdém spotkaniu ciągle tylko dobrze i dobrze, jakby nic nie zaszło i tylko: co ci jest, Pawełku? czegoś ty taki mizerny? Myślałem, proszę pana, że zginę ze zgryzoty sumienia i z żalu. Nie mogłem pomówić z panem, dopóki pan miał gościa. Ale teraz, zobaczywszy, że pan sam jeden idzie w pole, nie mogłem wytrzymać i pobiegłem... Mój panie drogi, mój złoty, mój najukochańszy, dobroczyńco mój najlepszy, daruj mi, zapomnij o mojém głupstwie, niech ja przy tobie zostanę... a potém, kiedyś, może osiądę na swoim kawałeczku ziemi i dzieci swoje uczyć będę tego, czego pan mię uczył i aby modliły się za pana...

Ostatnie słowa mówił głosem przerywanym, całując ręce Zenona, przypadając mu nawet do kolan, żywy jak iskra, rozrzewniony jak dziecko, skruszony jak grzesznik, który powziął nienawiść dla grzechu swego.

Zenon objął go obu ramionami, po kilkakroć ucałował w czoło, trochę śmiał się, choć oczymiał wilgotne. Nie trudno mu było uspokoić chłopca, który niczego nie chciał, tylko jego przebaczenia, przyjaźni i pozostania nadal w Zapolance. Potém, odprawił go do domu, a sam poszedł daléj swoją drogą ulubioną, ku wzgórzu, porosłemu sosnami. Idąc, czuł, że ma nogi trochę lżejsze, plecy trochę mniéj przygarbione i że dwie ciemności, zalegające jego mózg i serce, trochę się rozwidniły. Niebawem znalazł się na stoku wzgórza, pośród sosen rzadkich, wyrastających z pokładów mchów siwych, żółkniejących i jeszcze jak szmaragd zielonych. Usiadł na mchu, spojrzał dokoła, a potém zapatrzył się na krajobraz.

Dokoła rosły klombami i gajami paprocie brunatne i cieliste, trzmieliny z liśćmi różowemi, jak centofolie, jałowce krwistordzawe. Pośród sosen stały brzozy, całe w złocie, a głębiny lasu oddalone, zapływając cieniem, świéciły jeszcze gdzieniegdzie smugą słoneczną, kołyszącą na fali ruchoméj purpurę zwiędłych borówek i jeżyn. Z dwu stron drogi polnéj, wijącéj się u stóp wzgórza, stérczały łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszone nasionami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane, albo zasłane ścierniskiem żółtém, okryte zmarszczkami zagonów, falowały po wypukłościach grun-

tu, hen, precz, aż pod skraje niebios, usianych obłokami, nabrzmiałemi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie, jak ściana krwawa ze szczytem, rozpływającym się w złocistość. Jéj blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad laskami, rozrzuconemi po wzgórzach, nad dworem zapolańskim, który wyglądał, jak obrazek sielski, wymalowany na tle złoto-różowém. Naprzeciw, w stronie wschodu, wieś chłopska, długa, szara, stała we mgle liliowéj, rzucając w górę kilka wstęg dymu.

Był w tym obrazie spokój wieczoru i smutek jesieni, była téż piękność rzadka rzeczy prostych, a wspaniałych.

Zenon patrzał na ziemię, na niebo i powoli, powoli zmysły i dusza jego zatapiać się w nich zaczęły tak, że utracił całkowicie uczucie samotności. Nie był sam jeden, bo dokoła siebie posiadał to, co kochał. Owszem, im dłużéj patrzał, tém silniéj i wyraźniéj stawać się z nim zaczynał ten sam proces, który przed laty ośmnastu związał go nazawsze z tym kawałkiem świata. Zdawało mu się, że nim oddycha, że wzajemnie jest przez niego wchłanianym i że stanowi cząstkę jego, ściśle spojoną z innemi. Uczuł, że nie było na świecie takiéj siły pociągu, któraby zdołała go stąd oderwać; że cokolwiekby znosił i czegokolwiek pragnął, tu, a nie gdzieindziéj tkwić musi, jak w zdroju kropla wody lub w smudze słoneczněj drobina światła. Pomyślał, że był niezawodnie dla tego kawałka świata kroplą wody i drobiną światła, a woda użyźnia i światło roztrąca ciemności.

Niedaleko miejsca, na którém siedział, znajdowała się kępina mchów suchych, pomieszanych z igłami, opadłemi z sosen, ze splotami gałązek, upstrzonych resztką kwiatów i liści. Pochylił ku niéj głowę tak nisko, że skroń jego spoczęła na liliowym atłasie spóźnionego wrzosu. Wtedy do ucha jego dochodzić zaczęły dziwne szmery i szelesty, jakby chód robaczków we mchu i wrzosie, jakby fruwanie skrzydeł drobnych pod zeschłemi liśćmi, jakby jeszcze toczenie się powolne lub wartkie strumyków wąskich, licznych. Te ostatnie były sokami ziemi, płynącemi pod jéj skorupą i rozbiegającemi się na wsze strony, pod pola, pod lasy, pod dwór zapolański, rysujący się na tle zorzy wieczornéj, pod wioskę, stojącą szarym pasem u liliowego wschodu. Zenon Hornicz słuchał tych szmerów uchem uważném i chciwém, a niebawem począł rozpoznawać mowę ziemi, którą rozumiał, albowiem żył z ziemią oddawna w związku miłości wielkiéj. Były w téj mowie rzeczy różne: skargi, dziękczynienia, płacze ciche, śpiewy przewlekłe, podobne do tych, które piastunki nucą nad kolébkami dzieci chorych. Były w téj mowie ziemi, oprócz szeptów

i szmerów tętna pulsu potężnego, idące z głębin najodleglejszych, a bardziéj u powierzchni coraz więcéj, coraz więcéj uderzeń drobnych, niby serc, które żyły, pracowały, mówiły także, opowiadały...

Tak było długo, a Zenon Hornicz słuchał, słuchał głosów, gwarów, pulsów ziemi i nabiérał ich w serce, tak jak pustynia, spieczona skwarem południa, nabiéra wieczornéj rosy.

Kiedy nakoniec oderwał ucho od kępy mchu i wrzosu, wstał i wyprostował się, zobaczył nad zapolańskim domem wschodzący sierp księżyca. Jeden dopiéro jeszcze rożek srebrny ukazywał się z nad dachu, lecz rzucał na twarz wpatrzonego weń człowieka promienność prawie słoneczną. Plecy jego nie były zgarbione, ani czoło zmarszczone. Postawę miał rzeźwą i w oczach, wzniesionych ku górze, myśl dziękczynną.

Modlił się.

— O, źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wszelkiéj wiedzy, nie wątpię już o potędze swojéj, bo czuję, że silnie kocham i nie żałuję niczego, chociaż jestem bardzo smutny. Owszem, we wszechstworzeniu Twojém wielbię smutek i ze czcią przyjmuję go na ramiona, bo jest on mistrzem, który naucza ludzi, jakiemi są Twoje prawa i rozkazy!

Eliza Orzeszkowa.



MASYNISSA, IRYDYON, KORNELIA.

Siostrze méj.

Kornelia.

Nie wolno mi przypuszczać, mówiąc o Irydyonie, iż ktokolwiek z moich czytelników nie zna lub nie pamięta tego utworu. Nie będę się tedy wdawał w długie parafrazy. Myślą filozoficzną poematu jest, że zemsta, podstęp i środki przez nie podyktowane znajdują karę w niepowodzeniu, przez co osiągnięcie celu pożądanego zostaje oddalone i utrudnione. Praca, zasługa i t. d. — oto są drogi nietylko szlachetniejsze, lecz i najpewniejsze co do skutku. Lecz ponieważ tu zemsta wynikła z miłości, która się w nienawiści zasklepiła, dla téj miłości zaprzeczonéj, dla uczucia pokrzywdzonego i zranionego, przebaczyć należy co było grzesznego i zdrożnego. Przedstawicielem zemsty i buntu jest Masynissa. Przedstawicielem miłości i przebaczenia — pierwiastek niewieści, Kornelia, święta, która jednak ziemskiém uczuciem pokochała jednego z braci—Hieronima (Irydyona).

Zadaniem niniejszéj pracy będzie główniе charakterystyka postaci Masynissy i stosunek jego do bohatéra. Atoli wpływ szatana na Irydyona spotyka przeciwdziałanie w miłości Kornelii. A zatém czarnooka córa Metellów znajdzie także miejsce w mych uwagach.

Dwa sprzeczne wpływy występują do otwartéj walki w „dokończeniu", w którém uwydatniona jest również przewodnia myśl poematu. Mówiąc zaś o epilogu, wypadnie potrącić o ściśle z nim połączone zagadnienie genezy utworu i postaci szatana.

Masynissa - Irydyon - Kornelia... Trójca ta wielce przypomina trójcę z poematu Goethego: Mefistofeles-Faust-Małgorzata. Już na pierwszych kartach spotykamy u boku bohatéra „starca pustyni”. Dowiadujemy się, iż on był powiernikiem i przyjacielem ojca Irydyona, Amfilocha, który swe uczucie nienawiści względem Rzymu pragnął przelać w syna i przekazał mu w spadku zemstę za nieszczęśliwą Grecyę. Lecz gdy potomek królów-bohatérów wyzionął ducha, syn jego był jeszcze pacholęciem. Myśl ojca wiernie przechował jego przyjaciel. A gdy zbliżył się czas walki, on-to wciąż krzepi bohatéra w złych chwilach. Za jego sprawą Irydyon poświęca ukochaną sprawie swojéj. „Ona twoją być musi — n i e d l a m a r n é j r o z k o s z y, ale że... dzieło nasze żąda jéj z g u b y, jak zapytanie odpowiedzi, jak dźwięk — dźwięku następnego.” Kornelia jest uważana przez ogół chrześcian, a nawet przez biskupa—za świętą i błogosławioną. Słowo jéj mogło być wyrocznią dla lękliwych i wahających się. „Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska na okół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą, co w piersiach męża góruje, porwana i zniszczona.”

Podkreślone wyżéj słowa „nie dla marnéj rozkoszy” dowodzą, że szatan — jak to zresztą wynika konsekwentnie z założenia — wskazuje Grekowi Kornelię tylko jako narzędzie zemsty, nie jako cel zaspokojenia zmysłowych pożądań; inaczéj dzieje się z Małgorzatą. Oprócz zaznaczonego szczegółu nie należy pomijać i téj okoliczności, że wybór kobiéty, przeznaczonéj na ofiarę, bynajmniéj nie zależy od nagabywań złego ducha. On tylko korzysta z nadarzonéj zręczności. W pierwszéj już rozmowie o córze Metellów, gdy Masynissa zlekka tylko napomknął „Trzeba ci niewiasty”, bohatér nasz zaczyna: „Znam jedną” i t. d. Na to szatan: „Tknąłem i odbrzękła mi struna”.

Dzieje ziemskiéj miłości wybranéj przedstawił już Chmielowski, w tym względzie nie mam nic do powiedzenia. Lecz autor „Kobiét Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego”, wyłącznie ujęty niewieściemi postaciami, zupełnie pominął wpływ Kornelii na samego bohatéra. Przez podstępnego doradcę wskazana jako środek rzucenia wyznawców Galilejczyka w wir walki ulicznéj, nie jest ona tylko środkiem. Bierną jest ona wprawdzie. To dało powód autorowi szkicu w „Niwie” nazwać ją elegancko... gąską. Bodaj... czy nie traci p. Z. S. sam dziejowéj perspektywy. Pomimo owéj bierności, słowa kochającéj kobiéty: „Ja wiem, żem się urodziła, żeby ciebie zbawić” — iścić się zaczęły, nim stanął między dwojgiem serc, jako trzeci, szatan kusiciel. W sercu syna Hellady z uczuciem zemsty i nienawiści

zaczyna staczać walkę miłość i litość... Stąd chwiejność i wahanie się.

Chlebowski uważa to za błąd poety, że bohatér jego zaczęsto oddaje się posępnym rozmyślaniom, które nie są usprawiedliwione przez bieg wypadków. Jeżeli Irydyon sądził, że jest u progu spełnienia najgorętszych swych życzeń, powinien był w każdym ruchu i słowie okazywać pewność siebie, dzielność, wiarę w przyszłość („Nieboska" i „Irydyon" w r. 1889). Sąd pomienionego krytyka „Niwy" wyrażony jest z większą bez porównania bezwzględnością i dosadnością („Niwa" z r. 1893, N-ra 4 i 5). Nie myślę tu bronić zanadto może sponiewieranego bohatéra poematu. Ale przynajmniéj w części jego chwiejność należy położyć na karb uczucia względem téj „jednéj" z okiem „czarném jak węgiel, błyszczącém jak żary". Przecie droga do ruin Rzymu wiodła przez serce świętéj, ściągnięte z nieba, rzucone na pastwę zmysłom i obłędowi.

Byłoby może o wiele naturalniéj, gdyby obłąkanie Kornelii okazało się tylko skutkiem, przez kochanka nieprzewidzianym.

Tak sobie postąpił np. Goethe ze swą Małgorzatą. Słusznie zaznacza p. Z. S., że Irydyon-poganin nie mógł uważać miłości za „zgubę". Lecz jestto już sposób tworzenia u naszego poety, że nadaje osobom działającym swe jasnowidzenie poetyckie. Rodzajem téj wszechwiedzy jest obdarzony i Irydyon. Łudząc się nadzieją bliskiego upadku wiecznego miasta, wyobraża go sobie, jako pożar i ogólne wstrząśnienie podwalin siedmiu wzgórzy, w którym sam ze wszystkimi towarzyszami broni poledz musi. Zresztą, czyż nie rozumiał tego, że moralna równowaga ukochanéj istoty zachwianą zostanie, a to jest przecież naprawdę „zgubą". „Ale czyż i ją mam zgładzić także? Ojcze, daruj jéj — ona nie cierpi, jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. Dumnych mordować, nędznych tysiąc zepchnąć do Erebu, skazaną dobić. Ach! [w losach moich wyryte było; ale szczęśliwą znieważyć, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć..." (W postaci mściwego ducha, do którego zwraca się bohatér, występuje tu jego ojciec, Amfiloch).

Upadek Kornelii i jéj ostatnie chwile mimowoli wywołują wspomnienie bohatérki z poematu Goethego.

Gdy Faust usiłuje wyprowadzić z więzienia kochankę, ta mu się opiéra: „Ojcze! jam Twoja—ratuj pokutnicę. Wy Boga zastępy, wy, możne przedmurze, brońcie mnie święci aniołowie-stróże. Henryku! Ja truchleję przed tobą." Gdy Irydyon w ostatniéj chwili woła na obłąkaną: Kornelio — otrzymuje następującą odpowiedź: „Gdzie ona? nie nazywaj ją tém imieniem. Ona zawierzyła tobie, ona zginęła na

wieki" (Małgorzata: straszne sądy Boże! wam oddałam swą duszę). „Nie przybliżaj się, uciekaj odemnie — czy widzicie te tysiąc skrzydeł czarnych nad nim?" „Ojcze, obroń konającą".

I Małgorzata i Kornelia w sposób jednaki zamykają swe rachunki z ziemią. Właściwie, nie jestto nawet zamknięcie, lecz początek nowego życia, które nie zrywa dawnych węzłów, łączących pokutnice z ukochanemi istotami. „Henryku, Henryku!" słyszy wezwanie Faust „Przebaczam ci, Hieronimie! Hieronimie, módl się do Chrystusa". Od téj chwili „duch tajemniczy świętéj i błogosławionéj bierze czynny udział w walce dobrych i złych potęg. Musimy jéj też przyznać stanowczą wyższość nad „pokutnicą, niegdyś zwaną Małgorzatą". Małgorzata staje się przewodniczką swego ukochanego w zaziemskiéj wędrówce ku coraz wyższéj doskonałości. Lecz przewodnictwo to wyprasza sobie u Mater-graziosa dopiéro wtedy, gdy ten jéj ukochany już został uwolniony z pod władzy zmysłów i szatana: Czy tylko uwolniony? Nie

> Ledwie że nowy chór okiem rozmierzył,
> A nowy żywot w myśl jego uderzył,
> Oto już zrównał się z świętych orszakiem.

A „dzieci błogosławione" wołają: „Oto przerasta już nas".

Nie trudno prowadzić ku zbawieniu tego, który sam o własnych siłach tak zwycięsko wychodzi z zapasów.

Co do Kornelii, jéj wpływ jest już widoczny, gdy na ulicach Rzymu wre walka, tryska krew strumieniami, łuna pożarów odsłania groźny widok zniszczenia i śmierci. Na rozkaz Mefistofelesa zjawiają się niższe duchy, by strzedz duszy Fausta. A i nasz bohatér nie jest pozostawiony bez pilnéj opieki. „Piękne, lubieżne, witają Pana. Piękne, lubieżne ostrzegają Pana. Z gwiazdą Oryona wszedł duch tajemnicy, strumieniem kołujący w błękitach i wszystkie ciche drgania i wszystkie smętne fale swoje zebrał wokoło Irydyona duszy — przelatując, spotkałyśmy się z jego nurtem."

Masynissa. A syn mój czy zważał na podszepty ducha?

Chór. Ile razy ta myśl bez głosu dotknęła mu serce, bladł i mieczem błądził po zbrojach i nie łamał żadnéj, w przerwach bił się jak anioł strącony —śpiesz, śpiesz do niego.

W duszy Irydyona odbywa się teraz walka między wpływem Kornelii a pragnieniem całéj jego przeszłości. „....teraz wrę całą mocą życia! dusze ginących braci przeléwają się we mnie. Stałem się Tytanem! a umiérać mi trzeba — nie, ja nie chcę umiérać". I znowu

„Ach, czego mnie ścigasz niewidomy duchu. Chrystus, Chrystus, — i cóż mi po tém imieniu? Oddal się, nie męcz mnie, Kornelio.”

Lecz nie napróżno go ścigała, nie napróżno skupiła wszystkie swe promienie wkoło jego duszy. Posłuchajmy jego żywéj wymiany słów między Irydyonem a Masynissą w téj pięknéj scenie, która jest prologiem epilogu.

„Niewinna, którą ci poświęciłem, rozpłynęła się w powietrzu na żałosne jęki, — g ł o s j é j d r g a w u s z a c h m o i c h, k r z y ż j é j w i d z ę n a b ł ę k i t a c h! A c h! g d y b y j é j B ó g b y ł n a d w s z y s t k i e B o g i, g d y b y o n b y ł j e d y n ą p r a w d ą ś w i a t a?

Masynissa. Cóżbyś wtedy uczynił?

Irydyon. Umiérając z tém pryśniętém żelazem w dłoniach, wezwałbym Jego!

Masynissa. Ojcze, któryś jest w niebiesiech, daj długich dni Romie! Przebacz tym, którzy mnie zdradzili. Zbaw tych, którzy po wszystkie czasy nękali rodzinną ziemię moją!

Irydyon. Nie! Ojcze, któryś jest w niebiesiech, u k o c h a j H e l l a d ę, j a k j a j ą u k o c h a ł e m.

Już w téjże chwili Masynissa w walce z Kornelią przegrał, bo Irydyon już się go wyparł. Lecz za chwilę mściwéj rozkoszy oddał mu się znowu dobrowolnie. I zaledwie wyrzekł się Chrystusa, jęk rozpaczy przeleciał nad jego głową.

Masynissa. Nie zważaj.

Irydyon. Patrz, skała porysowała się w krzyże, że czarne krople krwi się sączą.

Masynissa. Nie zważaj, synu.

Irydyon. Burza zrywa się nad morzem. Ach! Ach! ktoś woła na mnie—tam, daleko... coraz daléj, czy słyszysz?

Masynissa. A teraz?

Irydyon. Milczenie.

Masynissa. Razem w i ę c na wieki, bez końca, bez odpoczynku, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta.

Pewność jednak Masynissy. Wołanie ucichło w dali, lecz gdy przyjdzie wyroczna chwila, odezwie się znowu, lecz z większą mocą.

U d z i a ł M a s y n i s s y w g ł ó w n é j a k c y i.

Nim wszakże ta chwila nadejdzie, przypatrzmy się uważniéj temu, kto czasowo przynajmniéj zyskał przewagę. Postać ta wzbudzała zawsze dość żywe zajęcie i prawie bez wyjątku ściągała na siebie liczne zarzuty, począwszy od pierwszego krytyka „Irydyona”, Ulricha, i kończąc na panu Z. S. Sądy wygłoszone dotychczas, uderzają

krańcową sprzecznością swoją, i niemal każde ze zdań ma za sobą pozór prawdy. Chlebowski np. przypuszcza, że Masynissa, wprowadzony do utworu, jako zwykły sobie śmiertelnik, podczas pracy przekształcił się dopiéro w demona. P. Z. S. sądziłby raczéj, że poeta wprowadził do utworu omawianą postać tylko w tym celu, aby nadać prawdopodobieństwo jéj wystąpieniu w epilogu. A zatém „starzec pustyni" odrazu należałby do rzędu istot nadprzyrodzonych. Tenże Chlebowski zléwa niejako Masynissę z bohatérem, widząc w pierwszym uosobienie dręczących mar, będących wytworem własnéj wyobraźni Irydyona. Zdania tego nie dzielą inni krytycy. Wreszcie gdy jedni (jak Br. Chlebowski, Ign. Matuszewski i Z. S.) zarzucają szatanowi Krasińskiego niejednolitość rysów i brak rzeczywistéj siły, — hr. Tarnowski uważa go za pomysł olbrzymi i genialny. Pierwszy Ulrich, a za nim wszyscy inni (oprócz rozumie się hr. Tarnowskiego) uważają postać Masynissy jedynie za zawadę w głównéj części poematu; tymczasem sam poeta twierdzi, że mamy tu do czynienia z pierwiastkiem nicości i przeczenia, przekształcającym się w rzeczywistość i twierdzenie.

Sama sprzeczność sądów wymownie świadczyć się zdaje o prawdziwości spostrzeżenia, iż Masynissa jest charakterem niejednolitym, „źle na nogi postawionym", według wyrażenia poety. Tymczasem dwa tylko szczegóły. Gladyator, przez jednego z zauszników Eutychiana, wodza pretoryanów, wysłany, by zgładzić Greka, którego Cezar zbyt wyróżnił swém zaufaniem, — żąda posłuchania u Irydyona. Masynissa uprzedza go o zamachu, a nie wié, że ostatni potomek rodu Scypionów, nakarmiony w domu opiekuna barbarzyńców i niewolników, już swego zamiaru zaniechał. Wiedza szatańska, sama sobie przecząca. Innym razem, gdy chrześcianie sprzeniewierzyli się krzyżowi, chcąc pomścić niezemszczonego, duch piekieł przewiduje najdalsze skutki rozterki: „Odtąd dnia nie będzie, by się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje" — lecz nie wié, co najbliższa chwila przyniesie: Wyjdą Nazareńczycy z pod ziemi, czy nie. Gdy zaś przychodzi wiadomość, że chrześcianie zostali zatrzymani przez Wiktora, wtedy dopiéro ów przewódca chóru piekielnego, jakby się otrząsa z niepewności: „O, miasto serdeczne moje! błogosławię tobie! O, Roma, w cieniu tych ramion bądź spokojnéj myśli! Zbawiona jesteś dla podłości twojéj" i t. d.

Najważniejszym atoli zarzutem pozostaje ten, że Masynissa udziału czynnego w ruchu wypadków nie bierze, ograniczając się do roli doradcy, a podszepty jego osiągają skutek rozpaczliwie mierny. W „bohatérskiéj" — jak ją nazywa poeta — części poematu znajdu-

jemy najprzód wyszczególnienie sił, mających stanąć niebawem do walki (barbarzyńcy, niewolnicy, wojsko, cezar, senat, chrześcianie, resztki ideologów dawnéj Romy, znajdujących swego przedstawiciela w Ulpianie); przyglądamy się przygotowaniom wybuchu, zatém następuje walka, zakończona klęską Irydyona. Zobaczmy, jaki współudział ma w tém Masynissa.

Bohatér poematu jest spadkobiercą uczuć Amfilocha. Nieubłagana nienawiść tegoż względem wiecznego miasta jaskrawo uwydatniona w Prologu, lecz o Masynissie ani wzmianki. A zatém pierwotnego źródła wyłącznéj pobudki wszystkich działań Irydyona nie należy szukać w podszeptach szatana. Amfiloch, umiérając zwraca się do długoletniego przyjaciela swego ze słowami: „Masynisso, powierzam ci syna i m y ś l m o j ą." Więc zguba Rzymu — to myśl wodza greckiego, przedostatniego potomka Filopemena. | Numidyjczyk zaś jedynie przyjacielem i uczestnikiem, on tę myśl przechowuje, przeszczepia uczucia ojcowskie w serce syna i córki.| —A teraz o przygotowaniach do walki. Barbarzyńców Irydyon przywiązuje do siebie przez tradycyę rodzinną—jego matka była kapłanką Odyna. (P. Z. S. nie rozumié, dlaczego Amfiloch jeździł aż do Danii po żonę; chyba, powiada, aby pochodzeniem umotywować melancholię syna!). Do serca Greków Irydyon — sam Grek — umiał również trafić. Otaczał swą opieką gladyatorów i niewolników... tak czynił jego ojciec, zresztą byli to przeważnie Germanowie. Aby opanować wolę Heliogabala, poświęca siostrę, jak się zdaje, z własnego natchnienia. I nigdzie nie widzimy Masynissy. On to, wprawdzie, każe swemu wychowańcowi uprzedzić Aleksyana w katakumbach i pozyskać wyznawców Chrystusa dla dzieła krwi, ale „syn zemsty" już nosi znamię Galilejczyka na swych piersiach, a przynajmniéj jest uważany za katechumena. Już były próby, zapewne niezbyt skuteczne, jeśli Irydyon wyrzeka, nim jeszcze jego powiernik usta otworzył: „A, hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć jak bydło, niżeli bić się jak męże, oni, oni to mnie wstrzymują."

Co do Kornelii wreszcie, i tu mamy do czynienia „ze struną, która odbrzękła"... Następuje wybuch. Masynissa znowu zachowuje się bezczynnie, a nawet wyczekująco. Przypomnijmy sobie ustęp: „O, miasto serdeczne moje... zbawiona jesteś..."

Zresztą, gdyby nawet wybór zdrożnych środków zależał w części od Masynissy, wpływ jego w takim tylko razie uważaćby można za zmieniający koléj wypadków, gdyby Grek opiérał się jego podstępnym radom, gdyby dla działania chciał obrać inną drogę, nie tę, którą mu szatan wskazywał. Tymczasem tak nie jest. Żal mu trochę

chyba Kornelii. Zbywa bohaterowi na hardcie — Masynissa musi krzepić jego chwiejącą się wytrwałość. Lecz w tych wahaniach dojrzéć można jakby obawę czynu wogóle, nie ma niechęci przeciw użytym środkom. Podczas całego przebiegu właściwego działania nie możemy dopatrzéć ani jednego rysu, któryby wskazywał wyraźną różnicę dążeń, uczuć, charakterów obu postaci, i któryby właśnie przez rozbieżność celów nadwérężał w czémkolwiek rozwijający się ruch wypadków, wpływał w jakimkolwiek stopniu na starcie namiętności. Bo jeżeli Masynissa ukazuje się nagle wpośród słupów ognia, otoczony chórem aniołów strąconych, — jestto epizod luźnie z całością połączony, z którego nadto nie możemy dokładnie wyrozumiéć, czego właściwie chcą duchy potępione wraz ze swym przewódcą. Jedyny tylko wniosek śmiało możemy uczynić—że te rzesze cieszą się niewymownie z pomyślnego dla nich obrotu rzeczy. Jakże tu nie powtórzyć za Chlebowskim: „Potężny władca piekieł nie potrzebowałby... odegrywać tak długo komedyi i dla osiągnięcia tych zamiarów czepiać się ludzi, mających ograniczone środki działania". Długoletnie pragnienia i usiłowania Irydyona „skończyły się mizernym porywem, który ani sprawie piekieł, ani ideom Irydyona żadnéj nie przyniesie korzyści" (Nieb. i Ir. 49). Tak, nawet sprawie piekieł. Zapewnia on swego wychowańca: „Duch mój będzie z tobą, gdy do rąk wyznawców Chrystusa włożysz „zakazane" miecze". A jednak wysiłki jego wniwecz się obróciły, mimo wyraźnéj chęci autora. Mściciel Hellady z konieczności upada u kresu swych marzeń, — czy, że takiego, nie innego końca wymaga prawda filozoficzna, czy téż, ponieważ jest to pewnikiem dziejowym, — dość, że zwyciężyć nie mógł. Przegranę jego trzeba było usprawiedliwić przez zawód ze strony Nazareńczyków; więc Wiktor musiał ich wstrzymać. Pokusa zwyciężona została. Zaparli się Chrystusa, choć i Piotr to samo uczynił, a przecież został pasterzem owczarni. Piotr wyjął miecz i przecież został pasterzem owczarni. Skłamał tedy Masynissa, gdy wyrzekł: „Téj nocy naszych następców poczęła się zguba". Dlaczegoż téj nocy? Przecież pokusa już nieraz powstała w sercach czcicieli ukrzyżowanego? Wszak Wiktor już był wyklął Eugenesa, który tak myślał i mówił, jak Irydyon?

Wobec tego całkiem nieusprawiedliwiona jest pewność ducha ciemności, iż udało mu się wreszcie zachwiać tronem wroga swego. Od tąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje. W imieniu Twojém będą zabijać i palić. W imieniu Twojém gnić i milczéć... Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomości... Na szczytach niebios, wśród potęg twoich, doznasz co piekło nasze..."

Masynissa i Kornelia w Epilogu.

Z pewnością, Przedwieczny nie miał niebezpiecznego przeciwnika w „Starcu pustyni". Jednak rzeczywisty brak siły w przyjacielu Amfilocha, drapującym się w pozory potęgi, nie wyrządza istotnéj krzywdy poematowi.. Jeżeli w utworze wszelkie ruchy, wszystkie części mają punkt zbieżny, w którymześrodkowuje się uwaga, — zazwyczaj jedna postać oddziela się od tła wyraźniéj i skupia na sobie wszystkie promienie. Takim utworem jest poemat Krasińskiego i taką postacią jest jego bohatér. Poplecznikiem tego ostatniego, działającym w tym samym kierunku (w zakresie głównéj akcyi) jest Massynissa. Jeślibyśmy chcieli powiększyć potęgę szatana, o tyle względnie zmalałby Irydyon, coby się nie mogło obejść bez rzeczywistéj szkody dla ogólnego wrażenia. Porównywając w tym względzie Irydyona z Faustem, przyjdziemy do przekonania, że postać Mefistofelesa po wielekroć rzuca cień na istotnego bohatéra, który się dość biernie zachowuje. Czynna rola przypadła w udziale szatanowi. W utworze naszego poety różne przybory piekielne, otaczając Masynissę, w tak luźnym znajdują się związku z ogólnym przebiegiem akcyi, że przemijają bez wrażenia.

Przeciwnie, jeżeli dwie postaci nie jednoczą się we wspólném dążeniu, lecz występują jak dwie wrogie siły, wielkość przeciwnika zwiększa grozę, potęguje wrażenie Krasiński znakomicie, umié wyzyskiwać podobne efekty, a za dowód może służyć Henryk i Pankracy, Irydyon i Ulpian, na co słusznie zwraca uwagę Tarnowski. Otóż wielce znamienną jest rzeczą, iż Masynissa potężnieje w chwili, w któréj odzyskuje swą odrębność i niezależność od Greka, walczącego wyłącznie w imieniu Hellady i barbarzyńców. Masynissa zaś jest wrogiem Boga, nie Rzymu. A w epilogowéj scenie, gdzie jaskrawa uwydatniona sprzeczność dwu czynników, nienawiści i miłości, cień tego, „który zamieszkał w otchłani", ukazuje się w kształtach olbrzymich.

„Stanął na wirach fal i stopą, czarniejszą od nocy, gniótł niewolnice swoje. Od jego postaci łuna wzbija się, jakby drugie słońce zaszło. Od jego ramion stacza się mgła na dalekie wody... On idzie samotny, i jak przed wiekami, z nieśmiertelną stałością na czole... A kiedy dosiągł lądu, odetchnęło morze i w zmiérzchu, znękane, usnęły bałwany".

Ten, „który obiecał oprowadzić swego syna" wśród ciszy nocnéj po ulicach wiecznego miasta i pokaże mu je—niegdyś dumne i nielitośne — w prochu i ruinach... Oto Kolizeum — kres téj pielgrzymki nononocnéj. Wyroczna chwila się zbliżyła.

Zwracałem już uwagę czytelnika na tę okoliczność, że pod wpływem ducha Kornelii, otaczającego go miłośnie swemi modlitwami i swym „nurtem", — Irydyon już zapragnął pogodzenia z tym krzyżem, którego chciał użyć za narzędzie dla swych osobistych, samolubnych widoków... Z tém uczuciem i tęsknotą do ukochanéj zasnął on przed wielu wiekami. Z tą tęsknotą i pragnieniem zgody powstał on ze ze swego snu.

Wśród areny nie słychać dawniejszych gwarów. Z nich wszystkich został głos hymnu, słyszanego niegdyś. To niegdyś było wczoraj. Tu wczoraj skonali Nazareńczycy. Ich twarze były pogodne, jak wieczór letni — i otóż na miejscu, na którém padli, krzyż czarny stoi dzisiaj drewniany, cichy, na środku areny". U stóp tego krzyża rozstrzygnie się za chwilę, kto przemoże: Masynissa czy Kornelia; czy zostanie ukarana nienawiść, czy miłość wynagrodzona.

„Ale w tobie dziwne uczucie się budzi... jakieś wspomnienie twarzy dziewiczéj, jakiś smutek nad tym krzyżem... i zdało ci się, że on znużony, jako ty, — opłakany, jak losy Hellady niegdyś..." Jęki się odezwały pod ziemią i w powietrzu, „ale od szczytów amfiteatru po nad te dźwięki żałobne zabrzmiał głos pełen chwały". „Tam postać bieleje przejrzystą jasnością... Ty ku temu słodkiemu licu podniósłszy oczy—poznałeś dawne kształty, ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios i spoglądałeś na nie, jak ten, co się żegna z pięknością na wieki."

Motyw walki sił niebieskich i piekielnych o duszę grzesznika znajdujemy w wielu utworach poetyckich w piśmiennictwie zachodniém i ruskiém. Pierwowzoru, zdaniem mojém, należałoby szukać w poemacie Goethego. Kornelia wobec Małgorzaty odznacza się stopniem udziału w walce. Co do zachowania się grzesznika — ten albo wcale jest niewidzialny, lub — częściéj — przestraszony bliskością kary rzuca się pośpiesznie w objęcia ratujących. Irydyon zachowuje się szlachetniéj. Choć tam w sercu swém przeważył szalę na stronę Boga Kornelii — jestto miłość, nie obawa — wierny swemu przyrzeczeniu, ani kroku nie uczyni ani w tę, ani w inną stronę: „trwogi nie ma na czole twojém, ni modlitwy na ustach".

Już czas. Zorza niedaleko, długą drogę ubiec trzeba. Głos wzywał starca napowrót przed stopnie krzyża, na sąd, nierozstrzygniony jeszcze. On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił od bram cyrku. Zgrzytał i rwał aż ręce i wołał: „Potępiony, potępiony, kto mi wydrze jego!"

„Tu, u stóp męki Pańskiéj, kiedy do zorzy blisko już było, kiedy miesiąc zapadł niżéj amfiteatru, kiedy cała arena świetniała

połyskami, bijącemi od skrzydeł, brzmiała muzyką niewidzialnego chóru, zaczął się spór ostatni, wyroczny, wokoło twojéj poświęconéj głowy!"

On, wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawo swoje: „Wrogu nieśmiertelny! on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy!" Lecz anioł, rozwiązując tęczę skrzydeł, potrzącając złocistemi punktami: „O, Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę!" „I od walki potęg zamgliło się powietrze — uczułeś powtórne konanie. Życie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarciem — ogień ci palił stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy—tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę..." „Powtań, o, synu Grecyi — patrz! Wróg dłońmi zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysileń — w mgle zarannéj coraz posępniéj mdleją kształty jego. On kona, głowę oparłszy o bramy cyrku — głos jego już teraz jak szum wód dalekich. Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyę!"

„Powstań! oto inny głos cię wzywa i posyła na pokutną pracę. A praca twoja ogromna i niezmierzona, jak niezgłębiona otchłań krzywdy ludzkiéj, łez i krwi."

Niełatwa to rzecz przedstawić „spór wyroczny". Tu ściérają się z sobą dwie duchowe potęgi, nie dawni rycerze, wywijający mieczami. Wymiana słów jest widomą szatą sporu. Goethe poradził sobie w ten sposób, że dyabli zioną ogniem przeciw chórowi aniołów, wreszcie, parzeni różami, spadają do piekła, a sam Mefistofeles zostaje wyparty przez rodzaj siły odpychającéj, zupełnie tak, jakby pierwiastek anielski i piekielny były jednoimiennemi biegunami magnesu. Lermontow zastąpił niemal walkę potężnym obrazem wynurzania się demona z cieniów i opisem jego groźnéj postaci.

Krasiński nie dorównywa może Goethemu w plastyczności przedstawienia, ale przenosi go szczytnością i potęgą wrażenia, zbliżając się w tém do Lermontowa; góruje znowu nad tym ostatnim, albowiem naocznie przyglądać się możemy starciu sprzecznych sił.

Potrzeba epilogu. Geneza utworu.

Poemat właściwy zawarty jest — jak się nadmieniło — w „bohaterskiéj" części, wypełnionéj ruchem, walką, krwią, pożarami, namiętnością, a zakończonéj zupełną porażką. Nadzieje zdeptanéj Grecyi i uciemiężonych przez Rzym barbarzyńców zamieniły się w niewzruszoną pewność dalszych tryumfów znienawidzonego wroga. Gdyby poeta już tu ukończył dzieje téj rozpaczliwéj, lecz szlachetnéj walki,

utwór wywarłby wrażenie nadzwyczaj przykre, gnębiące. Następnie wywołałby uczucie niezadowolenia. Więc cóż?—zapytałby zniechęcony czytelnik. Więc nie ma sprawiedliwości dla winnych i niewinnych?

Poeta musiał rzucić w końcu jakiś jaśniejszy promień, któryby choć w części złagodził zbyt ponure barwy, pogodził ze zbyt smutnem zakończeniem tylu podjętych wysiłków. A takim jaśniejszym promieniem jest ocalenie Irydyona. Przegrana Hellady nie wyda się zupełną, gdy zostanie ocalony jeden z najszlachetniejszych jéj synów.

Ażeby wszakże los Irydyona utożsamić do pewnego stopnia z losem Grecyi, należy, nie zrywając zupełnie węzłów między chwilą walki a ocalenia, rozluźnić je, rzucić między nimi kilkanaście wieków. Bo wyobraźmy sobie, że gdy mściwa sprawiedliwość Rzymu, uosobiona w Ulpianie, mieczem, chłostą i kajdanami karze uwiedzione tłumy za zuchwałość rokoszu i niemniejszą zuchwałość wytrwałego oporu, gdy rozlegają się jęki, skargi i przekleństwa, przerywane chropowatemi okrzykami oprawców i świstem opuszczanych biczy, — pomyślmy mówię, iż w takiéj chwili ten, kto się stał sprawcą tylu klęsk, tylu zawiedzionych nadziei, próżnych wysiłków i daremnego znoju, iż ten zdołał ujść bezpiecznie, rzucając braci na pastwę wroga. Byłby to tak potworny upadek moralny, iż w jednym oka mgnieniu wyschłyby wszelkie źródła współczucia, dając miejsce wstrętowi bez miary. Albo przypuśćmy, iż scena z Fausta została tu żywcem przesiona. Posłany anioł wyrywa Irydyona z rąk szatana. Cóż z tego, powiemy. A Rzym? A Grecya? Co innego w utworze Goethego. Tam punkt ciężkości tkwi w osobie samego bohatéra. Zastosowanie tego środka, który zupełnie wystarcza tam, nie zadowoli naszych wymagań co do Irydyona. Atoli czyni im zadość nagłe, czarodziejskie usunięcie w przeszłość całéj téj widowni, na któréj przed chwilą jeszcze rozlegały się jęki rannych, okrzyki rozpaczy i tryumfu walczących, szeroko gorzała łuna, padały krótkie, namiętne, urywane słowa naprzemiany ze szczękiem mieczów. Na to wszystko rzucona została odrazu zasłona na pół przejrzysta. Zwycięzcy nie ucztują „pomiędzy gruzy i trupy". Cisza zaległa wokoło, cisza i zapomnienie. I ci, co się bronili, i ci, co się wdarli, spokój szczery i wieczny zawarli. Cichy smutek zastąpił miejsce rozpaczy i znękania. Teraz czas dopiéro na obronę naczelnika rokoszan i na zadośćuczynienie A wskazanie Irydyonowi nowych celów na ziemi i skazanie go na nową pracę w sposób oryginalny i stanowczy przyczynia się do pogodzenia nas z nieszczęśliwym wyni-

kiem przedsięwzięcia. Wydaje się nam, iż podjęta walka jeszcze nie zakończona, że na jéj rozstrzygnięcie czekać jeszcze należy.

Jaką drogą przyszedł poeta do takiego właśnie rozwiązania i pogodzenia, jakie widzimy w epilogu? Skąd przedewszystkiém ten oryginalny rys zmartwychwstania? Bo przecie wpływ Goethego tu już nic tłómaczyć nie może. W tajemnice twórczości utorowałyby drogę wskazówki współczesnych, listy, pierwotne rękopisy. Gdzie to wszystko? To, co mówi w tym względzie Nehring, wyjątek z listu poety do ojca, list do Gaszyńskiego, dotyczący poematu — wszystko to jest bardzo niedostateczne. Można poczynić kilka mniéj lub więcéj zbliżonych do prawdy przypuszczeń co do genezy utworu i różnych jego części. Poeta tak się rozmiłował w epoce, w którą przeniósł swego bohatéra, iż widocznie w ciągu pracy po wielekroć jakby siebie z nim utożsamiał, podkładał mu własne uczucia i pragnienia, kazał mu przemawiać własnemi wyrazami. Obraz Irydyona stanął przed nim jak żywy dopiéro wśród ruin dawnego Rzymu, według własnego jego świadectwa. Nieraz, gdy błądził po uśpionych ulicach, widział jego cień obok siebie się przesuwający, lub téż chwilami uważał siebie samego za wymarzonego Greka. Te wrażenia, które były poczęści pobudką w twórczości, chciał poeta utrwalić, a w inny sposób, jak zrobił, uczynić tego nie mógł. Być może, iż poeta niejednokrotnie w swych wycieczkach, dumając o téj przeszłości, która w tak żywych obrazach przed nim stawała, zespalając się z wymarzoną przez siebie postacią Greka... być może, powiadam, samą rzeczywistość i teraźniejszość przenosił w przeszłość i poglądał na nią z oddalenia. Pod tym względem znamienne są wynurzenia autora, zawarte w liście do Gaszyńskiego z Kissingen, 6 czerwca 1837 r. (koresp. I, XXXIX [1]), str. 113—116). „Spytaj się Leona (t. j. Ulricha), czy nigdy nie słyszał, nie znał, nie ścisnął ręki postaciom, które żyły, a częścią znikły nieszczęśliwie na ziemi, których głowa pałała jedném tylko dzikiem wrażeniem, a których serce cierpiało, i żądało, i wszystko poświęciło, i wreszcie pęknąć musiało w żelaznych rękach konieczności, nic nie wyprosiwszy u losów, nic nie zdziaławszy dla braci...“ „...o myśli głównéj, przewodniczéj, o tém, co było marzeniem jego młodości, sądzi (t. j. autor)... że jest szeroka i głęboka, i że jest zgodna z prawdą wiekuistą z jednéj strony, a z drugiéj z przemijającemi objawami, których za czasu naszego, za dni krótkich naszych wiele już było, a znikły wszystkie, zostawiając za sobą jęk niesłychanéj, tytańskiéj boleści, zawodu najświętszych

[1]) Wydrukowano mylnie XXIX.

nadziei. Ten jęk, wcielony w postać artystyczną, był jego miłością i celem."

Autor artykułu w „Niwie" czyni wprost przeciwne memu przypuszczenie co do genezy utworu. Powiada on, że poemat najprawdopodobniéj powstał ze sceny epilogowéj. Oto są własne jego słowa:

„Wśród scen Irydyona wybitnie wyróżnia się plastyką i realizmem nocna wędrówka zmartwychwstałego Greka w towarzystwie Masynissy wśród ruin pogańskiego Rzymu. Wydaje mi się wielce prawdopodobném, że tutaj właśnie zawiéra się pierwotny motyw poematu. Może być, że scena ta najpierw została pomyślaną, a może napisaną. Na widok ruin rzymskich mogło przyjść na myśl poecie, co by uczuł jeden z tych, którzy znali Rzym stolicą świata, gdyby dziś ożył; ruiny te zasyciłyby najgorętsze pragnienie zemsty każdego, co niegdyś był wrogiem wiecznego miasta—i wyobraźnia poety przebiegła różne postaci świata rzymskiego, szukając wśród nich bohatéra" („Niwa", 1893, str. 151).

A zatém wpierw istniał epilog, nim powstał bohatér. Przytoczone ustępy listu do Gaszyńskiego, zwłaszcza podkréślone wyrazy, przeczyć się zdają stanowczo domysłowi p. Z. S. W tymże liście przeto w ten sposób się wyraża o rozwiązaniu epilogowém („części filozoficznéj"): Logika, konieczność doprowadziły autora do tego końca, choć sam przyznaje, że on jest bardziéj w sercu pogańskiéj części zwolennikiem, niż filozoficznéj; wolałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieją dalekiéj przyszłości". Oto, jak drogą była poecie ta część pogańska, która, według krytyki „Niwy", miała być tylko „odpowiednią bajką" dla uczynienia epilogu „estetycznie prawdopodobnym". Według powierników myśli poety wczuwanie się w dzieje Grecyi zrodziło poemat (patrz Nehring, „Studya", 1884 r., str. 390). Nehring przytacza następujący ciekawy wyjątek z listu poety do ojca (Nehring, 392). „Czy pamięta Papa treść myśli mojéj jednéj, którą opowiadałem Papie w Petersburgu i którą Papa znalazł piękną? Zwała się Irydyon; działa się przed wiekami w Rzymie. Napisałem był jéj połowę w Petersburgu, w Warszawie podarłem, bo nędzną była, ale przez rok cały (list pisany w listopadzie 1833 r. z Rzymu. A. D.) ona mi pokoju nie dała, ona chodziła mi po głowie, nabiérała szerzy i mocy. Tu mi się objawiła, tu zobaczyłem mojego Irydyona, chodzącego po forum, ja go już nie tworzę, obserwuję tylko. Człowiek ten chodzi ze mną po wszystkich ruinach, przez wdzięczność nie dam mu zaginąć!"

Przytoczone słowa dowodzą, że pomysł poematu o rok wyprzedził bezpośrednie wrażenia ruin rzymskich [1]; a wrażeniom tym niewątpliwie zawdzięcza swój byt owa plastyka i realizm epilogowéj sceny, które zwróciły uwagę p. Z. S. Przypuszczać tymczasem można, iż poeta już poprzednio zagłębiał się w dzieje téj epoki, kiedy szaleli bogowie i ludzie, — albowiem tylko w takim razie uderzyćby mogło wyobraźnię i myśl — przeciwieństwo między dawną sławą i teraźniejszym upadkiem królowéj niegdyś świata całego.

„Postać Masynissy — ciągnie daléj rzecz swoją p. Z. S. — wcale zbyteczna w dramacie, a sprawiająca poecie wiele kłopotu, wprowadzoną została tylko poto, aby umotywować zmartwychpowstanie... Usunąć go nie było sposobu, bo wraz z nim przepadłoby i dokończenie".

Uwaga słuszna, o ile stosuje się do postaci szatana, lecz bynajmniéj nie nadaje większego prawdopodobieństwa przypuszczeniu autora szkicu. Epilog wymagał wprowadzenia Masynissy bez względu na to, czy był zawiązkiem, z którego się rozwinął cały utwór, czy tylko ostatniém ogniwem w szeregu obrazów, wysnutych przez wyobraźnię twórczą poety.

Sprzeczność rysów w postaci szatana i przyczyny téj sprzeczności. Wnioski.

Bądź co bądź, nie posiadamy dostatecznych źródeł, by odtworzyć dzieje stopniowego powstawania poematu i pomysłu. A jakby ciekawą była znajomość tych dziejów! Ileby one nam wątpliwości wyjaśniły! Moglibyśmy wtedy np. rozstrzygnąć, czy naprawdę z dydaktycznym zamiarem przystąpił do swéj pracy poeta, jak chce Klaczko, a za nim Tarnowski? Czy może epilog, jeżeli nie w wykonaniu to w pomyśle był dodatkową częścią, wysnutą ze szczerych sympatyi dla bohatéra i jego sprawy? Ta to geneza pomogłaby nam również zrozumiéć różne sprzeczności w charakterze Masynissy i w roli, jaką odgrywa.

Na pierwszych kartach czytelnik nie podejrzéwa bynajmniéj nadprzyrodzonéj istoty powiernika i przyjaciela Amfilocha, kilka niedomówionych, zagadkowych, tu i owdzie rzuconych wyrazów, nie zwraca uwagi. Aż tu całkiem niespodzianie Masynissa odsłania się, jako wróg Rzymu, co w gwiazd milionach oparł stopy swoje, a następnie ukazuje się w podziemiach w słupach ognia, otoczony nadto chó-

[1] Po raz pierwszy Krasiński poznał Rzym zimą 1830—1831 r., lecz owoczesne wrażenia przeminęły bez widocznego śladu.

rem podwładnych duchów. Stąd się dowiadujemy, iż mamy do czynienia ze zbuntowanym aniołem. Ale też i dyabły nie są odlane z jednego kruszcu. O różnych odmianach dyabła Ign. Matuszewski napisał przecie cały tomik. Czego chce, ku czemu dąży ten, z którym mamy obecnie do czynienia? Nie zawsze łatwo go zrozumieć. Od tak dawna zarzucił sidła na duszę Irydyona. Aby tylko ją zdobyć, usypia bohatéra na 16 wieków, walczy potém o nią u stóp krzyża. Celem jego tedy, jak każdego niepospolitego dyabła, zgubienie pojedyńczéj jednostki? I tak i nie.

Gdy chrześcianom już włożono do rąk „zakazane" szable, — cierpiące duchy już tryumfują, ponieważ się rozdzieliły serca wyznawców Chrystusa, tego wroga, który ich zepchnął do ciemności. Lecz ich władca wstrzymuje te zapędy. „Na dziś tu koniec drogi waszéj, nie pójdziecie daléj". „Wprzódy muszą siły swoje stérać, każdą wiarę krwią popiérać i ogłosić ją fałszem... Myśl ich osiądziem, a w niéj światy tworzyć będziem, coraz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni, zamęczym w ich duszach..." Z tych słów się okazuje, że szatan za cel swój obrał—przez zazdrość i złość—pozbawienie ludzi szczęścia przyszłego, skrzywiając ich szlachetne dążności. Ale to tylko jeden z przejściowych kształtów téj proteuszowéj postaci. Bo oto słuchajcie, co daléj mówi: „Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem Cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych błogosławieństwa Twego! Nie, Ty nimi nie zaludnisz opustoszonych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych. Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów. Sama zgasiłaś słońca, które były chwałą Twoją". Chór zaś śpiéwa: „Niechaj trony nasze wiecznie stérczą próżne i martwe". Dla tych duchów zdeptanych i z tronu ztrąconych i dla ich władcy nie tyle uśmiécha się myśl do kuszenia, unieszczęśliwienia szczęśliwych, ile ugodzenie Przedwiecznego w jego dziele najukochańszém i właśnie dlatego, że to jest Jego dzieło. Wobec tego dziwić się tylko wypada, dlaczego Masynissie tak bardzo chodziło o Irydyona. Czyż widział w nim tak potężnego sprzymierzeńca?

Wady wykonania, zdaniem mojém, tkwią przeważnie w braku spójności i jednolitości w samym pomyśle, w różnorodności wpływów, które się złożyły na postać Masynissy. Poeta bezwiednie usiłował zlać w jedno i pogodzić z sobą odmienne stosunki i sprzeczne rysy. Mam tu na myśli goethowskiego Mefistofelesa i byronowskiego Lucyfera z „Kaina". Filozoficzna myśl poematu najłatwiéj mogła być przedstawiona w obrazie walki pierwiastków dobra i zła, wcielonych w osoby, ku czemu już istniał gotowy wzór w głośném dziele poety

niemieckiego. Wspomnienie roli, którą odegrywa Mefistofeles wobec Fausta mogło spowodować Krasińskiego do wprowadzenia odpowiedniéj postaci do własnego utworu. Stąd pewne podobieństwo w szczegółach stosunku szatanów i bohatérów. Stąd pochodzi, że Masynissa nie odstępuje o krok od Irydyona, stąd téż skazanie kobiéty na ofiarę. Że w umyśle naszego poety istniało niejakie pokrewieństwo między szatanem Goethego a własną kreacyą, dowodzi zestawienie, które sam uczynił. Bo gdy w liście do Gaszyńskiego odpiéra zarzuty Ulricha, zwłaszcza ten, który go tak ubódł: „Masynissa niepotrzebny", odzywa się szyderczo: „Mefistofeles w Fauście niepotrzebny, bo można było wszystkie jego mowy, czyny, skupić w parę sentencyi i położyć w przedmowie, przypisku lub dewizie" (Listy, I, str. 112). Według wyjaśnienia poety, chciał on przedstawić w cielesnéj postaci pierwiastek wszechzłego, ciemności, który koniecznością samego tworzenia przemienia się na dobre, na światło. Mielibyśmy tu „nic", przetwarzające się co chwila w „coś", uosobienie pierwiastku przeczącego, który, jako stopień, jako składnik nieodzowny, potrzebny jest do stawania się dobrego, wielkiego i t. d. Podobny sposób rozumienia roli kusiciela łatwo można było zbliżyć z rolą Mefistofelesa. W prologu Goethe wkłada w usta jednéj osoby następujące słowa: „Łatwo omdlewa czujność śmiertelnika, Nieraz go żądza bezczynności skusi, Rad więc dodaję mu współpracownika, Co pcha i drażni, a jako szatan stwarzać musi". Po nad to wszystkie jednak największą wagę przywiązuję do epilogowéj walki w Kolizeum. Według mnie, ten ostatni dowód wpływu niemieckiego poety jest stanowczy.

Ale dla Krasińskiego Mefistofeles był za cyniczny, za poziomy. Usposobienie poety nie mogło sobie upodobać téj postaci, raczéj złośliwéj, niż złéj i przy całéj swéj potędze, zupełnie pozbawionéj grozy. To też autor, każąc Masynissie występować w roli szatana - kusiciela ubiéra go w rysy, skądinąd zaczerpnięte, wyposaża w przymioty bardziéj zgodne z rodzajem własnéj twórczości. Do gorączkowéj jego wyobraźni, lubującéj się w potężnych, niezwykłych obrazach, łatwiejszy dostęp znajdowały posępne kreacye Byrona, niż cyniczne szyderstwa goethowskiego dyabła. Na zapytanie Kaina: „Czyś mu równy?" Lucyper odpowiada: „Nie, nic nie mam i nic nie chcę mieć z Nim wspólnego. Jakiémkolwiek winno być moje miejsce, wyżéj odeń, czy niżéj, wszystko przeniosę nad to, żebym miał dzielić z Nim władzę lub służyć Mu. Ja istnieję niezależnie (*J'existe à part* [1]). Lecz jestem wiel-

[1]) Korzystałem z francuskiego przekładu prozą Larocha. Paryż, 1869 r.

ki. Wielu mam zwolenników. Będę ich jeszcze miał więcéj. Bądź jednym z pierwszych."

Taką samą bezwzględną nienawiścią tchną słowa Masynissy: „Jest inny Rzym, który zaginąć nie może! On nie na siedmiu wzgórzach, on na gwiazd milionach oparł stopy swoje! On nie ród ludzki marny jeden, ale plemion anielskich wielkich i urodziwych krocie znękał. Z was wszystkich on ma tylko błaznów, z nich męczenników i t. d." Gdzieindziéj Irydyon zapytuje Masynissę, czy Chrystus jest panem nieba i ziemi?

Masynissa. Sam wyrzekłeś.

Irydyon. A więc świadczysz Jemu?

Masynissa. Jak wróg nieśmiertelny nieśmiertelnemu wrogowi! Dzisiaj On władnie starém niebem i zgrzybiałą ziemią, ale są przestwory, kędy imię jego zmazane, jak moje starte jest w niebiesiech! Są światy nieskończonéj młodości, pracujące w bólach i odmęcie, słońca bez blasku, przyszłe bogi w okowach, morza nie nazwane dotąd, wezbrane wiecznie ku szczęśliwym brzegom! a on już ustał, już zasiadł na tronie i rzekł: „Jestem" i opuścił skronie. Nie zaprzeczam Go, widzę Go, oczy moje, rażone Jego blaskiem, odwracają się ku ciemnościom, ku nadziejom moim. Z nich będzie zwycięstwo. Wybiéraj.

Te słowa znowu jakby wyjęte z ust Lucyferowi:

Kain. Duchu pyszny! Zbyt dumnie się wyrażasz. Aleć ty sam, jakkolwiek potężny jesteś—masz przecie pana?

(Irydyon mówi: „A więc świadczysz Jemu?").

Lucyfer. Nie! Przez niebo, w którém króluje, przez otchłań i niezmierzoność światów i życia, nad któremi panowanie z nim podzielam — nie! Jest on moim zwycięzcą — wyznaję, lecz nie zwierzchnikiem. Otrzymuje hołdy od wszystkich, lecz nie odemnie. Ja z nim walczę, jak walczyłem w niebie. Przez wieczność całą, w nieprzeniknionych otchłaniach śmierci, w bezbrzeżnych obszarach przestrzeni, przez nieskończoność wieków — o wszystko będę z nim walczył. Świat za światem, gwiazda po gwiezdzie, przestwór za przestworem wstrząsną się w swych posadach, nim się skończy ten spór, — jeżeli kiedykolwiek skończy, — a to nastąpi chyba aż po unicestwieniu jednego z nas. A co może zniszczyć naszą nieśmiertelność, lub naszą wzajemną nieubłaganą nienawiść?"

Łatwo poczynić nawet szczegółowsze zestawienia. Lucyfer mówi: „gdybym zwyciężył, to, co teraz nazywa się złém, byłoby dobrém. Masynissa: „Przez to, co On przezwał złém, przez jedyne dobro moje, przysięgam ....." Lucyfer wymaga hołdu od Kaina: „Bądź jednym z pierwszych" („Wybiéraj" — mówi Masynissa). Kain. „Nie

ugiąłem dotąd kolana przed Bogiem mego ojca... Dlaczegóżbym miał zniżać się przed tobą?" Irydyon zaś w podobnym wypadku odpowiada kusicielowi: „Odejdź, ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojéj,—na téj skale, patrząc w oczy Romy, umrę, jak żyłem, w samotności ducha."

Do zupełnéj równoległości postaci, stworzonéj przez Krasińskiego, braknie tylko Lucyferowskiego współczucia dla cierpiącego plemienia ludzkiego. Jest ono w jego oczach „marne", — z ludzi Przedwieczny ma „błaznów swoich". Pomysł naszego poety jest bardziéj katolicki, prawomyślny.

W streszczeniu rozwinięty w powyższych uwagach pogląd mój na Masynissę przedstawia się w następujący sposób.

Krasiński zagłębił się w badanie dziejów starożytnego Rzymu. W osobistych okolicznościach należy szukać przyczyn, które pozwalały poecie zespalać się w uczuciach z Helladą, przez Rzym upokorzoną, utożsamiać siebie z jéj bohatérami. Najpewniéj wykraczał on tu przeciw dziejowéj prawdzie. Grecy w owym czasie nie zakreślali sobie zadań podobnych tym, jakie podejmował w poemacie Irydyon. Dość, że poeta odczuwał „jęk tytańskiéj boleści". Te uczucia i obrazy opanowały wyobraźnię poety, domagały się swego wcielenia w postaci artystyczne. Wtedy zapewne dopiéro przy rozważaniu przemijających objawów, „których za dni krótkich naszych wiele już było", a i pod wpływem otoczenia przyszedł poeta do przekonania, że „nie zemstą dzieją się wszelkie postępy rodu ludzkiego". Stąd konieczność pogodzenia w utworze nienawiści i miłości. — Bezpośrednie wrażenia ruin rzymskich, przeciwieństwo minionéj sławy i przepychu z obecnym upadkiem, — wraz z wpływem Goethego złożyły się na powstanie epilogu. Teraz już należało mechanicznie poniekąd wszczepiać postać szatana w poemat, gdy tymczasem w samym pomyśle miejsca tam dlań nie było. Stąd bezczynność Masynissy w „bohaterskiéj części". Następnie zlanie rysów szatana-kusiciela i szatana-buntownika wytworzyło niejednolitość i chwiejność w przedstawieniu postaci ducha piekieł i zagadkowość jego roli.

Ocena Masynissy.

Na zakończenie poddam ściślejszemu rozbiorowi różnorodne i częstokroć sprzeczne sądy, które wywołała postać Masynissy. Z żalem muszę tu wyznać, że jedno z głównych opracowań, — artykuł Ant. Małeckiego o Irydyonie w „Przegl. Pozn.", 1847 r. — było dla mnie niedostępne.

Rozbiór swój zacznę od Chlebowskiego („Nieboska” i „Irydyon”, w r. 1884, str. 49—50). „Wprowadzony z czysto estetycznych pobudek do utworu, jako przeciwstawienie młodzieńczemu Irydyonowi, a może i echo wrażenia wywołanego przez figurę Wajdeloty, czuwającego nad Konradem, przekształcał się Masynissa w ciągu pracy, pod wpływem udręczeń ducha walczącego daremnie z zagadką nieskończoności, na uosobienie téj ciemnéj, negatywnéj postaci, w jakiéj nieskończoność przedstawia się znękanemu własną bezsilnością umysłowi, w chwilach moralnéj apatyi. Ideały nasze wtedy wydają się piekielnemi ułudami, zsyłanemi na udręczenie i zgubę naszą. Masynissa jest tylko nową, szerszą formą myśli uosobionéj w „Dziewicy”.

W ocenie tego krytyka zwracają na się uwagę trzy punkty: 1) Przypuszczenie, iż postać Masynissy jest odgłosem wrażeń z „Wallenroda”; 2) Domysł o pierwotnie ludzkiém pochodzeniu Masynissy; 3) Utożsamienie Masynissy z „Dziewicą”.

Najprzód zdaje mi się, że dostrzegam sprzeczność wewnętrzną w jego przypuszczeniu, iż według pierwotnego zamiaru, Masynissa został wprowadzony jako nienawidzący Rzymu Numidyjczyk, z pobudek estetycznych dla przeciwstawienia go młodzieńczemu Irydyonowi, lub téż jako ślad wrażenia wywołanego postacią Halbana.

Jest to sprzeczność za względu na wpływ, przypisywany pospolicie starości. Ani Halban wobec Wallenroda, ani Masynissa wobec Irydyona nie są przezorniejsi; nie hamują młodzieńczéj krewkości swych bohatérów; całkiem przeciwnie, oni ich pobudzają do walki, strzegą od zapadnięcia w bezczynność, od zejścia z wytkniętéj drogi. Z tego ostatniego względu obaj starcy są rzeczywiście do siebie podobni. Gdy wysłańcy Cezara wchodzą, by zabrać Elsinoe — i „syn zemsty” zachwiał się, — wnet głos jego powiernika słyszéć się daje: „Kto się waha, ten urodził się dla słów, nie dla czynów, śmiechem go witać i śmiechem go żegnać będą.” A Grek na to: „Ty, co stoisz nad grobem tak wyniosły, jak za dni twojéj młodości, natchnij mnie siłą w téj wyrocznéj chwili.” Późniéj, gdy miłość względem Kornelii wprowadziła do duszy bohatéra nieznane mu dotąd, cieplejsze, rzewniejsze, bardziéj ludzkie uczucia, gdy spójny dotąd pancerz mściwych uczuć pękać się zdawał, a on się skarży, że przecie coś niepotrzebnego zostawiły mu w sercu bogi, choć nie ma na nim dotychczas skazy litości, — w takiéj chwili Masynissa znowu występuje jako nieubłagana wyrocznia, surowa, napominająca za miękkość duszy, za słabość ramienia: „Ale téż nie ma czynu, syna ręki twojéj”. Również

w sercu Wallenroda, jak chce przynajmniéj poeta, obok wielkiéj myśli, dla któréj poświęcił całe swe życie i oddał siebie na ofiarę, pozostało jeszcze miejsce na inne, całkiem osobiste uczucia, które w stanowczéj chwili odbiérają mu moc potrzebną. Halban już zesztywniał. Jego dusza jest zabezpieczona przed najściem niepożądanych, nowych czynników, i dlatego jest on bardziéj jednolity, silniejszy, aniżeli Konrad. W taki sposób zaznacza się różnica i stosunek wieku, i tylko w podobny sposób Numidyjczyk, z nieśmiertelną starością mógłby być przeciwstawiony „młodzieńczemu" Irydyonowi.

Jak widzimy, wspólne rysy w stosunku Halbana i Wallenroda z jednéj strony, Masynissy i Irydyona z drugiéj, rzeczywiście wykryć się dają. Ale czy można tu widziéć cokolwiek więcéj nad przypadkowe podobieństwo? przesądzać trudno... Przypuśćmy na chwilę, że Krasiński niewątpliwie przeniósł pewne rysy z Halbana na postać przez siebie stworzoną. Lecz podobieństwo to wtedy dopiéro nabrałoby rzeczywistéj wagi, gdyby się dało wykazać całkiem „ludzkie" pochodzenie Pana zastępów strąconych. W takim razie moglibyśmy uważać wspomnienie Wajdeloty za istotną pobudkę wprowadzenia do utworu osoby doradcy i powiernika. Jeżeli, przeciwnie, Masynissa miał być szatanem odrazu, jeżeli kreacya ta była wcale niezależna w pomyśle od starego Litwina, —częściowe zapożyczenie się w ciągu pracy miałoby tylko podrzędne znaczenie. Krytyk jednak żadnych nie przytacza dowodów na poparcie swéj hypotezy przeradzania się Masynissy „pod wpływem udręczeń ducha walczącego daremnie z zagadką nieskończoności". W samym utworze nie znajduję nic, coby na podobny wniosek naprowadzało, a chwiejności i sprzeczności dadzą się łatwiéj i naturalniéj wytłómaczyć przez różnorodność niepogodzonych wpływów. „Starzec pustyni" na pierwszych kartkach występuje już jako wysłannik piekieł. Po uprowadzeniu Elsinoe, gdy syn kapłanki traci swój spokój pozorny, nieodstępny jego towarzysz przestrzega go: „Na skargi będzie czas kiedyś późniéj, kiedyś... kiedyś." Cienie Hadesu mają upewnić Amfilocha, iż przyjaciel jego nigdy nie opuszcza nikogo, komu przyrzekł towarzyszyć do końca. „O Hermesie, duchy nasze trójcą połączone, i nikt ich rozerwać nie zdoła". Irydyon zaś zwraca się do niego ze słowami: „Ty, na którego czole napisane słowo—potęga", „Ty, straszny, niezgłębiony" — choć, prawdę mówiąc, podobny ton uroczysty nie jest zgoła usprawiedliwiony. Tém widoczniejsza chęć autora uwydatnienia charakteru, w jakim występuje rzekomy Numidyjczyk. Oczywiście, wszystko to można uważać za późniejsze przeróbki, mechaniczne dodatki; lecz trzeba miéć na to dowody. A gdzież są one?

Możnaby przytoczyć cały szereg utworów, w których autorowie traktują dyabła „całkiem” psychologicznie. W takich utworach szatan nie ma swego odrębnego, samoistnego bytu. Jest on tylko sobowtórem bohatéra, jego niższém „ja”; to zła myśl i popędy, od osoby oderwane i przez rodzaj halucynacyi wcielone w istotę, pozór życia posiadającéj, którą sobie sami przeciwstawiamy, z którą walczymy, ostatecznie zwyciężając lub ulegając. Nie z innym dyabłem zabrał znajomość jeden z bohatérów Dostojewskiego w „Braciach Karamazowych”; w niewinnego cisnął kałamarzem Luter; nie inne głosy szyderskie przedrzeźniały słowa hr. Henryka w „Nieboskiéj komedyi”. Tacy wreszcie, nie inni, kusiciele zjawiali się przed świętymi pustelnikami podczas modlitwy i umartwień. W rzeczywistości takie twory posiadają istnienie odbite, jak cień, naśladują ruchy umysłu, który je porodził i w razie porażki znikają bez szmeru, bez odgłosu... Tak czynią przynajmniéj, jeżeli nie zadają kłamu psychologicznéj prawdzie. Opętani cichną odrazu, gdy zły duch został z nich wygnany.

Chlebowski chce widzieć takiego sobowtóra w Masynissie. W chwilach znękania moralnego „ideały nasze (dlaczego mianowicie ideały?) wydają się piekielnemi ułudami, zsyłanemi na udręczenie i zgubę naszą”. Stanowczo nie można zgodzić się na takie rozumienie téj postaci. Jak już wykazaliśmy, uposaża ją poeta w rysy poważne, surowe, tragiczne, lucyferowskie. Masynissa jest przeciwnikiem Boga, nie Irydyona. Ten z nim nie walczy, nie opiéra mu się aż do ostatniéj chwili, gdy wraz ze zwycięstwem Aleksyana upadła jego sprawa i rozeszły się drogi dotychczasowych sprzymierzeńców. Wprawdzie Irydyon ma chwile upadku, znękania, ale źródło ich tkwi w okolicznościach wewnętrznych i zewnętrznych, nic wspólnego z szatanem nie mających. Zemsta — jestto kształt, który przybrała miłość u syna uciemiężonéj Hellady. Kształt ten potępił poeta z filozoficznego stanowiska; nie mniéj ten kształt, owa zemsta stanowi istotę uczuć spadkobiercy myśli Amfilocha. Jest to droga, którą postępuje, którą nie Masynissa mu wytknął, i z któréj zejść nie chce. Jeżeli bohatér ma być postacią żywą, nie skrzywioną estetycznie, za ułudy możnaby jedynie uważać miłość ku Kornelii, chęć wypoczynku, złożenia broni, bo to wszystko stanowi pokusę, jest zaprzeczeniem uczucia, którego żywém wcieleniem jest Irydyon. Ułudy te jednak nietylko nie pochodzą od kusiciela, ale właśnie spotykają w nim największego wroga. Utożsamić zaś działalność bohatéra wyłącznie z wysłuchiwaniem obcego ducha, jestto unicestwić całą jego osobowość...

Gdy Chlebowski jakby dąży do zlania szatana z bohatérem, chce mu odmówić prawa do samoistnego, odrębnego bytu, p. Tarnowski to prawo estetyczne do niezależnego istnienia przywraca mu w zupełności, czyniąc zeń demona politycznego. Mimo to, sąd Tarnowskiego muszę odrzucić zasadniczo, lubo można w nim dojrzéć drobną cząstkę prawdy.

Według profesora krakowskiego [1]), szatan Krasińskiego jest pomysłem oryginalnym i potężnym, jednym z największych, na jaki kiedykolwiek zdobyła się twórczość poetycka. Duch ciemności, zdaniem jego, nie odgrywa w poemacie takiéj roli, jaką mu nadają w utworach swych Byron, Milton, Goethe. Czynność szatana we wszelkich innych poematach zasadza się niezmiennie na usiłowaniu opanowania jednostki, a to w celu osobistéj jéj zguby. Dla Masynissy zaś żadnego zgoła znaczenia nie ma osobnik. Obojętne mu jest w gruncie zbawienie lub potępienie Irydyona. Jestto demon polityczny, który umié w pierwszym zarodku skrzywić, zwichnąć, zohydzić każdą zdrową i szlachetną myśl o szerokim społecznym zakroju. Więc reformacya zamiast reformy kościelnéj, gilotyna zamiast usunięcia niesprawiedliwości i t. p. — to dzieło „szatana wszystkich wieków i społeczeństw".

Zdaje mi się, że jak wogóle we wszystkich pismach Tarnowskiego, tak i w teoryi demona politycznego pierwiastek publicystyczny wybitny ma udział. Obok Robespierra i Lutra czytaj także demagogów i fałszywych budzicieli ducha.

A jednak teorya ta całkowicie obca jest samemu poecie. Według Krasińskiego, jak już dwukrotnie nadmienialiśmy, mamy tu do czynienia z uosobieniem pierwiastku przeczącego, przemieniającego się w „coś", więc jakby współczynnego przy „stawaniu się". Według Tarnowskiego zaś — z pierwiastkiem szkodliwym, który rzeczywiście może zwichnąć i pchnąć na fałszywe tory całą epokę dziejową. A to jest już co innego. Jeżeli tedy demon polityczny olbrzymi jest w pomyśle, nie miał tego pomysłu poeta, boby tak łatwo o nim nie zapomniał. Co do wykonania, upoważnia ono, jak przekonaliśmy się, do wniosków najsprzeczniejszych, a zatém i z tego względu o „olbrzymim" pomyśle mowy być nie może. A nawet rozwój wypadków usprawiedliwia raczéj sąd samego autora; mamy przed sobą szatana zawsze walczącego, zawsze pobitego; jego usiłowania wydają zawsze skutek dla niego niepożądany.

---

[1]) Odczyty poznańskie w „Kraju", 1892 r., n-ra 4, 6, 7, przedruk streszczenia podanego przez „Dziennik poznański".

Trudno mi się także pogodzić z tą okolicznością, że naprowadzenie na błędne ścieżki wskutek dążenia do szlachetnego celu p. Tarnowski nazywa pomysłem oryginalnym.

Czyż podobna zapomnieć, iż właśnie na tej podstawie opiéra się stosunek Mefistofelesa do Fausta. Jeżeli Masynissa działa na szerszém polu, wynika to wprost z założenia, z roli, jaką przeznaczono dla głównego bohatéra.

W poemacie Goethego każdy niemal ruch Fausta wypływa z koniecznéj potrzeby zadośćuczynienia wymogom niespokojnego ducha. Faust przeszedł przez próżne etapy i opuszczał każdy, skoro poczuł. iż nie stanął jeszcze u źródła, w któremby mógł ugasić swe wieczyste pragnienie. Miłość napoły naiwna, napoły zmysłowa, pstra gawiedź ludzka, pogoń za ideałem piękna—nic go dłużéj przy sobie zatrzymać nie mogło. Działalność społeczna była tylko ostatnim punktem ziemskiego rozwoju. Gdyby żył 50 lat dłużéj, możeby opuścił płaski brzeg morza, wszedł na górę i powtarzał: Tak rzekł Zarathustra. Stąd w utworze niemieckiego poety najżywotniejszém zagadnieniem jest: Dokąd on téż zajdzie? Stosunek zaś szatana względem bohatéra określa się pytaniem: Uda się mu czy nie zgubić tego, który „dąży i błądzi"?

W „Irydyonie" nie ma stopniowego rozwoju uczuć. Cel wytknięty—ściśle określony już w chwili wystąpienia działających osób. Nasze sympatye odrazu muszą się połączyć z samą sprawą, nie z bohatérem. Nie zapytujemy: Co się z nim w końcu stanie? Lecz: Czy cel, do którego dąży, osiągnięty będzie? Oto punkt, do którego się zwracają nasze oczekiwania, nasz niepokój. Odpowiednio do tego rola szatana winna polegać na usiłowaniu zatrucia działań Irydyona, skierowanych do tego ogólnego celu. Ale Masynissa wtedyby tylko odpowiadał swemu zadaniu, włożonemu nań przez prof. Tarnowskiego, gdyby pierwotnie syn Amfilocha walczył o niepodległość Grecyi, a tylko wskutek podszeptów zamienił to dążenie na zamiar zniszczenia Rzymu. Lecz właściwie istnienie czy upadek wiecznego miasta nie ma dla Masynissy żadnego znaczenia. Z mściwych zaś uczuć Greka strącony anioł korzysta w ten sposób, iż chce go przywiązać do siebie. Tymczasem p. Tarnowski szczególny kładzie nacisk na tę okoliczność, że dla ducha ciemności obojętne jest w gruncie zbawienie, czy zguba bohatéra. Twierdzenie p. Tarnowskiego zadaje kłam ogólnéj koncepcyi poematu. Być może, iż przez tę „obojętność" dyabeł staje się potężniejszym, ale Irydyon bardzo maleje, a scena epilogowa, owa apoteoza, o któréj z takim zachwytem prawi nasz krytyk, wydawałaby się jakąś niedorzecznością. Wszak Masynissa nie dokonał nic a nic—

pocóżby więc jeszcze dbał o obojętnego mu „syna"? Po co go z płomieni wyniósł, po co w targi z nim wchodził, uśpił go, po ruinach dawnego Rzymu oprowadzał? Po co w Kolizeum walczył? Gdy „piękne, lubieżne" ostrzegają swego pana o wpływie Kornelii, ten mówi: „Mdłe dusze świętych niewiast, z tamtéj strony grobu wracające westchnienia, nie wydrzecie mi go — nie do złotych harf przyuczałem mu tak długo palce, nie do pieśni pochwalnych skręcałem mu usta." A przypatrzmy się, w jaki sposób nasz bohatér jest kuszony. Szatan ofiaruje mu młodość, żądz tysiące, sił tysiące, rozkosz w uściskach wskrzeszonych kształtów piękności, rozkosz w fali przejrzystéj, w ognia promieniu, rozkosze władania i rozkazywania, wszystko napróżno. „Słaby geniuszu, w twoich skarbach nie ma nic dla Irydyona. Umiérając gardzę Nim (t. j. Chrystusem) i tobą". I oto ten szatan, który wciąż zemstę mu podsuwał, teraz najpóźniéj o niéj pomyślał. Jak dawniéj syn Hamilkara, Grek wszystko od siebie odepchnął — téj tylko zażądał. Co więcéj, sam wybrał chwilę, gdy na Forum będą prochy, na Cyrku kości, na Kapitolu hańba. Masynissie pozostawało tylko zastosować się do żądania, by mu się nie wymknęła oddawna upatrzona ofiara. A nam powiadają, że wysłannik piekieł w gruncie nie dba o Irydyona, że go bezpośrednio nie kusi.

Zresztą pytanie: czy dla ducha ciemności jest obojętne, czy nie, zbawienie mściciela krzywd Hellady, nie może otrzymać ani twierdzącéj, ani przeczącéj odpowiedzi, albowiem pytanie to jest niewłaściwie postawione. Stosunku szatana do Irydyona nie można mierzyć zwykłą miarą złośliwości dyabelskiéj: źle mnie, niech tobie dobrze nie będzie. Uwagę tę uczynił już przedemną p. Z. S. On nie chce zguby tego, kogo nazywa swym „synem", — nie chce go dręczyć. On chce mieć w nim sprzymierzeńca w walce z odwiecznym wrogiem. „Razem więc na wieki, bez końca, bez odpoczynku, bez nadziei, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta. Zupełnie w ten sposób zachowuje się Lucyfer wobec Kaina. Ale tego wszystkiego nie chce, czy nie umié dojrzéć nasz krytyk.

Nie dziwię się, że prof. Tarnowski w swém uwielbieniu dla „olbrzymiego" pomysłu (do którego się sam poeta przyznać nie chciał), pominął twory Lermontowa, Byrona, Miltona. Ale dziwi mię, że jest on niesprawiedliwy względem Garczyńskiego. Krasiński ma tak potężne, obszerne i piękne dziedzictwo, że nie trzeba go wzbogacać kosztem ubogiego Garczyńskiego, odbiérając mu prawowitą jego własność. Nie przypuszczam, żeby wielu z moich czytelników dokładnie sobie przypominało treść „Wacława", największego utworu tego przy-

jaciela Mickiewicza. Jest tam wiele ogólnych ultra-romantycznych wpływów, wykazać się dają namacalnie poszczególne wpływy Goethego (Faust), Byrona (Manfred), Mickiewicza. Otóż w tym Wacławie jest „Nieznajomy", którym w sposób zadziwiający wypełnia wszystkie warunki wymarzonego przez p. Tarnowskiego ideału dyabła. Ów Nieznajomy rzuca nasiona nienawiści między ludem a szlachtą, wśród spiskowych sieje niezgodę i postrach. Wacław o tyle mu jest obojętny, iż nietylko przy nim nie wisi (jak Masynissa przy rodzinie Amfilocha), ale wprost ucieka od niego. Nasz tajemniczy bohatér ledwie przyłapać zdołał niemniéj tajemniczego dyabła, i to dopiéro wtedy, gdy się sam stał niebezpieczny dla sprawy piekieł; więc go szatan omamić usiłuje. Oczywiście, oryginalność pomysłu należy przyznać Garczyńskiemu. Co do wykonania, ma ono tę zaletę, iż kusiciel działa całkiem konsekwentnie. Mimo to, ów konsekwentny demon polityczny niezbyt mnie zachwyca.

Zawartość moich uwag dostatecznie określa stosunek mój do zdań Ulricha i samego poety. Panu Z. S. trzeba przyznać tę zasługę, iż wskazując konieczność wystąpienia Masynissy w epilogu w słusznéj mierze ogranicza zdanie Ulricha (a za nim Chlebowskiego). Wreszcie Ign. Matuszewski zbywa Masynissę krótką wzmianką. Wzorem Chlebowskiego zarzuca mu iż nie bierze bezpośredniego udziału w rozwoju wypadków, iż jest charakterem niejednolitym. Zresztą, krańcowo różnimy się w poglądzie na genezę Masynissy, a na dowód dość przytoczyć następujący urywek: „Pozostaje nam... trzecia kategorya figur demonicznych, a mianowicie: dyabły nie związane ściśle i wyraźnie nicią tradycyi... z literaturą zachodu. Na ich czele należy postawić Masynissę" („Dyabeł w poezyi", str. 132).

A. Drogosław.



ANTYSEMITYZM W AUSTRYI.

Z poważnych ust słyszałem niedawno temu zdanie, że antysemityzm należy do rzędu onych objawów, o których sąd przedmiotowy wydać może dopiero historya — współcześni zaś nadaremnie kusić się będą o zrozumienie przyczyn, które go wywołały i o społeczno-naukową analizę form, w których się przejawia. W pierwszej chwili zdanie to wydało mi się trafném. W istocie w całéj powodzi publikacyi polemicznych z jednéj i drugiéj strony, przebija jasno namiętność i zaślepienie, a jeżeli już tu i owdzie spotkać się można z przedmiotowém ocenieniem kwestyi, to przy bliższém przyjrzeniu się dochodzi się do przekonania, że obiektywny napozór badacz opiérał swoje badania zawsze na jednostronnéj tylko podstawie: ten na społecznéj, ów na religijnéj, inny znów na narodowéj — ale żaden nie chciał, nie umiał objąć całości przyczyn, ani całości wywołanych przez te przyczyny objawów. I nic w tém dziwnego. Przyczyny i objawy antysemityzmu tak są różnorodne i tak w głąb życia społecznego sięgające, że kto chociażby w jednym pobocznym kierunku nie wahał wznieść się do obiektywności — niechybnie dojść musi do błędnych rezultatów.

Jeżeli mimo takiéj świadomości zabiéram się jednak do skréślenia zarysu kierunków antysemityzmu, to otuchy dodaje mi okoliliczność, że studyowałem antysemityzm tam, gdzie składają się nań wszystkie równocześnie przyczyny, gdzie w skutku tego przejawia

się téż we wszystkich równocześnie odcieniach, słowem, tam, gdzie materyał do studyów znajduje się najobfitszy: w Austryi.

Na wytworzenie ruchu antysemickiego składają się tu trzy główne rodzaje przyczyn: społeczne, religijne i narodowe; charakter ruchu jest więc odpowiednio do przyczyn, bądź to społecznym, bądź religijnym, bądź narodowym, tu i owdzie podwójnym, a nawet potrójnym. Dowodem wielkiéj rozmaitości przyczyn, jakie się w wielojęzycznéj monarchii austryackiéj na wytworzenie tego ruchu złożyły, jest chociażby fakt, że antysemityzm w Austryi rozpadł się już na pięć jasno zróżniczkowanych odcieni, mających odrębną organizacyą i odrębne organa prasowe.

Jakkolwiek kolébką antysemityzmu w Austryi jest stolica państwa, to jednakże charakter ruchu nawet w samym Wiedniu odpowiada charakterowi mieszanemu monarchii i jednoczy w sobie różnorodne objawy, występujące w poszczególnych krajach koronnych. Początki antysemityzmu w Austryi opiérały się na przyczynach natury czysto społecznéj, dlatego téż zacząć mi wypada od ruchu społeczno-antysemickiego.

Wiedeń należy do rzędu miast, które bardzo stosunkowo długo umiały oprzéć się napływowi Żydów. Jeszcze w drugiéj połowie ośmnastego stulecia liczba Żydów w Wiedniu była bardzo ograniczona, a nawet po tak zwanym patencie toleracyjnym *(Toleranzpatent)* cesarza Józefa II-go w rzeczywistości osiedlaniu się Żydów w stolicy stawiano znaczne bardzo trudności. Stąd poszło, że Wiedeń posiada bardzo mało rdzenine miejscowych Żydów, przeważna ich liczba są to przybysze z Węgier, Moraw i Galicyi; przybysze, którzy i dziś jeszcze związkami rodzinnemi tkwią w krajach, z których przyszli. Rodzin żydowskich, któreby tradycya chociażby trzech pokoleń łączyła z Wiedniem, znaléść można bardzo, a bardzo mało. Okoliczność ta o tyle jest ważna, o ile tłómaczy cechę cudzoziemstwa, nieodłączną od tutejszych Żydów.

Aż do roku 1848 Żydzi podpadali rozlicznym ograniczeniom prawnym i, nie będąc niejako pełnéj krwi obywatelami państwa, musieli, chcąc nie chcąc, zachować wobec pełno prawnionych obywateli pewną skromność i trzymając się w cieniu, ustrzegli się téż wszelkiego prześladowania. Nie chcę przez to powiedziéć, jakoby wówczas antysemityzm w Austryi nie istniał; przeciwnie, nienawiść ku Żydom istniała wtedy tak, jak istnieje dziś, ale z jednéj strony była to nienawiść czysto instynktowna, bez żadnéj organizacyi, z drugiéj łagodziło ją współczucie dla narodu upośledzonego już przez same ustawy państwowe. Niwelujący wszystko rok 1848 był i dla Żydów

właściwym rokiem oswobodzenia. I szał również, który ogarnął wtedy społeczeństwo, sprawił, że przedewszystkiém podnoszono tych, którzy dotąd najbardziéj byli uciskani, obok chłopomanii powołał zatém do życia i żydomanię. Żydzi umieli znakomicie korzystać z czasu, tak że mimo iż ciągle jeszcze istniały przepisy, dzielące ich od zupełnego równouprawnienia, w rzeczywistości krok po kroku zdobywali teren — nie bardzo zresztą silnie broniony. Przetrwawszy czas reakcyi, który nastąpił po roku 1848, doczekali się wreszcie zupełnego wobec prawa zrównania, co w rzeczywistości oznaczało jeno sankcyę stanu rzeczy sprowadzonego już przedtém przez ludność samą. Od téj chwili zaczęły z jednéj i drugiéj strony działać czynniki, które przygotowały grunt do społecznego antysemityzmu. Z jednéj strony Żydzi rzucili się z wielką skwapliwością do wyzyskiwania równouprawnienia, na które tak długo czekali. Mając za sobą dziedzicznie nabytą wolność handlową, na tém nasamprzód polu rozpoczęli wypiérać chrześciańskich współobywateli z przerażającą szybkością. W stolicy państwa zwycięstwo przychodziło im o wiele łatwiéj, aniżeli na prowincyi. Chrześciański kupiec lub rzemieślnik wiedeński na żadném polu nie umiał dotrzymać placu konkurencyi żydowskiéj. W wysokim stopniu lekkomyślny, przyzwyczajony do życia zbytkownego, przytém miękki i leniwy, mieszczanin wiedeński krok po kroku ustępował pod naciskiem konkurencyi żydowskiéj. Nadto ustawodawstwo, które wraz z konstytucyą proklamowało wolną konkurencyę i zniosło wszelkie zapory cechowe, wyszło na korzyść jedynie handlowi żydowskiemu. Kupiec czy rzemieślnik chrześciański, wierny tradycyi, a przytém opieszały, nie korzystał prawie z tych postanowień ustawy: stolarz jak dawniéj, robił tylko meble, ślusarz tylko zamki, krawiec tylko odzienie, a i handlarz trzymał się w granicach, objętych po swoich poprzednikach. Żydzi jedni umieli wolność handlową i przemysłową na swoją wyzyskać korzyść. Nie mając tradycyi rzemiosła przerzucali się z jednego na drugie, a co gorzéj, wykonywali po kilka naraz, zacierali granice między handlem i przemysłem, słowem, wyzyskiwali w całéj pełni każdą stronę nowéj ustawy. Nie kształciwszy się w rzemiośle, nie mając więc żadnéj co do wykonywania jego ambicyi, Żyd chwytał każde rzemiosło, które właśnie było zyskowne, i najczęściéj przemieniał je w przemysł fabryczny z zastosowaniem zasady produkcyi lichéj, byle taniéj. Dużo czasu upłynęło, zanim mieszczanin chrześciański spostrzegł się, że podwaliny jego bytu są zachwiane i zanim zrozumiał, skąd nadeszło niebezpieczeństwo. Żydzi bowiem, opanowawszy przedewszystkiém prasę — i to

tak całkowicie, jak nigdzie w Europie — stworzyć zdolali taką atmosferę tolerancyi, że przez czas jakiś samo wypowiedzenie wyrazu „Żyd“ piętnowało śmiałka, jako zacofańca i nieprzyjaciela wolności. Prasa żydowska jednostronnie wysławiała wszystko, co z judaizmem w jakimkolwiek zostawało związku, a niemiłosiernie karciła najlżejszy nawet objaw reakcyi w tym kierunku. Po tylu latach ucisku Żydzi tak nagle poczuli się panami sytuacyi, że zapomnieli o wszelkiém umiarkowaniu i o tém, że rzeczywistego równouprawnienia nie da żadna konstytucya, ale że zdobyć je należy długą i uczciwą pracą obok i razem z innymi współobywatelami. Przytém prasa żydowska z wielką zręcznością podnieść umiała zasadę wolności handlowéj i przemysłowéj do wysokości swobody obywatelskiéj, tak, że przez długi lat szereg mieszczaństwo chrześciańskie nie miało nawet odwagi kwestyonowania istniejącego stanu rzeczy. W krótkim czasie produkcya spokojna, powolna ale zyskowna, jaka cechowała przemysł austryacki, ustąpić musiała miejsca produkcyi dzikiéj, szybkiéj i dorywczéj, obliczanéj na chwilowy zysk, a często niemal tylko na chwilowy wielki obrót pieniężny. Kiedy dawniejszy producent na wzór dziedzicznego właściciela majątku ziemskiego, dbał przedewszystkiém o przyszłość, t. j. o dobrą reputacyę firmy i o pozostawieniu téj dobréj reputacyi spadkobiercom, spekulant żydowski starał się jeno o wyzyskanie chwilowéj konjunktury i porzucał każdą gałąź przemysłu, skoro ją tylko należycie wyzyskał — ażeby w innéj gałęzi powtórzyć tę samą operacyę. Fabrykant, przemysłowiec, a nawet rolnik żydowski nie przestawał ani na chwilę być kupcem-spekulantem i to kupcem, dbającym wyłącznie o zysk, bez względu na solidność handlu. Taka konkurencya, poparta przez przeważną prasę, stała się dla mieszczaństwa chrześciańskiego prawdziwą klęską. Stuletnie firmy ujrzały się nagle zagrożone ruiną, rękodzielnicy przemieniali się w robotników, kupcy w pomocników handlowych — słowem, w spokojném i zamożném mieszczaństwie chrześciańskiém, proletaryzacya jęła robić szczerb po szczerbie.

W tém rozpaczliwém położeniu zaświtała dla mieszczaństwa pozorna jutrzenka zbawienia: w perspektywie ukazała się gra na giełdzie, widoki zysków bez pracy. I tu znowu potężna prasa wiedeńska odegrała smutną rolę. Historya krachu giełdowego 1873 r. należy do najciemniejszych kart w historyi prasy żydowskiéj, a to, co się dziś dzieje, w najznaczniejszéj części stanowi karę za owe grzechy. Od czasu owego krachu dają się też spostrzegać pierwsze—acz nieśmiałe jeszcze—zwiastuny ruchu antysemickiego. Wo-

bec powszechnéj nędzy i upadku powstało niezadowolenie, które skrystalizowało się wreszcie w ruch opozycyjny — narazie, co prawda, tylko polityczny. Całe niezadowolone mieszczaństwo garnąć się zaczęło około naiwnego programu demokratycznego, który, ogołocony z szumnych frazesów, był programem antykorupcyjnym, reakcyą przeciw nieuczciwości, co opanowała była całe życie publiczne, i podsycana przez prasę, straszne czyniła spustoszenia. Prasa jednak stała jeszcze silnie i w zaślepieniu swém nie widząc zbliżającéj się burzy, zamiast paktować z tak mało wymagającym przeciwnikiem, z całéj siły uderzyła na młodą demokracyę—pewna, że zdoła zgnieść ją w zarodzie. Do największych grzechów żydowskiéj prasy w Austryi należy ówczesna walka z demokracyą. Wszystkie organa prasy na dane hasło rozwinęły operacyę na całéj linii. Walczono wstrętném szyderstwem, potwarzą, fałszem, kłamstwem i obłudą, napadano w dziesięciu na jednego, kąsano pokonanych do krwi, nie szczędzono w napaściach nawet ich rodzin, słowem, prowadzono walkę wszelką bronią, jakiéj dostarczyć może arsenał przewrotności. Walka o tyle okazała się skuteczną, że demokraci, nie mając właściwego programu, około którego skupić by mogli masy, zaczęli już iść w rozsypkę i już... już bliskim był tryumf stronnictwa tak zwanego liberalnego. Ale w gronie naiwnych demokratów znalazły się też osobniki mniéj naiwne i mniéj uczciwe, które dlatego tylko opuściły szeregi liberalne, że nie mogły doczekać się tam zaspokojenia swych ambicyi. Przeszli więc pod sztanpar demokracyi nie tyle z wiary w jéj zwycięstwo, ile w zamiarze przerażenia przeciwników i zmuszenia ich do układów. Zamiar się nie powiódł, a liberalna prasa, pewna już zwycięstwa, ze zwykłą sobie zaciętością rzuciła się przedewszystkiém na tych zbiegów. Na czele owych rozbitków demokracyi stał naówczas dzisiejszy przywódzca zastępów antysemickich w całéj Austryi: d-r Karol Lueger. Jakkolwiek ruch antysemicki, jako objaw społeczny, wystąpił z mocy praw socyologicznych, bez względu na działające przypadkowe okoliczności, pisząc jego historyę, nie można jednakże pominąć d-ra Luegera, który przedstawia niejako wcielenie głównego — powiedzmy—„cechowego“ kierunku antysemickiego. W wysokim stopniu ambitny, pierwszorzędnych zdolności, mówca, jakich mało, a przytém przewrotny do szpiku kości, Lueger pierwszy zrozumiał, że mdły program polityczny demokracyi austryackiéj już się przeżył i że masy skupić się dadzą jedynie około programu społecznego. Bez namysłu zatém rzucił w kąt formy demokratyczne i pielgrzymując od miasta do miasta, stał się apostołem agitacyi cechowéj

w całéj Austryi. Skoro tylko mieszczaństwo austryackie usłyszało w mowach nowych apostołów nowe hasła, zamiast frazesów politycznych postulaty ekonomiczne, a zamiast komunałów o równouprawnieniu okrzyki: „hajże na Żydów, bo oni to jedni zabierają owoce waszéj pracy“ — zwycięstwo nowego stronnictwa było już zapewnione tém — jakkolwiek liberałowie w niepojętém zaślepieniu długo jeszcze uznać nie chcieli bijącego w oczy faktu. Powstający antysemityzm społeczny, stosownie do przyczyn, które go wywołały, przybrał przedewszystkiém charakter antykapitalistyczny. Wielki kapitał dusi małego producenta, daléjże na wielki kapitał, a że widomymi dzierżycielami tego kapitału są Żydzi — daléjże więc na Żydów. Ażeby konkurencyę kapitału żydowskiego uczynić nieszkodliwą, program tego odłamu stronnictwa antysemickiego domagał się i dawnego ograniczenia wolności handlowéj, cechowego urządzenia rękodzieł i ograniczenia konkurencyi przemysłu fabrycznego a następnie dopiéro niejako *pour l'honneur du drapeau* i bez ścisłego określenia sposobów — odsunięcia Żydów od urzędów publicznych i wogóle ograniczenia ich równouprawnienia. Rozumié się, że agitacya, opiérająca się na tak realnych podstawach, bo sięgająca tak w głąb codziennych trosk małego mieszczaństwa, odrazu wyrugować musiała każdą inną, któraby—jako polityczna ukazywała walczącym o chléb codzienny jakieś ideały, do których pojęcia najmniéj są usposobieni. Dla tego rodzaju ideałów stan mieszczański zawsze i wszędzie najmniéj był podatnym i chętnie pozostawiał je z jednéj strony przesyconéj arystokracyi, z drugiéj zgłodniałemu proletaryatowi.

Agitacya więc przeciwko Żydom opanowała w lot szerokie koła mieszczańskie. Zgnuśniałemu i leniwemu do pracy mieszczaninowi schlébiało odkrycie, podane mu jako niezbity pewnik, że Żydzi i tylko Żydzi byli przyczyną jego upadku materyalnego, bo z odkrycia tego wynikał odpowiadający jego lenistwu wniosek, że zamiast pracować i współzawodniczyć z Żydami na polu handlu i przemysłu, wystarczy w knajpie lub na zgromadzeniach, piorunować przeciw Żydom, domagać się i uzyskać w perspektywie ustawy chroniące cel ich konkurencyi, a wreszcie wprowadzić bojkot społeczny, odsuwający Żydów od wszelkiéj produkcyi i sprzedaży. W czasie szerzącéj się tego rodzaju agitacyi zaszedł jeszcze ważny bardzo wypadek: przez rozszerzenie prawa wyborczego drobny mieszczanin stał się wyborcą, w rezultacie niezbędnym dla każdego rządu sprzymierzeńcem. Pierwszym skutkiem tego faktu była zmiana polityki rządowéj wobec nowych postulatów mieszczaństwa, a w na-

stępstwie coraz to nowe ograniczenia w ustawie przemysłowéj, coraz to daléj postępująca organizacya cechów. A kiedy z biegiem lat wszystkie te „zdobycze“ okazały się w skutkach zawodnemi, a drobny handel i przemysł coraz to bardziéj upadał, agitatorowie umieli podsuwać masie coraz śmielsze i coraz daléj idące żądania, ukrywając przed nią starannie jedną wielką prawdę: że żadne ustawodawstwo nie zdoła zapewnić nikomu trwałego dobrobytu, skoro z ustawodawstwem w parze nie idzie wytrwała praca. Ruch społeczno-antysemicki z natury rzeczy przybrać též musiał cechę walki rasowéj; Żyd wszakże wychrzczony tak samo niebezpiecznym jest konkurentem, jak niewychrzczony. Walkę rasową, posunięto z czasem do tego stopnia, że zaczęło się śmiészne prawie badanie genealogii aż do czwartego pokolenia wstecz i prześladowanie ludzi, o których się dowiedziano, że chociażby kropla krwi semickiéj płynie w ich rodzinie. Ruch ten, czysto instynktowny, nie oparty na żadnych badaniach naukowych, nie wydał též żadnego ścisłego lub chociaż w przybliżeniu poważnego programu w zawiłéj kwestyi żydowskiéj. Cały program streszcza się w zohydzaniu Żydów nawet tam, gdzie działają z pożytkiem społecznym, w towarzyskiém bojkotowaniu ich i w żądaniu ustaw, usuwających ich od konkurencyi na każdém polu. Jak ślepym i ograniczonym jest ten kierunek antysemityzmu wynika chaciażby z faktu, że kiedy rozpoczął się ruch narodowy żydowski i wskutek tego ruchu agitacya emigracyjna ogarnęła pewne warstwy żydowskie, antysemici z tego obozu zamiast przywitać tę agitacyę sympatycznie, odrazu stanęli wobec niéj wrogo i dziś także każdy objaw narodowego ruchu żydowskiego prześladują szyderstwem i nienawiścią. Wygląda to tak, jak gdyby gwałtem zatrzymać chcieli Żydów u siebie, jako wygodny upust do wszystkich swych żalów i nieszczęść, jako przedmiot do urągań i prześladowań. W istocie tak nie jest, a powyższa niekonsekwencya świadczy tylko — jak to już powiedziełem — o zupełnie elementarnym i nieświadomym charakterze całego ruchu, kierowanego przez ludzi społecznie niewykształconych, ambitnych, a przeważnie nieuczciwych.

Drugi rodzaj prądu antysemickiego powstał — jak już wspomniałem — z pobudek czysto religijnych, różni się więc od poprzedniego brakiem wszelkich cech rasowych. Antysemityzm religijny istniał właściwie bez żadnéj przerwy zawsze, a tylko szczególne powody złożyły się na to, że przez kilka lat dziesiątków nie wydobywał się na jaw. Prąd liberalny, dominujący wówczas w Austryi, onieśmielił go. Klerykalizm ograniczał się wówczas na feodalnéj

szlachcie i chłopach, szczególnie chłopach w prowincyach niemieckich. Że szlachty feudalnéj jednak znaczna część zaangażowana w niezliczonych spekulacyach giełdowych i handlowych, prowadzonych przez Żydów, trzymała się na wodzy, inni wobec wszechmocnéj prasy bali się klątwy śmiészności, którą bez pardonu obrzucano każdego, kto wogóle ośmielił się twierdzić, że między ludźmi istnieje jakakolwiek—chociażby tylko etniczna—różnica, wszystkim zaś brak było organizacyi, témbardziéj, że i wyższe duchowieństwo kokietowało po części z liberalizmem. Prąd klerykalno-antysemicki, który powiał w Austryi, nie był też właściwie austryackim i powstał tylko, jako objaw prądu ogólnie europejskiego. Upadek rządów liberalnych i pewne — chociaż niewyraźne poparcie u dworu — wzmocniły go i nadały mu taką powagę, że dziś reprezentanci jego nietylko tworzą część koalicyi rządowéj, ale nawet dominujące w niéj zajmują stanowisko. Program przyszłości tego stronnictwa streszcza się w wyrazie: chrzest, ale program działania nie cel wiele odbiegł od programu antysemitów pierwszego rodzaju. Rozumié się jednak, że ma on cechy bardziéj inteligentne i bardziéj światowe wskutek czego umié też paktować z przeciwnym obozem i często gęsto—jak naprzykład teraz w koalicyi—godzić sprzeczności.

Odgałęzieniem tego prądu jest również katolicki, ale bardziéj radykalny prąd antisemicki, opiérający się na chłopach. Jakkolwiek i ten ruch ostatecznie zatrzymuje się tam, gdzie zaczyna się chrzest, to jednakże objawia się w formie gwałtowniejszéj i napastliwszéj i nie wdaje się w żadne kompromisy. Pomiędzy klerykalizmem feudalnym a chłopskim, czyli ludowym, istnieje przepaść, która pogłębia się coraz bardziéj, tak, że dziś już organa ruchu radykalnego jawnie wywieszają sztandar społeczny i uderzają na *latifundia* nie słabiéj, jak na kapitał ruchomy.

Trzeci główny prąd antysemicki powstał z pobudek narodowych i obejmuje wszystkie prowincye austryackie. Zważywszy jednak, że prąd antysemicko-narodowy jedynie w prowincyach niemieckich skrystalizował się już w odrębną i świadomą celu organizacyę, o tych tylko prowincyach na razie mówić można.

Jak wiadomo, Żydzi w całéj Austryi do niedawna jeszcze chętnie nazywali się Niemcami, pielęgnowali tylko niemiecki język i literaturę, ba, nawet brali udział w skrajnie narodowym ruchu niemieckim. Dominując w całéj prasie, potrafili z biegiem lat nadać nawet literaturze niemieckiéj w Austryi piętno żydowskie, nie mówiąc już o ruchu politycznym, który pod pozorem bronienia interesów niemieckich, w rzeczywistości służył tylko celom żydow-

skim. Nie było w tém może zamiaru, Żydzi istotnie czuli się Niemcami, nie ich zatém wina, że typowe właściwości ducha semickiego wzięły górę i wistocie niemieckość zeszła na drugi plan. Natomiast zwolnić nie można od winy prasy żydowskiéj, która zawsze i wszędzie mając na oku interes żydowskiego kapitału, fałszowała historyę, literaturę i sztukę nawet jedynie na korzyść Żydów. Niemcy austryaccy nie mieli nigdy zbyt wygórowanego poczucia narodowości i dlatego też długo, bardzo długo znosili to fałszowanie swego charakteru narodowego. Dopiéro kiedy ze zmianą rządu zaczęło się forytowanie słowiańskich szczepów i spychanie Niemców z dominującego stanowiska, rozpoczął się także budzić ruch narodowy niemiecki, który z biegiem lat przybrał nawet charakter szowinistyczny.

Pierwszym objawem tego ruchu w życiu publiczném było odłączenie się w izbie poselskiéj pewnéj grupy niemieckiéj od wielkiego klubu lewicy. Grupa ta pod nazwą *Deutscher Club* zaznaczyła się początkowo tylko ostrzejszą opozycyą przeciw rządowi. Kiedy bowiem lewica, jakkolwiek w opozycyi, jednakże starała się zachować cechy stronnictwa, gotującego się każdéj chwili do objęcia rządów, uchwalała budżet i wszelkie ustawy i wogóle ograniczała się do opozycyi w słowach, *Deutscher Club* przeszedł odrazu do opozycyi zaczepnéj, objawiającéj się z jednéj strony w negacyi, z drugiéj w podnoszeniu samoistném niemiecko-narodowych kwestyi. O antysemityzmie nie było wtedy jeszcze mowy, bo nawet na ławach klubu niemieckiego zasiadali także posłowie żydowscy. W tém miejscu wymienić znów muszę nazwisko osobistości, która w ruchu antysemicko-narodowym odgrywała podobną rolę, jak d-r Lueger, w ruchu antisemicko-społecznym. W szeregach niemieckiego klubu, talentem, wymową i rzetelną uczciwością, wyróżnił się odrazu młody poseł Ritter von Schönerer. Kiedy inni towarzysze klubowi w krytyce działalności klubu lewicy zachowali jeszcze pewną miarę i uważali się tylko za radykalniejsze skrzydło wielkiego stronnictwa niemieckiego, Schönerer posunął opozycyę do ostatecznych granic i coraz to ostrzéj karcił nepotyzm i obłudę liberalnéj lewicy niemieckiéj. Rozumié się, że nie zapomniał przytém także o organach prasowych tego stronnictwa i pierwszy z całą otwartością odsłonił bezdenną korupcyę prasy liberalnéj Ta prasa jednak wtedy — jak już wspomniałem — tak była potężna i tak w swéj potędze zaślepiona i bezwzględna, że każdą opozycyę karała rodzajem śmierci publicznéj. Spostrzegłszy niebezpiecznego przeciwnika, kierownicy pism wiedeńskich chwycili się szczególnego sposobu od-

wetu. Oto w gronie redaktorów zapadła uchwała, że nazwisko śmiałka, który obraził ich majestat, nie pojawi się nigdy w łamach dzienników wiedeńskich. Można sobie wyobrazić, jak ten publicystyczny bojkot podziałał na ambitnego szermierza. Od téj chwili mowy Schoenerera stały się jeszcze gwałtowniejszemi, z parlamentu przeniósł opozycyę na zgromadzenia publiczne i bez przejścia prawie nadał téj opozycyi cechę antysemicką. W tém znaczeniu antyżurnalizm był tu ojcem antysemityzmu, a przynajmniéj przyśpieszył proces socyologiczny i nadał jego objawom cechę brutalnéj gwałtowności. Do szeregów Schoenerera pierwsi zaciągnęli się studenci. Zaczęły sypać się publikacye ulotne, dowodzące zatrucia ducha niemieckiego przez Żydów i cały ruch przybrał w przeciwstawieniu do sobkostwa ruchu społeczno-antysemickiego—cechę idealno-naukową. Wrogie stanowisko rządu wobec narodowców niemieckich przyśpieszyło tylko przejście całego stronnictwa do obozu wielkoniemieckiego, antyaustryackiego i antydynastycznego. Na „komersach“ burszów niemieckich śpiéwano *Die Wacht am Rhein*, uwieńczano biusty Moltkego i Bismarcka i naśladowano obyczaje dawnych Germanów — szczególnie w kierunku opilstwa. Schoenerer znalazł wreszcie stronnictwo, odpowiadające jego ambicyi, stał się bożyszczem i bez przesady powiedzieć można, zajął wśród swoich stanowisko tak wszechmocne, że nawet człowiekowi mniéj od niego ambitnemu zawrócić się mogło w głowie. Prasa liberalno-żydowska wobec tego ciągle milczała, a nazwisko Schoenerera, czczone przez setki tysięcy narodowych Austryaków, przestało dla niéj istniéć. Przytém rozwinięto czynność prawdziwie policyjną, żeby niebezpiecznego przeciwnika zawikłać w jaką brudną awanturę i zedrzéć zeń aureolę patryotyzmu i uczciwości. Podobne środki doprowadzały wszakże często do celu; szczególnie w szeregach [illegible]chowych antysemitów udało się nieraz schwytać któregoś z przywódzców na jakiéj brudnéj sprawie, a często gęsto i na prostém oszustwie. Co do Schoenerera, istotna jego prawość, a przytém odziedziczony olbrzymi majątek, niweczyły wszelkie intrygi. Tak więc ruch narodowo-niemiecki wzrastał w siłę i ogarniał coraz to szersze koła. Opanowani gorączkową chęcią oczyszczenia życia niemieckiego z wszelkich naleciałości semickich, zwolennicy Schoenerera szukali wzorów w bohatérach z teutoburskiego lasu i silili się, by czynić wszystko to, czego nie czynią Żydzi. Żydzi nie upijają się — narodowcy pili więc jak smoki, Żydzi są tchórzliwi — narodowcy z pałkami w rękach, opadali publicznie przeciwników, Żydzi (w Wiedniu) ubiérają się starannie, narodowcy usiłowali w odzieniu zbliżyć się do ideału staro-

germańskiego — do skóry niedźwiedziéj. Ta właśnie porywczość stać się miała zgubną dla ich przewódzcy, chociaż z drugiéj strony przełamała bojkot, na który skazała go prasa liberalna. Upiwszy się raz należycie w towarzystwie burszów niemieckich, Schoenerer wśród nocy wtargnąwszy do redakcyi jednego z dzienników, który w celach giełdowych podał był fałszywą wiadomość o śmierci cesarza niemieckiego, poturbował kijem kilku redaktorów. Wtedy nazwisko jego znów pojawiło się w prasie żydowskiéj — ale pod rubryką: „Z izby sądowéj". Zasądzony za gwałt publiczny na kilkomiesięczne więzienie, stracił na lat pięć mandat poselski i z parlamentu przenieść musiał agitacyę na inne pole. Znalazł je w łamach założonego własnym kosztem dziennika, dziś głównego organu narodowo niemieckiego ruchu.

Kierunek schoenererowski, jako przedewszystkiém antyaustryacki, nie potrafił jednak zjednoczyć całego niemiecko-narodowego ruchu. Od pierwszéj chwili odgałęziać się poczęła od niego grupa, która, akceptując cały program narodowy, szukała urzeczywistnienia jego w granicach, oznaczonych czarno-żółtemi słupami. Ten odłam stronnictwa narodowego—również antysemicki—najbardziéj wzrasta dziś w siłę i posiada w izbie poselskiéj ośmnastu reprezentantów.

Z powyższego wynika, że wielkie stronnictwo antysemickie w Austryi rozpada się dziś na pięć ściśle zróżniczkowanych odłamów.

Mamy zatém stronnictwo społeczno-antysemickie, klerykalno-feudalne, klerykalno-radykalne, wielko-niemieckie i austryacko-niemieckie.

Stronnictwo społeczno-antisemickie przeważa w miastach. Z Wiednia rozszerzyło się na wszystkie miasta prowincyonalne i liczy zwolenników wszędzie, gdzie mały kapitał walczy z wielkim, rękodzieło z fabryką. Na wiecach tego stronnictwa, pozbawionego wszelkiéj narodowéj cechy, schodzą się Niemcy, Czesi, Polacy, Rusini i t. d. i w najlepszéj harmonii układają plan wspólnéj kampanii przeciw Żydom. Jest to związek międzynarodowy w swoim rodzaju, zjednoczony pod sztandarem walki przeciw Żydom. Centralny organ tego stronnictwa w Wiedniu *Deutsches Volksblatt* liczy do 20,000 abonentów. Przy wyborach miejskich antysemici społeczni odnoszą jedno zwycięstwo po drugiém, szczególnie, odkąd przyłączyli się do nich różni urzędnicy. W wiedeńskiéj radzie miejskiéj dotychczas zasiada 40 antysemitów tego odcienia, a gdyby

nie sztuczna ordynacya wyborcza z podziałem na kurye, oddawna większość byłaby antysemicką.

Stronnictwo klerykalno-feodalne, jakkolwiek mało liczne, jednakże szczyci się olbrzymim wpływem na rząd, w którym nawet posiada — co prawda *incognito* — dwóch przedstawicieli. Organem tego stronnictwa jest dziennik *Vaterland*, redagowany starannie i z wielkim taktem. Stronnictwo klerykalno-radykalne bardzo liczne, jednakże tylko po wsiach, posiada zwolenników we wszystkich prowincyach, wszędzie, gdzie objawiać się zaczyna ruch chłopski. W Galicyi reprezentantem tego stronnictwa jest znany agitator włościański, ksiądz Stojałowski. I ten kierunek posiada *Reichspost* codzienne pismo na swe usługi.

Kierunek prusko-antysemicki, zwany schoenererowskim, liczy dziś niezbyt wielu zwolenników, najwięcéj studentów, daléj też nauczycieli i trochę wyższego mieszczaństwa w prowincyach alpejskich. W Wiedniu jest on najsłabiéj reprezentowany. Organem tego stronnictwa jest dziennik *Ostdeutsche Rundschau*.

Kierunek wreszcie narodowo-antysemicki, barwy czarno-żółtéj, rozporządza częścią włościaństwa, daléj zaś liczy zwolenników w tych sferach inteligencyi, w tych krajach, gdzie walka ze Słowiańszczyzną najbardziéj się zaostrzyła, a więc w Czechach, w Krainie, dolnéj Styryi i t. d. Dziennik *Deutsche Ztg.*, do niedawna organ liberalny, przeszedł w r. z. na własność tego stronnictwa.

Wszystkie powyżéj określone prądy antysemickie — *mutatis mutandis* — objawiają się i w prowincyach słowiańskich. Stronnictwu wielko-niemieckiemu odpowiada tam stronnictwo wszechsłowiańskie — wyjątek pod wieloma względami stanowi tylko Galicya, gdzie dotychczas występuje jedynie antysemityzm klerykalny i społeczny.

Poznawszy chociaż pobieżnie historyę antysemityzmu i główne jego prądy, czas nam przypatrzeć się, jak wobec tego ruchu zachowują się poszczególne warstwy żydowskie.

Wspomniałem już, że Żydzi przez szereg lat do tego stopnia nabrali wiary we własną potęgę, że pierwsze objawy antysemityzmu spotykały się z ich strony jedynie z lekceważeniem. W miarę, jak antysemityzm wzrastał w siły, lekceważenie ustąpiło, a zaczęła się walka na szyderstwo i drwiny. Frazesy, jak: „zakała dziewiętnastego wieku“, „wstyd ludzkości“, starczyć miały za argumenty i przyznać trzeba, że przez jakiś czas trzymały na wodzy szczególnie inteligentniejszą część ludności, nawykłą do liberalnych frazesów i do wiary w liberalne dziennikarstwo. W istocie pierwsze objawy

antysemityzmu tak były brutalne, a przewódzcy ruchu tak przewrotni, że walka niezbyt wydawała się trudną. Kiedy jednak obóz liberalny upajał się poczuciem własnéj siły i słyszał głos jedynie własnych organów—antysemickich jeszcze nie było—antysemityzm właśnie dla brutalnéj swéj formy, z szaloną szybkością opanowywał różne warstwy ludności i przy najbliższych wyborach dał niespodziewany dowód swéj potęgi. Z czasem téż skompromitowani w różnych sprawach aferzyści, którzy hetmanili młodemu ruchowi ustąpili miejsca innym, bądź uczciwym fanatykom, bądź to ambitnym karyerowiczom, którym jednak wrogowie nawet zarzucić już nie mogli pospolitéj nieuczciwości. Przełomem w rozwoju ruchu bylo założenie pierwszego organu antysemickiego, *Deutches Volksblatt* przed laty, jeśli się nie mylę — pięciu. Wtedy dopiero w obozie żydowskim poznano niebezpieczeństwo, chociaż publicznie do tego się nie przyznawano. Każdy nowy wybór stanowił nowy dowód wzrostu antysemityzmu, do którego tłumnie przechodzić zaczęła także inteligencya, nie wyłączając nawet urzędników państwowych. Połowa wszystkich pism codziennych w Wiedniu zaciągnęła się w służbę antysemityzmu, a i na prowincyi powstał cały szereg pism antyliberalnych wszelkich odcieni. Zwolna dumne lekceważenie ze strony Żydów przeszlo całą skalę aż do rezygnacyi i zwątpienia. Wszakże wciągu niespełna lat dziesięciu stosunki tak się zmieniły, że kiedy przedtém nikt jeszcze nie miał odwagi publicznie i jasno domagać się zniesienia równouprawnienia Żydów, w roku 1890 nawet reprezentanci rządu w parlamencie półgębkiem już tylko bronili tego równouprawnienia — w teoryi, w praktyce całą naprzykład urzędniczą karyerę dla Żydów zamknięto [1]). Wobec takiego stanu rzeczy dorastające pokolenie żydowskie poszło rozmaitemi drogami i wytworzyło rozmaite stronnictwa. Najmniejsza tylko część pozostała wierną staremu sztandarowi liberalnemu i dziś jak przed laty dziesięciu, walczy frazesem i od frazesu spodziewa się zwycięstwa. Liberalny obóz niemiecki liczy wprawdzie jeszcze wielu Żydów, ale tylko ze starszéj generacyi, która nie może zapomnieć, jak dobrze jéj było pod rządem liberalnym; zresztą nawet organa starszych, jak naprzykład wydawany przez posła Blocha tygodnik, jawnie sarkać już zaczynają na liberałów i zarzucają im, że dla utrzymania się przy władzy zaparli się Żydów, na barkach których wyrośli.

---

[1]) Chyba co do prowincyi niemieckich, bo co do Galicyi, to z nominacyi rządowych nawet w ostatnich czasach wcale tego nie dostrzegliśmy. (*Przyp. red*).

Najbardziéj charakterystycznym objawem, wywołanym przez antysemityzm jest wzmagający się silnie prąd żydowsko-narodowy, prąd, który dziesięć lat temu, w Austryi przynajmniéj, prawie nie istniał. Nie da się zaprzeczyć, że ruch ten mimo — a może dla swego utopijnego charakteru, zjednoczył właśnie najszlachetniejsze jednostki żydowskie. Młodzież żydowska, która w czasie powszechnego zbratania się wyznań upajała się ideałami narodowemi niemieckiemi, czeskiemi i t. d., dorósłszy, ujrzała się nagle z piersią przepełnioną miłością narodu, który jednak o téj miłości nic wiedziéć nie chciał. Dawni koledzy i spólnicy marzeń szkolnych odpychali ich, a współwiercy szydzili niemiłosiernie z tych, których nazywali renegatami, a którzy dziś nie mogli znaléść kupców na swe ideały. Ale cóż: uczucie narodowości było już nagromadzone, istniało i żyło, błąkając się i szukając przedmiotu, na którymby spocząć mogło. Wtedy importowana z Rosyi pojawiła się idea narodowości żydowskiéj, jako ów pożądany przedmiot, na który téż skwapliwie zlała się cała nagromadzona masa entuzyazmu. Nie znając ani literatury, ani nawet religii żydowskiéj, odepchnięta przez miejscową ludność młodzież, jednakże z zapałem rzuciła się w wir nowego ruchu, jak samotnik, łaknący towarzystwa ludzkiego, bez namysłu rzuca się w objęcia pierwszéj lepszéj spotkanéj istoty ludzkiéj. Młodzi ludzie, którzy lat kilka wstecz nie znali litery żydowskiéj i czuli się najzupełniéj zasymilowanymi z ludnością chrześciańską, rzucili się nagle do studyów nad hebrajszczyzną, ucząc się niejako elementów patryotyzmu w zastosowaniu do nowego przedmiotu. Narodowcy żydowscy stanęli téż odrazu wobec antysemitów na stopie wzajemnego poważania się. Antysemici uznają szczerość, z którą narodowcy wypowiadają, że czują się w danym kraju obcymi, ci zaś przyznają antysemitom słuszność w usiłowaniach, skierowanych ku pozbyciu się Żydów z „aryjskiego" społeczeństwa. Nadto narodowcy, chociaż nie jawnie, jednakże cieszą się ze wzrostu antysemityzmu, w nadziei, że zorganizowane, a w przyszłości może i przez państwo podjęte prześladowanie Żydów, przysporzy im zwolenników i dopomoże do osiągnięcia ich ideału – do utworzenia państwa żydowskiego.

Inną znów drogą poszła ta część młodzieży żydowskiéj, która, wychowana bez ideałów narodowych, jedynie w zupełnym przewrocie społecznym, widzi zbawienie swego narodu. Żydzi grzeszą przez nadużywanie przywilejów, jakie daje kapitał, a więc precz z kapitałem, precz z kapitalistyczną produkcyą, a antysemityzm

ustanie sam z siebie. Ta refleksya poprowadziła legiony Żydów w szeregi partyi socyalistyczno-rewolucyjnéj. Największą rolę odgrywa w tym razie nieświadoma może chęć odebrania swoim współplemiennikom możności szkodliwego działania, a więc *sui generis* chęć „uobywatelenia“ Żydów przy pomocy socyalnego przewrotu.

Najszlachetniejsze zatém jednostki z pomiędzy Żydów pod wpływem antysetymizmu przeszły bądź to w szeregi narodowców czyli „Syonistów“, bądź téż w szeregi socyalistów, ale tak w tym, jak w owym wypadku stracone zostały dla pracy około dobra społeczeństwa takiego, jak jest, w jakiém żyją.

Została jeszcze ciemna masa Żydów i właściwa kapitalistyczna inteligencya żydowska. Masa—stosownie do prowincyi mniéj lub więcéj ciemna, nigdy przez społeczeństwo zbytnio rozpieszczona nie była, przeciwnie nawet w czasie rozkwitu liberalizmu znosić musiała do pewnego stopnia pogardę i to nietylko ze strony chrześcian, ale téż ze strony inteligentnéj części własnych współwyznawców. Ta masa jednak na pogardę jawną odpowiadała i odpowiada zawsze pogardą ukrytą — płynącą z religijnego przekonania o własnéj wyższości i z niezachwianéj wiary w przyszłe panowanie mesyasza na ziemi. Wobec ruchu antysemickiego, masa żydowska tylko bardziéj jeszcze skryła się w głąb własnego przekonania, prześladowania i pogardę przyjmuje z pokorą i mocniéj jeszcze wierzy w ostateczne judaizmu zwycięstwo.

Najsmutniejszą rolę odgrywa bezsprzecznie wypieszczony beniaminek ery liberalnéj: inteligentny reprezentant żydowskiego kapitału. Wychowany bez ideałów religijnych i narodowych, szanujący jedynie siłę, jaką daje kapitał, odczuwający przytém najbardziéj rafinowane potrzeby cywilizacyjne, Żyd z téj sfery ujrzał się nagle osamotnionym wśród swego bogactwa, wyrzuconym ze społeczeństwa, które go wypieściło, wzgardzonym a nawet zagrożonym w swych interesach materyalnych. Zniepráwiony atawizmem kapitalistycznym, nie miał w sobie ani dość siły do mężnego oporu, ani dość dumy do usunięcia się, ani wreszcie dość hartu do pozbycia się błędów. Ta klasa Żydów, która właściwie sprowadziła i jedynie usprawiedliwiła ruch antysemicki, dziś żebrze tylko o pomoc u rządu, a przytém stokrotnie odepchnięta, ciągle jeszcze narzuca się społeczeństwu, nie myśląc wcale o pozbyciu się dawnych wad i grzechów.

Obok tych klas pozostały jeszcze tylko jednostki żydowskie, które osobiście zupełnie zasymilowane i w całém słowa znaczeniu

moralne, a mimo to wraz z innymi odepchnięte, stoją na uboczu i skazane na społeczną bezczynność, boleją nad wadami jednych zarówno jak nad zaślepieniem drugich, jednostki szlachetne a wykolejone, które dotknięte w najświętszych uczuciach zamknęły się same w sobie, jako ofiary generalizujących całe narody i szczepy prądów.

Zestawiwszy to, cośmy powiedzieli o ruchu antysemickim, z tém cośmy mówili o stanowisku Żydów, widzimy z jednéj strony gwałtowne i ciągle w siłę rosnące ataki, z drugiéj bądź to dezercyę, bądź to apatyę, bądź to wreszcie poniżające płaszczenie się. Nigdzie po stronie Żydów nie objawił się jednak właściwy ruch odporny, nawet i tam gdzie, biorąc na uwagę ich liczbę i siłę ekonomiczną, ruch ten miałby szanse powodzenia.

Rozbiór powodów, co się złożyły na wytworzenie takiego stanu rzeczy, przekroczyłby o wiele ramy téj pracy, któréj zadaniem było przedstawić historyę i obecny stan ruchu antysemickiego w Austryi. Chcąc te powody zrozumiéć, trzebaby sięgnąć daleko w przeszłość narodu żydowskiego i poznać etnograficzne przyczyny, które złożyły się na jego fizyczną i moralną degeneracyę. Niemniéj powstrzymać się też muszę od wyrażenia opinii co do przyszłości antysemityzmu, względnie co do sposobu rozwiązania kwestyi żydowskiej. Wogóle uważam tylokrotnie omawiane „rozwiązanie kwestyi żydowskiéj“ za pusty frazes, przynajmniéj w tém znaczeniu, w jakiém zazwyczaj używany bywa. Są wszakże kwestye, których rozwiązania nie sprowadzi żadna ustawa, ani nawet żadna rewolucya i które trwać muszą długie, długie wieki—niknąć zwolna same w sobie, ale nie na drodze ustawodawczéj ani wogóle sztucznéj, jeno i jedynie na podstawie zwolna działających praw przyrody i rozwoju społecznego.

Adin.



Moralność, sztuka i metafizyka,

według M. Guyau [1]).

Filozofia drugiéj połowy naszego stulecia nie odznacza się zbytniém wybujaniem spekulacyi metafizycznéj. Po wielkich, rozległych konstrukcyach metafizycznych (zwłaszcza w Niemczech pierwszéj połowy bieżącego wieku), w kierunku myśli filozoficznéj nastąpił zwrot podobny do tego, jaki u Greków spowodowany został nauką Sokratesa. Jak mędrzec grecki pragnął oderwać myśl ludzką od zagadnień dotyczących wszechbytu—makrokosmosu i za przedmiot badań dać jéj głównie człowieka, oraz jego naturę moralną, tak samo panująca filozofia drugiéj połowy XIX w., odłożywszy na stronę dociekanie pierwszych przyczyn i ostatecznych celów, starała się z dziedziny poszukiwań swoich wyłączyć to wszystko, co nie było ściśle związane bądź z istnieniem jednostki, bądź też z całą społecznością ludzką. Wzrost nauk psycho- i socyologicznych jest znamiennym rysem tego zwrotu. Filozofia staje się z jednéj strony antropologią, w najszerszém oczywiście znaczeniu tego wyrazu, t. j. o człowieku fizycznym i moralnym, z drugiéj — biologią, t. j. nauką o życiu wogóle. Wszyst-

1) „Moralność, sztuka i religia podług Guyau". Napisał A. Fouillée, przełożył z francuskiego J. K. Potocki. Nakładem redakcyi „Głosu" Warszawa, 1894 roku.

kie większe systematy filozoficzne ostatnich czasów noszą wyraźnie ten podwójny charakter. Ewolucyonizm darwinowsko-spencerowski służył za główne podścielisko współczesnéj myśli filozoficznéj. Dla niego celem filozofii nie jest kantowskie: „przejście naszego pojmowania od poznania zmysłowego do poznania nadzmysłowego”, lecz tylko zupełne ujednostajnienie i skoordynowanie zdobyczy nauk poszczególnych, poznanie „najwyższego stopnia uogólnień”. Istnienie świata numenalnego pozazjawiskowego, zostało wprawdzie przyjęte, „niepoznawalne” uznane za mogące być przedmiotem myśli ludzkiéj, hazardowaniu się jéj jednak w tym kierunku i domysłom hypotetycznym o naturze świata nadzmysłowego odmówiono wartości dochodzenia naukowego. Wszelkie dowodzenie w téj mierze, jeżeli o niéj mogła być jakaś mowa, uważano za zwyczajne, słowne rozwiązanie pytania, nie mogące rościć pretensyi do naukowości, gdyż poddaném było rozmaitym dowolnościom rozumowania apryorycznego. Dawne zagadnienia metafizyczne o substancyach i odrębnych istnościach, o duchu i materyi były teraz rozstrzygane zgodnie z wymaganiami nauki doświadczalnéj. H. Taine np. jako jeden z wybitniejszych przedstawicieli anty-metafizycznego kierunku w filozofii naszych czasów, powiadał, że ani „materya”, ani „duch”, brane w dawném znaczeniu metafizyczném jako dwa odrębne składniki rzeczywistości, nie istnieją wcale, cała zaś rzeczywistość wyczerpywana jest przez wrażenia i ruch. Materya, podług niego, jestto „złudzenie metafizyczne”—jest ona niczém inném, tylko „słowną istnością”, t. j. słowem dogodném dla oznaczenia zjawisk i skrócenia o nich mowy. Metafizykę odrzucono jako sprzeciwiającą się wynikom wiedzy ścisłéj i nie wzbogacającą naszéj znajomości świata fenomenalnego, a także jako niezdolną zaspokoić teoretycznych wymagań umysłu ludzkiego, t. j. nie wiodącą go do wykrycia nowych prawd; wydzielono jéj sferę „nadprzyrodzoności” i ogłoszono jéj nieużyteczność dla życiowych zadań człowieka, dla jego praktycznych, moralnych celów.

Pogląd ów na spekulacyę metafizyczną przeważał, wśród filozofów ewolucyonizmu, wszelkie inne. Ostatniemi dopiero czasy byliśmy świadkami ponownych prób i usiłowań, podjętych przez niektórych myślicieli, nie opuszczających gruntu doktryny darwino-spencerowskiéj, w celu przywrócenia metafizyce praw obywatelstwa. Zamiary swoje motywowali oni tém, że człowiek nie może obejść się zupełnie bez metafizyki, że niezbędną jest ona dla jego wyższych potrzeb życiowych — dla jego życia duchowego; przytém starali się ją oprzéć na „doświadczeniu”, uczynić nie wykraczającą przeciwko wiedzy ścisłéj i niejako dopełniającą tę ostatnią.

Ta nowa, odbudowana na podstawach doświadczenia, „metafizyka naukowa" miała, zgodnie z rozumieniem swych przedstawicieli, niczém nie krępować umysłu i sumienia człowieka, lecz owszem, rozszerzać swobodę jego myślenia, za pomocą hypotez metafizycznych, dopełniając naukę w tém miejscu, gdzie się przerywa ścisła wiedza naukowa.

Do tych, którzy w ten sposób pojmowali zadania metafizyki i starali się ją przekształcić i dopasować do wymagań wiedzy ścisłéj, należy, wśród wielu innych, filozof francuski Al. Fouillée, autor dzieła, poświęconego „naukowéj metafizyce", p. t. *La métaphysique fondée sur l'expérience;* do nich także zaliczyć można zgasłego niedawno M. Guyau, któremu zawdzięczamy tyle płodnych i świetnych pomysłów filozoficznych w dziedzinie etyki, estetyki, filozofii, religii, pedagogiki, etc....

Książka, któréj tytuł wymieniliśmy na czele niniejszego artykułu, napisaną została przez A. Fouillée, po śmierci Guyau, w celu łatwiejszego udostępnienia bogatéj treści licznych dzieł znakomitego myśliciela, oraz zestawienia tych wyników, do jakich myśl jego doszła w rozmaitych gałęziach wiedzy filozoficznéj. Przyswojenie jéj przeto naszemu piśmiennictwu z tego, jakoteż z wielu innych powodów, należy zaliczyć do pożądanych i odpowiadających potrzebie chwili objawów. Jak Guyau rozumiał zadania metafizyki i jakie korzyści dla celów czysto życiowych, praktycznych, potrafił wyciągać ze spekulacyi metafizycznych—dowiemy się z téj książki. Przedtém jednak zwróćmy się do tego, co stanowiło rdzeń jego systematu filozoficznego, oś, dokoła któréj wszystkie jego pomysły się obracały.

Ideą-rodzicielką filozofii jego jest idea życia natężonego i rozlewnego (ekspansywnego). Podług niego życie, właściwie pojęte, w samém natężeniu swojém zawiéra pierwiastek przyrodzonéj rozlewności, płodności i szlachetności. Życie, zdaniem jego, godzi w sobie i rozwiązuje z pozoru zasadniczą jego przeciwstawność, mianowicie stronę indywidualną i społeczną, osobniczą i zbiorową. Jednostkę ludzką uważał nie za odosobniony i zamknięty w sobie mechanizm, lecz za istotę przenikaną wpływami innych, jéj podobnych, zsolidaryzowaną z ich świadomościami i mogącą ulegać uczuciom i pobudkom nieosobistym. Życie ludzkie nie zasklepia się w ciasnéi formie życia jednostkowego, — rozlewa się ono po za jéj brzegi, rozszerza się na istnienia inne, w treści swojéj zawiéra pierwiastki nieosobiste, wzięte od innych i przyswojone. Powoływał się na zdobycze psychologii indywidualnéj i społecznéj, na znane fakty suggestyi i wpływu hypnotycznego, na oddziaływanie jednych mózgów na drugie, po to, by roz-

szerzyć zakres życia jednostki, wyprowadzić ją niejako po za granice jéj własnego istnienia i dojść do tego pojęcia, że „świadomość nasza może pozostawać w jakiémś tajném zespoleniu ze świadomościami innemi, oraz, że rozlana w ten sposób we wszechświecie świadomość musi w nim miéć tak samo, jak światło i ciepło rolę doniosłą, musi być zdolną do pomnażania się i szerzenia w wiekach przyszłych."

To pojmowanie życia jako ścisłego zespolenia istnienia osobniczego i zbiorowego, starał się Guyau przenieść w dziedzinę etyki, sztuki, religii i wogóle filozoficznego badania. Ewolucyonistyczna etyka moralistów angielskich wydawała się mu zbyt powierzchowną i fatalistyczną, — usiłował przeto ją sprostować i uzupełnić zgodnie ze swoją doktryną o życiu. Według Spencera instynkty niesamolubne nabywane są mechanicznie, bez udziału świadomego wysiłku człowieka, i utrwalane powoli z biegiem rozwoju, drogą dziedziczności. Dla Darwina moralność jest „szczęśliwym przypadkiem", ponieważ uczucia moralne tego rodzaju, jak: litość, sprawiedliwość, poświęcenie, stały się cnotami tylko dzięki przypadkowi, w innych zaś warunkach mogłyby uchodzić za zbrodnię, czy występek. Guyau oświadcza się przeciwko tym poglądom. Jego zdaniem, zbiorowość i środowiska nie mogłyby doprowadzić do rozkwitu uczuć i wyobrażeń, gdyby one zarodkowo nie tkwiły już w osobniku; w samém przeto łonie życia jednostkowego musi odbywać się pewien rozwój, odpowiadający rozwojowi życia społecznego, będący jego przyczyną, nie zaś wynikiem. Dlatego utożsamianie moralności z instynktem społecznym nie jest bezwzględnie słuszne. Dla utylitarystów celem działania ludzkiego jest zawsze jakaś forma przyjemności, — siłą poruszającą nas, pobudką, są widoki rozkoszy. Guyau utrzymuje, że „przyjemność nie jest rzeczą najpierwszą; najpierwszém i ostatniém jest czynność, życie". Przedewszystkiém żyjemy, doznajemy przyjemności — późniéj. Ewolucyoniści mniemają, wywodząc ideę moralną z instynktu, że w przyszłości instynkt moralny dojdzie do nieomylności. Kiedy to nastąpi, moralność będzie organiczną, t. j. tkwiącą w naszym mózgu, tak np. jak instynkt lepienia gniazda tkwi w mózgu ptaka. W następstwie czego mielibyśmy u kresu ewolucyi moralnéj doskonały automatyzm, znoszący świadomość i pozwalający człowiekowi wykonywać najbardziéj złożone akty moralne, zupełnie mechanicznie, odruchowo. Człowiek robiłby wówczas to, co najlepszém jest i najpożyteczniejszém dla gatunku, nie zastanawiając się wcale nad tém. Udział rozwagi, rozumującéj refleksyi, nie odgrywałby żadnéj roli w postępowaniu człowieka.

Ta teorya zupełnie udoskonalonéj, automatycznéj moralności,

poddana była przez Guyau ścisłéj krytyce; nastręczyła mu ona dwa pytania: do jakiego stopnia moralność może stać się instynktową, oraz w jakiéj mierze instynkt moralny może być zmieniony za pomocą refleksyi. Automatyzm moralny, podług niego, jest czémś niezgodném z saméin pojęciem ewolucyi — zaprzeczeniem jéj, gdyż zakreśla stałą granicę temu, co ma być nieustannie przeobrażającém się. Kazałby on naprzód domyślać się doskonale zorganizowanych przez dziedziczność mózgów, następnie przypuszczać, że automat moralny umieszczony byłby na wieki w środowisku nie podlegającém najmniejszéj zmianie, co równałoby się przypuszczeniu, że świat zostałby powstrzymany w rozwoju. Powstrzymanie takie nie jest ani naukowo dopuszczalném, ani pożądaném praktycznie. Ideałem zaś człowieka nie jest przystosowanie się raz na zawsze do otoczenia, któreby doprowadziło do automatyzmu, lecz przeciwnie, coraz większa łatwość przystosowywań się ponownych do zmian otoczenia, jest nim giętkość, która jest coraz doskonalszą rozwagą i inteligencyą. Nieznana przyszłość — powiada Guyau — „zarysowywać się będzie przed człowiekiem za sprawą idei", nigdy zaś odruchów zupełnie automatycznych. Zupełna bezwiedność i odruchowość aktów ludzkich niemożliwa jest do pomyślenia, wobec tego, że świadomość nasza, ze zmianą warunków istnienia, będzie się również odmieniała i nie da się zachować raz na zawsze w zautomatyzowanéj formie. Chociaż wiele postępków naszych nosić będzie charakter odruchowy, będący wynikiem utrwalanych przyzwyczajeń, nagromadzonego poprzednio doświadczenia i nabytéj wiedzy, niemniéj jednak nowość i skomplikowanie innych, coraz to inaczéj złożonych warunków bytu, będą pobudzały tylko umysł nasz do świadomego wysiłku, będą rozbudzały ciekawość i chęć ich poznania w widokach zapanowanowania nad niemi i ponownego przystosowania się, co pociągnie za sobą wzrost i żywość świadomości naszéj. Guyau twierdzi, że „miarą praktycznéj wiedzy i mocy człowieka będzie zawsze nie jego automatyczne wydoskonalenie, ale potęga jego wewnętrznéj rozwagi".

W przyszłości więc czeka nas nie doskonały automatyzm i bezwiedność, lecz jaśniejsza świadomość. Skutkiem czego starcia pomiędzy instynktami ludzkiemi a świadomością staną się coraz żywszemi, nastąpi nieunikniona przeciwstawność między automatyzmem i rozwagą. Zdaniem G., ilekroć rozwaga zwraca się stale ku jakiéjś instynktownéj skłonności, zakłóca ją, nawet wówczas, gdy ją pragnie wzmocnić.

Zastosowanie ściśléj analizy do uczuć naszych pociąga za sobą, jak wiadomo, osłabienie ich natężenia, częściowy ich rozkład; siła,

stale stosowanéj rozwagi, namysłu, powstrzymuje nas od działania pod naciskiem pierwszéj pobudki, — nadmiar skrupułów zawiesza wolę naszą i może unicestwić jakąś chęć naszą — pewien instynkt. Na poparcie niszczącego wpływu rozwagi na instynkty ludzkie, przytacza Guyau fakt nie karmienia dzieci przez własne matki, które, mając na względzie zdrowie dziecka, idą wbrew instynktowi macierzyńskiemu, nie doznając przytém wyrzutów. Wchodzi tu bowiem w grę świadomość celu paraliżująca bezmyślność instynktu. Na podstawie podobnych danych formułuje Guyau następujące prawo: „Wszelki instynkt dąży do zaniku, gdy się raz stanie świadomym.” (Myśl powyższa w zastosowaniu do zadań wychowawczych znalazła szerokie rozwinięcie w dziele Guyau: *L'Education et l'Hérédité* — znaném czytelnikom z polskiego przekładu). Jeżeli jednak tak jest, to nietylko złe i szkodliwe instynkty, lecz zarówno dobre i użyteczne mogą być za sprawą rozwagi i rozumowania niszczonemi, co na udoskonalenie moralne wpływu miéć nie może. Licząc się z tém, uznaje Guyau konieczność usunięcia téj przeciwstawności instynktu i rozwagi; moralność, zdaniem jego, powinna się usprawiedliwić, albo się rozprzęgnąć, t. j. powinna być wynikiem świadomym wyboru, zależną od wolnéj determinacyi ludzkiéj, ale nie wywodzić się od instynktów, od tego, co jest bezwiednem i może istniéć lub nie istniéć. Głównie chodzi mu o przemożny wpływ świadomości na powstawanie uczuć moralnych; świadomość powinna być moralna, a nie bezwiedność—instynkt, gdyż ten pod wpływem rozwagi może być zniszczony. Im bardziéj, sądzi Guyau, nauka wykazywać będzie, że moralność jest poprostu instynktem, pożytecznym dla gatunku, którego osobnik w pewnych wypadkach bywa ofiarą, tembardziéj instynkt ten będzie się rozprzęgał, tak, że pod wpływem rozwagi jednostka zapragnie w końcu jakiegoś odwetu na samym gatunku. Wielu ludzi, uważając moralność za prosty instynkt, pozostawi innym troskę ochrony społeczeństwa od aktów niemoralnych; mogą oni powiedziéć: bądźcie moralni i bezinteresowni za nas, niech ci, u których instynkt moralny pozostał jeszcze wszechpotężny, dzięki brakowi rozwagi, troszczą się o życie społeczne; my skorzystamy z tego i oddamy się wyłącznie życiu osobistemu.

Nie usuwając z życia ludzkiego dążności i działań instynktowych, pewnego zasobu moralności automatycznéj tkwiącéj w jego organizacyi duchowéj, pragnął Guyau oprzéć podstawy moralnego bytu, na gruncie pewniejszym i trwalszym od samego tylko moralnego instynktu ewolucyonistów. Własny swój systemat etyczny wyłożył Guyau w studyum p. t. *Esquisse d'une morale sans obligationni sanction*, które, śmiało możemy powiedziéć, oryginalnością swoją prze-

wyższa to wszystko, co w zakresie etyki normatywnéj, dokonaném było w ostatniéj ćwierci naszego stulecia. Usiłował tu Guyau wytknąć poszukiwaniom etycznym nową drogę i wykryć jakąś inną zasadę działania ludzkiego, aniżeli rozkosz, zasadę, która byłaby wspólną dziedzinie świadoméj i bezwiednéj, przywracała zgodność pomiędzy instynktem i rozwagą, oraz kojarzyła stanowisko społeczne i osobnicze. Nadto chodziło mu o danie takiego systemu etycznego, w podstawie którego spoczywałyby tylko fakty niepodlegające zaprzeczeniu z wyłączeniem tych, które nie wytrzymują naukowego sprawdzenia, pozostawiając sferę postępków moralnych, odnoszących się do tych ostatnich, osobistéj, dowolnéj działalności każdego zgodnie z jego indywidualną hypotezą. Otóż taką zasadą moralności, tym faktem nie podlegającym zaprzeczeniu — jest samo życie, dochodzące do świadomości własnego natężenia i rozlewności własnéj, a dzięki temu uświadomieniu ich sobie, coraz bardziéj się uszlachetniające. Najwyższą żądzą, którą żywimy wszyscy w stopniu najwyższym, jest niezaprzeczenie żądza życia najbardziéj natężonego i rozlewnego, tak fizycznie jak duchowo. Prócz tego jest ona dźwignią wspólną obu dziedzinom: świadoméj i bezwiednéj, przez nią następuje ich zgodność, gdyż życie, zdobywając świadomość największego swego natężenia i rozlewności, nie dąży do zniszczenia siebie. Co zaś do tego, o czém twierdzą utylitaryści, że życie osobnicze jest z gruntu egoistyczném, anty-społeczném i tylko przypadkowo niém nie jest, Guyau jest zdania, że przeciwnie, z istoty swojéj jest ono towarzyskiém i altruistyczném. Zdaniem jego, tylko życie ograniczone i skrępowane jest egoistyczném, to zaś, które doszło do świadomości swego natężenia, zdobywa również świadomość swego charakteru społecznego, swéj płodności i szlachetności. Pomiędzy natężeniem życia, a jego rozlewnością istnieje ścisła współzależność. Istoty żywe poszukują możliwie największego natężenia życia, dążą do nagromadzenia zasobów życiowych, ale téż jednocześnie pragną nagromadzone, a nie zużyte siły wydać i zużyć, skupiony w nich nadmiar życia pragnie się uzewnętrznić, rozlać. Rozlewność ta nie jest przeciwna przyrodzie życia, jest ona z przyrodą jego zgodna. Jestto warunkiem tego, co Guyau nazywa żyznością moralną. Znajduje ona swe uzasadnienie w faktach fizyologicznych i psychicznych. Wypływa ona z zasady biologicznéj, według któréj: „życie nie jest wyłącznie odżywianiem, jest ono również wytwarzaniem i płodnością. Żyć jestto zarówno nabywać, jak i wydatkować.” W tém miejscu więc uzupełnia Guyau naukę ewolucyonistyczną, przenosząc w rdzeń saméj istoty żywéj, źródło jéj popędów moralnych, jéj instynktów towarzyskości i sympatyi. Według

tego więc, życie przedstawia się nam jako coś szlachetnego z saméj istoty swojéj, nie zaś z przypadku tylko, jak mniemają współcześni moraliści angielscy. Z pojęcia powyższego o życiu wynika inne, mianowicie pojęcie o powinności moralnéj i obowiązku. W skład powinności moralnéj wchodzą dwa pierwiastki: popędowy i intelektualny; z jednéj strony, życie naturalnym popędem dąży do największego stopnia natężenia i szerzenia się, z drugiéj — osiągnięcie owego *maximum* natężenia i rozlewności wydaje się mu czémś najbardziéj racyonalném. Popędem owym życia jest sama siła, żądna ćwiczenia, domagająca się zużycia, jest nim dążąca do czynu potęga. Świadomość powinności jest więc, według Guyau, świadomością potęgi płodnéj, wylewającéj się za brzegi. Obowiązek stąd jest niczém inném, jak tylko poczuciem wewnętrznéj mocy, świadomością siły żądnéj uzewnętrznienia się. „Dotąd — powiada Guyau — uważano obowiązek, jako uczucie konieczności lub przymusu, jestto przedewszystkiém poczucie pewnéj potęgi.” Z jednéj strony wyobrażano istnienie pewnego prawa formalnego, przymuszającym, z drugiéj — wolną wolę, coś, co ma być przymuszaném i kierowaném. Obowiązek, w rozumieniu przedstawicieli etyki metafizycznéj, np. Kanta, był zawsze czémś mistyczném, stojącém po za jednostką moralną, czémś niezależném od życia i jego natężenia. Tymczasem pochodzi on właśnie od wewnętrznéj siły życia, dążącéj do przejścia w czyn, przez uświadomienie sobie własnéj mocy. Obowiązek zatém jest wyrazem siły przeobrażającéj się z konieczności w działanie. Życie w ten sposób, bez żadnych nakazów moralnych pochodzących z zewnątrz, narzuca swoje własne „prawo moralne”, na mocy właściwéj mu dążności do nieustannego rozwijania się; stwarza sobie samo obowiązek działania na zasadzie własnéj możności działania. Zasada przeto: mogę, a więc powinienem, słuszniejsza jest od téj: powinienem, a zatém mogę—niezgodnéj z życiem i jego prawami. Wychodząc z téj zasady, że wszelkie wyobrażenie działania jest już rozpoczęciem tegoż działania, tak, że czyn jest tylko przedłużeniem wyobrażenia, które uzyskuje przewagę nad wszelkiemi innemi (jestto teorya t. zw. „wyobrażeń czynnych” — *idée-force*, jak je nazywa A. Fouillée, którą tenże rozwinął w szeregu dzieł, a szczególniéj w świeżéj pracy p. t. *La Psychologie des idées-force;* teoryi téj zwolennikiem był także Guyau) równoważnikiem powinności moralnéj w dziedzinie umysłowéj, będzie, zdaniem G., samo wyobrażenie najbardziéj natężonego i rozlewnego życia, wyobrażenie, które uświadamiając się dążyć będzie do urzeczywistnienia samego siebie. Zgodnie więc z tém, powinność moralna będzie poczuciem tożsamości pomiędzy myślą a czynem, rodzącéj w rozumnéj istocie

potrzebę wprowadzenia w czyn własnych wyobrażeń. Moralność tedy może być pojmowaną, jako zasadnicza jedność istoty, objawiająca się w zgodzie myśli i chceniu. Jak w sferze woli równoważnikiem powinności moralnéj jest potęga natężonego życia, uczuwająca w poczuciu własnéj mocy potrzebę działania, a w dziedzinie intelektualnéj — poczucie zgodności wewnętrznéj, harmonia myśli i czynu, tak samo w sferze wzruszeniowéj równoważnikiem tym będzie coraz bardziéj wzrastające poczucie solidarności pomiędzy wszystkiemi istotami. Będzie nim coraz bardziéj rosnące zléwanie się czuciowości ludzkich i uspołecznianie się wzniosłych rozkoszy, które coraz więcéj miejsca zajmują w życiu ludzkiém i, jako z natury swojéj mniéj egoistyczne od uciech materyalnych, będą wyrywały ludzi z ich samolubnego używania. Guyau, pomijając uciechy wyższego rzędu, jak rozkosze etyczne, estetyczne, intelektualne, etc., zwraca uwagę na ten fakt, że już teraz, najbardziéj samolubne uciechy, jak np. rozkosz picia, albo jedzenia, posiadają najwyższy urok dopiéro wtedy, gdy je podzielamy z innymi. Można więc przewidziéć ową chwilę, w któréj przewaga uczuć towarzyskich zapanuje w życiu jednostki nad egoistycznemi. Czysto egoistyczne szczęście niektórych epikurejczyków jest niemożliwością, urojeniem, gdyż uciechy ludzkie są zawsze mniéj lub więcéj społeczne, a niektóre, tylko odczuwane i podzielone z innymi, sprawiają *maximum* przyjemności. Egoizm wyłączny, zamiast być potwierdzeniem naszéj jaźni, jéj wzbogaceniem, jest przeciwnie jéj ograniczeniem i oszpeceniem.

Chcąc wzmocnić zasadę życia „natężonego i rozlewnego”, do którego dążą istoty ludzkie, przewidując te wypadki, w których rozlewność życia, jest jego zniszczeniem, albo uszczupleniem i ograniczenieniem, jak np. w wypadkach narażania życia swego dla innych i t. p., starał się Guyau dowieść, że „nawet ofiara z życia bywa niekiedy jego powiększeniem i rozlewnością”, że „życie nawet oddając się innemu, odnajduje siebie, nawet zamierając posiada świadomość swojéj pełni.” Tłómaczy on wypadki wysoce moralnego, bezinteresownego postępowania, w których życie jednostki na szwank jest wystawione, którego wzrostowi i natężeniu pozornie one przeczą, tém, czemu dał nazwę: rozkoszy ryzyka, w któréj, jego zdaniem, objawia się pod postacią nową płodność życia i nieuchronna zależność pomiędzy jego natężeniem i rozlewnością. Ryzykiem tego rodzaju jest w zakresie teoryi — spekulacya, hypoteza, słowem to, co zdaje myśl naszą na łaskę domysłów i niepewności; pomimo jednak tego, myśl nasza poszukuje téj niepewności i uczuwa przytém rozkosz, gdyż dosięga wówczas szczytności i sprawia sobie widowisko swéj własnéj

siły. Taka sama rozkosz ryzyka ma miejsce w sferze działania praktycznego; zamiłowanie do rzeczy nieznanych, do przygód jest wynikiem téj potrzeby ryzyka, narażania siebie na niebezpieczeństwa; w dziedzinie ekonomicznéj odegrywa ona również wielką rolę. W narażaniu się tedy dla jakiéj sprawy — własnéj lub cudzéj, nic ma nic takiego, coby się sprzeciwiało głębokim instynktom i prawom życia— jest ono przeciwnie czémś normalném; poświęcanie życia własnego dla innych, narażanie się na niebezpieczeństwa, nie są, zdaniem Guyau, negacyą jaźni i życia osobistego, jestto właśnie samo życie, dochodzące do szczytności i poczucia swéj płodnéj siły.

Tak się przedstawia w najistotniejszéj swéj części moralna doktryna Guyau. Starał się on w głębi życia samego, w jego naturalnych popędach i dążnościach, znaléść dla niéj dostateczne uzasadnienie naukowe, nie szukając go w tém, co w stosunku do życia jest zewnętrznem. W podstawie jego etyki znajdujemy zasadę dynamiczną; w rozumieniu jego, życie narzuca sobie powinność działania, dla saméj swéj mocy działania i przez to tworzy ono sobie swą sankcyę; w działaniu znajduje swoje usprawiedliwienie i zadośćuczynienie; działając mniéj, mniéj doznaje rozkoszy, — działając więcéj, napawa się więcéj. Zgodnie z tą zasadą życia „najbardziéj natężonego i rozlewnego”, stwarza Guyau ogólną regułę postępowania moralnego i rozwiązuje w sposób naukowy i racyonalny ważniejsze zagadnienia moralne. Przyznaje jednak, że w niektórych wypadkach dla zagadnień moralnych rozwiązania naukowego być nie może, etyka naukowa jest wówczas bezsilną, a rozwiązanie kwestyi należy pozostawić autonomii samoistności jednostki. Rzeczą najcenniejszą dla jednostki ludzkiéj jest samo życie, istotna etyka określi tylko to, cośmy czynić winni dla niego, nie zaś ze względu na jakąś rzecz inną. Nigdy człowiek, powiada Guyau, nie ofiaruje życia, a zwłaszcza nie poświęci go czemuś, dopóki nie będzie uważać tego za ideał stanowczy, a możliwy dlań do osiągnięcia, pojęcie zaś takiego ideału ogarnia zawsze jakieś mniemanie — bądź wyrozumowane, bądź samorzutne, dogmatyczne albo sceptyczne — o człowieku, społeczeństwie, wszechświecie, o początku i końcu istnienia i t. p. Wszystkie te jednak zagadnienia wchodzą w zakres metafizyki — przechodzą granice doświadczenia, naukowo poznanéj rzeczywistości; człowiek przeto będzie się widział zmuszonym spekulować o ideale, do faktów pozytywnych dodawać metafizyczne domysły. Dlatego więc etyka przyszłości będzie, zdaniem Guyau, zarazem metafizyczną i naukową, t. j. z jednéj strony będzie pewną, wskazującą moralnemu postępowaniu regułę wyrozumo-

waną, z drugiéj — wątpliwą, pozostawiającą samorzutności działacza moralnego wyszukanie takiéj reguły.

Estetyczne poglądy Guyau różniły się, tak samo jak i etyczne, od panujących teoryi ewolucyonistycznych; znalazły one swój wyraz w dwóch jego dziełach: *Les problèmes de l'esthétique contemporaine* i *L'art au point de vue sociologique.* Teorye o sztuce szkoły idealistycznéj Kanta i Schillera, oraz ewolucyonistów takich, jak H. Spencer, Grant Allen, Sully i t. p. uważał Guyau za zbyt jednostronne i niedostateczne. Kant i ewolucyoniści angielscy wyłączyli z idei piękna pierwiastek użyteczności, sprowadzając piękno i wogóle całą sztukę do bezinteresownéj gry najwyższych zdolności ludzkich, szczególniéj zdolności wyobrażania. Zwolennicy sztuki czystéj sądzą, że człowiek jest doskonałym wtedy, gdy się bawi; posiada on, tak samo jak i niektóre zwierzęta wyższe, pewien nadmiar energii, który wyładowuje się w grze, w zabawie. Przyjemność estetyczna jest właśnie objawem téj dążności człowieka do swobodnego rozwinięcia swéj działalności, t. j. gry. Utożsamienie sztuki z grą, z wyłączeniem z uczucia estetycznego pierwiastków: prawdy, rzeczywistości, pożytku, dobra i t. p., zatém tego, co stanowi istotę życia, wiedzie ją, zdaniem Guyau, do dyletantyzmu, odbiéra sztuce charakter poważny i czyni bezmyślną. Sztuka, w ten sposób pojęta, przestaje być pierwszorzędnym czynnikiem w ewolucyi życia, nie podnosi jego poziomu i nie zwiększa pełni, — odpowiada bowiem pierwotnym wymaganiom ludzkiego umysłu, którym sama gra wystarcza. Według Guyau, piękno, sprowadzając się do pełnéj samowiedzy samego życia, nie może wyłączać tego, co jest dlań niezbędném; żyć silném, nieskrępowaném życiem jest już, samo przez się, rzeczą przyjemną i estetyczną; pierwszym objawem uczucia estetycznego jest zaspokojona potrzeba, t. j. życie dochodzące do równowagi, do harmonii wewnętrznéj. Piękno zatém nie wyłącza tego, co jest w życiu użytecznem, owszem, przypuszcza działalność skierowaną do osiągnięcia pewnego celu,—słowem, przypuszcza istnienie woli zastosowującéj środki do celów. Piękno tak pojęte, przestaje być czémś obcém istocie żyjącéj, czémś stojącém po za nią (wiadomo, że właściwością gry jest to, iż podczas niéj zainteresowanym jest organ w grze będący, pozostawiając obojętnym cały organizm) i staje się, w ten sposób jakby rozkwitem saméj istoty, kwiatem jéj życia. Początek i cel sztuki leży w chceniu i życiu; sztuka nietylko nie igra sobie dokoła jądra rzeczy, ale przeciwnie, usiłuje wszystkiemu nadać serce, a więc stwarzać, czyli powoływać do życia. Ponieważ nie może jéj wystarczać niedoskonałe życie przyrody, więc sama daje początek życiu wyższemu pod względem pełni

i płodności; to życie wyższe nie jest wcale jakąś czczą „grą wyobraźni”, jest szczerym przedmiotem radości, miłości i woli. W uczucie piękna wchodzą podług Guyau następujące pierwiastki: przedsmak zadowolenia i umysłowe dostrzeganie urzeczywistnienia harmonii, porządku. W wytwarzaniu harmonii wewnętrznéj biorą wielki udział rozmaite czynności życia, jak je nazywał Guyau „przyrodzone pożyteczności”, — w tém więc znaczeniu nie są one pozbawionemi piękna. Guyau wykazał, że wszelkie zmysły, nawet niższe, dzięki objawiającéj się przez nie żywotności, przyczyniają się do wytwarzania uczucia estetycznego, którego źródłem jest samowiedza życia, poczucie jego intensywności i płodności. Wzruszenie bowiem prawdziwie estetyczne, jestto wzruszenie przejmujące nas całych, które zwalnia lub przyśpiesza obieg krwi w całym naszym organizmie. Kantowi i Spencerowi chodziło o oddzielenie zmysłu piękna od wszelkiéj żądzy życiowéj, dążącéj do czegokolwiekbądź poważnego, dlatego utrzymują oni, że żądza jest samolubną, zaś zmysł piękna bezinteresownym. Guyau odpowiada na to, że „żądza bywa samolubną tylko wtedy, gdy jest do tego zmuszona” i kiedy jéj przedmiot nie znosi podziału (np. w wypadku miłości pomiędzy mężczyzną a kobiétą), zaś wszędzie tam, gdzie podział jest możliwy, żądza nie pragnie nic nadto, jak tylko widziéć, że uciecha jéj podzielaną jest przez innych. W miarę tego, jak wznosić się będziemy od niższych czynności życia ku wyższym, radość staje się mniéj wyłączną, przez to samo bardziéj bezinteresowną — w tém znaczeniu, iż budzi zajęcie szersze, bardziéj społeczne; zawsze jednak będzie to żądza, dążność do posiadania jakiegoś fizycznego, albo moralnego bogactwa. Uczucie piękna w istocie swojéj nie jest obcém działaniu, nie jest bierném, jak mniemali Kant i Spencer, którzy starali się je sprowadzić „do wyobrażenia”, albo „do gry wyobrażenia w jego postaci biernéj”; nie jest ono kontemplacyjném, lecz przeciwnie, jest czynném. W wielkich uciechach sztuki, zdaniem Guyau, widzenie i działanie dążą do zlania się z sobą; żywość rozkoszy estetycznéj pozostaje w stosunku prostym do działalności tego, kto jéj doświadcza. „Najwyższe wzruszenie estetyczne — powiada G. — spotykamy u tych, u których urzeczywistnia się ona natychmiast w postępkach.” Tak np. spartańczycy lepiéj czuli piękności utworów Tyrteusza, gdy te popychały ich do boju; ochotnicy rzpltéj francuskiéj silniéj byli wzruszeni Marsylianką, w dniu kiedy pomogła im ona do zdobycia wzgórz Jemmapes, aniżeli w jakim innym. Ponieważ wielkie emocye estetyczne dotyczą wogóle, albo najbardziéj zasadniczych wrażeń *(sensation)* życia, lub téż najwznioślejszych uczuć świadomości moralnéj, możemy przeto stąd

wyprowadzić regułę praktyczną dla sztuki, mianowicie tę, że wzruszenie wywołane przez artystę, o tyle będzie żywszém, o ile on, zamiast odwoływać się tylko do wrażeń wzrokowych i dźwiękowych, starać się będzie obudzić w istocie żyjącéj z jednéj strony najgłębsze poczucie życia, z drugiéj — najwznioślejsze uczucia i idee. Inaczéj, że sztuka będzie tém wyższą, im silniéj potrafi zainteresować wszystkie strony istoty ludzkiéj, tak afekcyjno-wzruszeniową, jak i intelektualną. Przyroda sztuki tłómaczy nam jéj przyszłość. Gdyby sztuka była tylko grą, można byłoby się obawiać, iż zniknie wobec nauki i przemysłu; jeśli, przeciwnie, jest poważném traktowaniem życia we wszystkich jego objawach, jeśli najwyższym jéj celem jest przyśpieszać bicia ludzkiego serca, tedy zawsze będzie ona musiała zespalać się z duchowém i materyalném istnieniem ludzkości. Dla Guyau wielka sztuka polega na tém, że żyje życiem istot wszystkich, że życie to wyraża za pomocą środków zaczerpniętych z rzeczywistości; żyć zaś w kimś innym, to tyle co kochać. Wielkim przeto artystą nie jest ten, kto kontempluje i roi, lecz ten, który kocha i którego miłość udziela się innym. Stąd także wynika, że pierwiastkiem wzruszenia estetycznego jest uczucie solidarności. Guyau tak miał myśl zajętą sposobami wytworzenia solidarności społecznéj, że troska ta wycisnęła pieczęć swą na wszystkich jego pomysłach i teoryach. Poglądy jego na istotę i zadania sztuki są również nacechowane tą główną jego myślą. Dla urzeczywistnienia solidarności społecznéj niezbędna jest, według niego, pomoc sztuki; etyka i nauka o wychowaniu urzeczywistnić mogą tylko wspólność idei i związek pojedyńczych woli, — do sztuki należy wytworzenie wspólności czuć i uczuć, czyli sympatyi społecznéj. Charakter społeczny sztuki uwydatnił Guyau w dziele swojém: *L'Art au point de vue sociologique*. Etyka, według niego, jest nierozerwalnie związana ze sztuką. Jak najwyższe szczęście, które dostarcza *maximum* przyjemności, jest uczuciem podzielaném z innemi, wymagającém współudziału osób drugich, ażeby mogło być wytworzoném i doprowadzoném do najwyższego stopnia natężenia, tak samo najsilniejszém i najwznioślejszém wzruszeniem estetyczném, jest to, które posiada charakter społeczny. Zadaniem sztuki byłoby dostarczenie wspólnego podścieliska dla sprzecznych uczuć indywidualnych, przez wydzielanie z ich masy takich, któreby przez wszystkich mogły być jednakowo odczute; słowem, najwyższym celem sztuki jest wywoływanie wzruszeń estetycznych o charakterze społecznym. Geniusz artystyczny, zgodnie z pojęciem Guyau o geniuszu wogóle, który podług niego jest niezwykle silną formą sympatyi i towarzyskości, dążącéj do stworzenia nowego środowiska w celu zaspokojenia

tych swoich potrzeb,—zmierza do tego przez tworzenie dzieł wywołujących ogólny podziw i ogólną sympatyę.

Rozlewność życia jest nietylko istotnym początkiem sztuki i moralności, jest ona także, podług Guyau, prawdziwém źródłem religii. Przy badaniu powstawania uczuć religijnych nie uwzględniano wcale ich strony społecznéj. Uważano religię jako zwyczajny wynik inteligencyi i wyobraźni osobniczéj, początek jéj przypisywano bądź potrzebie tłómaczenia zjawisk świata, oraz świata samego (A. Comte), bądź téż w idei i poczuciu boskości, absolutu, nieskończoności (Schleiermacher, Max Müller). Pominięto zaś to, zdaniem Guyau, co stanowi jedność wszelkich pojęć religijnych, mianowicie ideę spójni towarzyskiéj pomiędzy człowiekiem a potęgami wyższemi, mniéj lub więcéj podobnemi do niego. Religie uważa Guyau za zjawiska przedewszystkiém społeczne. Są one dla społeczeństw ludzkich niejako koniecznością życiową, środkiem istnienia i zwyciężania w walce o byt. Wszelkie społeczeństwo żywi mniéj więcéj niejasne poczucie warunków swego istnienia i postępu; odpowiednio do warunków własnego istnienia i interesów z niém związanych, stwarza ono sobie wierzenia i symboliczne obrazy życia powszechnego, pierwiastku wszechświata, ludzkiego przeznaczenia i t. p. Kładąc nacisk na stronę socyologiczną wszelkich religii, Guyau nie pomija znaczenia czynników psychologicznych, które wpływały na ich powstawanie, oraz współudziału genialnych jednostek. Odsyłając czytelnika po szczegóły do dzieła samego Guyau p. t. *L'irréligion de l'avenir*, w któréni rozwinął on swą socyologiczną teoryę tworzenia się religii, bądź téż do książki A. Fouillée'go, która ją mieści w streszczeniu, nadmieniamy tu tylko, że, zdaniem Guyau, wszelka religia opiéra się na podwójnéj podstawie, na którą się składają: życiowe potrzeby człowieka, trwożącego się o życie własne lub żywiącego rozmaite nadzieje, oraz umysłowe jego potrzeby, t. j. potrzeby życiowe wyższe, popychające go do wyobrażania żyjących podobnych do niego przyczyn po za zjawiskami, z powodu których cieszy się i cierpi, których interwencyi obawia się lub pragnie.

Wspominaliśmy już wyżéj, jaką rolę wyznaczał Guyau spekulacyom metafizycznym w moralném życiu człowieka; mają one dopomagać etyce naukowéj w rozstrzyganiu, nierozwiązanych przez nią z wszelką pewnością etycznych zagadnień i kierować działaczem moralnym, w wyborze dróg postępowania odpowiadających indywidualnéj hypotezie moralnéj każdego, wtenczas kiedy etyka naukowa ogólnéj reguły działania dostarczyć nie jest w stanie. Sprawę metafizyki połączył więc Guyau ściśle z praktyczném życiem jednostk ludzkiéj. Ma ona, podług niego, tak samo jak etyka i estetyka, za

istotny przedmiot swój, samo życie, jego przyrodę i początki. Zasadniczém znamieniem życia jest płodność, rozlewanie się jednostki w istnieniach innych, czyli w społeczeństwie, stąd więc, tak samo jak etyka i sztuka, metafizyka w istocie swéj jest socyologiczną. Niezniszczalność instynktu metafizycznego polega właśnie na tém, iż jest on nawskroś życiowym. W początkach ewolucyi życie jest płodnością nieświadomą, albo nawpół świadomą, działającą bez idei celu; w miarę uświadamiania się płodność ta reguluje się, zaczyna stosować się do przedmiotów mniéj więcéj racyonalnych, staje się celowością i moralnością; indywidualność przez sam swój rozrost dąży do tego, by stać się towarzyskością i moralnością. Towarzyskość następnie, rozszerzając się do nieskończoności, tworzy tło saméj metafizyki, która stawia sobie pytanie: jakiemi są węzły społeczne, tworzące jedność pierwiastkową i jedność celową świata, utrwalając pomiędzy istotami solidarność i pokrewieństwo. Jakkolwiek uczucie metafizyczne może wydawać się nam mało wpływającém na postępowanie osobnicze i zbiorowe, ma jednak ono, głębiéj zajrzawszy w życie, wpływ znaczny. Wiąże się ono nietylko z zagadnieniem początku naszego życia, ale nadto przeznaczenia naszego, głównie zaś naszego moralnego celu. Metafizyka zawsze będzie potrzebna, zdaniem G., do ścisłego odgraniczenia nauki, które żywo obchodzi człowieka, gdyż łączy się z jego moralnością. Odgraniczenie nauki pociąga za sobą ograniczenie dumy umysłu ludzkiego, to zaś ostatnie wywołuje ograniczenie praktycznego egoizmu; nadto, nigdy nie będzie ani dla jednostki, ani dla społeczeństwa, rzeczą obojętną, rozważać świat zmysłowy jako wyczerpujący całą rzeczywistość, jako już „wszystko", albo też uważać go, jako świat względnych pozorów, po za którym może istnićć życie inne, bardziéj rzeczywiste, głębsze. Nadto człowiek nigdy nie mógł uchronić się i odmówić sobie wyobrażania owéj rzeczywistości podług typu tego, co w samym sobie uważać będzie za najbardziéj rdzenne, nie przemijające i niezniszczalne, słowem, za przedmiot najbardziéj zasadniczego doświadczenia. Określenie więc tego, co jest najbardziéj zasadniczém w doświadczeniu, stanowi właśnie, podług G., pracę metafizyki. Oznaczenie tego, co jest najbardziéj zasadniczém w istocie ludzkiéj, jest rzeczą nie małéj wagi, gdyż człowiek działa zgodnie z ideą, jaką utworzył sobie o własnéj przyrodzie rdzennéj, stosownie do tego, co uznał za swój cel moralny,—w następstwie tego wszystkiego metafizykę, w rozumieniu G., należy uważać, jako najwyższy i nieuchronny rozlew życia jednostkowego, dążącego do utrwalenia jedności swéj z życiem powszechném, o którém tworzy sobie wyobrażenia zgodnie z tém, jak rozumié własną istotę, własne za-

dania i przeznaczenia. Tak pojęta metafizyka nie przechodzi swemi spekulacyami obrębu życia, owszem, umieszcza swój przedmiot w samym jego środku i usiłuje dać nam zasadniczą analizę i ogólną syntezę doświadczenia; nie jest transcendentalną, nie rości pretensyi do nieomylnego rozwiązywania zagadki bytu i tajemnic istnienia, nie stawia siebie ponad naukę doświadczalną, lecz za główne swoje zadanie uważa pobudzenie jednostki ludzkiéj do wzniosłéj spekulacyi praktycznéj, t. j. do bezinteresownéj moralności i poświęcania pewnych zysków życia jednostkowego na rzecz problematycznych, ale wielkich i szczytnych koncepcyi o powszechném życiu i o ludzkości. Wartość téj metafizyki immanentnéj, nie przechodzącéj granic fenomenu, polega, naszém zdaniem, głównie na jéj charakterze praktycznym — moralnym; ciekawości ściśle naukowéj ona nie zaspokoi, lecz zdolna jest nawet w niepewności, jaką w danych wypadkach życia możemy żywić względem nas samych, naszego przeznaczenia i stosunku naszego do wielkiéj całości, jaką jest społeczność ludzka, stworzyć względną, tymczasową pewność, która zdeterminuje wolę naszą do określonego działania wówczas, kiedy pozytywna wiedza wskazówek swoich jéj dać nie jest w stanie.

Tak wygląda w grubych, ogólnych zaledwie zarysach wyłożony systemat filozoficzny Guyau. Zmuszeni byliśmy pominąć tu wiele jego wybitnych właściwości, usunąć wiele oryginalnych szczegółów, świetnych uogólnień i szczytnych marzeń, zwracając wyłącznie uwagę na myśl ogólną, przewodnią, pomysłów filozoficznych myśliciela francuskiego. Myśli téj chcielibyśmy jeszcze poświęcić kilka końcowych uwag. Jest nią pojęcie „życia najbardziéj natężonego i rozlewnego"; na niém opiéra Guyau całą moralność, całą swoją estetykę, całą filozofię ogólną wreszcie. Zanalizujmy je. Nie ulega wątpieniu, — na tém ufundował Guyau swoją teoryę o moralności — że powszechnym faktem jest dążenie wszystkich istot żyjących do zachowania i powiększenia swego indywidualnego bytu. Nie ulega również wątpliwości, że powiększenie i natężenie indywidualnego bytu pociąga za sobą jego rozlewność, że byt taki, nadmiar sił swoich chce zużyć na pracę twórczą, słowem, że jest on płodnym. Czy jednak płodność taka, ta wylewająca się za brzegi życia osobniczego intesywność, jest z natury swojéj nie egoistyczną, bezinteresowną i szlachetną? — to już może uledz zaprzeczeniu. Jak również pozostaje rzeczą wątpliwą, czy byt indywidualnie powiększony, dążyć będzie nieprzeparcie, w miarę uświadamiania sobie swych własnych interesów, do powiększenia bytu zbiorowego? W rzeczywistości spotykamy wypadki przeciwne. Guyau nie mógł udowodnić tego, że jedyną formą rozlewności, jestto być

szlachetnym, bezinteresownym i przeznaczającym nadmiar swéj mocy życiowéj na sprawy nieosobiste. Natężona i silna indywidualność nie zawsze „oddaje” się innym i podporządkowuje się celom powszechnym, częściéj „pobiéra” od innych i stara się nagiąć ich do własnych, jednostkowych celów. Życie natężone, dla utrzymania właśnie téj pożądanéj przez ogół istnień świadomości swéj potęgi i płodności wewnętrznéj, z natury swojéj jest zaborcze, pochłaniające pierwiastki obce — słowem, raczéj powiększające cudzym kosztem własne, niż wzmagające swojemi siłami natężenie życia innych. Wprawdzie dobrze zrozumiany egoizm, o którym powiadali: Bentham, St. Mill i inni utylitaryści angielscy, może ustanowić pewnego rodzaju harmonię pomiędzy taką silną, żyjącą życiem obcych istnień, indywidualnością a otoczeniem, z którego czerpie ona swe soki życiowe, może wytworzyć pewną ugodę pomiędzy życiem osobniczém a zbiorowém, na mocy któréj jednostka taka będzie poczuwać się do zwrotu, w téj lub innéj postaci, sił, których źródłem jest jéj otoczenie, słowem, może poczuwać się do obowiązków, do działań wyłączających natychmiastowy interes osobisty, względem tegoż otoczenia; będzie to jednak wynikiem nie pierwiastkowéj jéj szlachetności, lecz rezultatem, wynikiem na podstawie wzajemnych usług wyrobionéj wiekami zgodności życia jednostkowego i zbiorowego. Twierdzenie bowiem Guyau, że indywiduum, dążąc do zachowania i powiększenia osobniczego bytu, dąży zarazem i do powiększenia zbiorowego życia, uświadamiając sobie swe cele powszechne, zawiéra w sobie inne twierdzenie, a mianowicie że pomiędzy życiem części i całości istnieje zupełna harmonia. Jak jednak trudném jest to harmonijne sprzęgnięcie życia części z życiem całości, z powodu niejednokrotnéj rozbieżności, w obecnych warunkach bytu ludzkiego, celów osobistych i społecznych, tak samo trudném będzie wykazać, że w chęci uwielokrotnienia, powiększenia bytu osobniczego, mieści się przyrodzona chęć spotęgowania zbiorowego życia. Płodność więc indywidualna nie zawsze jest uszlachetnieniem jednostkowego istnienia, nie zawsze kojarzy harmonijnie stanowisko osobnicze i zbiorowe. Pomimo jednak tego, niemałą zasługę oddał Guyau nauce o moralności, wykazując sposoby rozwijające w jednostce stronę społeczną, rozważając to wszystko, co skłania ją do bezinteresownego działania i poświęcania innym. Ta część jego etyki, w któréj wskazał społeczny charakter rozmaitych, nietylko wyższych, lecz i pierwiastkowych rozkoszy ludzkich, w któréj zebrał sporo dowodów dla udowodnienia tego, że nieraz ofiara z życia nie przeczy wcale jego intensywności i dążności do odczucia najwyższéj rozkoszy i która zwraca uwagę na udział w życiu moralném, tego, co nazy-

wał: przyjemnością ryzyka i t. p. będzie zawsze miała nieposlednią wartość naukową. Co jednak w etyce jego uderza nas niezwykłą prawdą i oryginalnością, co wynikało także z jego rozumowania o płodności życiowéj, to jego wysoce sprawiedliwe, nie metafizyczne, ściśle życiowe, pojęcie powinności moralnéj i obowiązku. Cokolwiekbyśmy zakwestyonowali w etyce G., niemniéj pozostanie prawdziwą zasada: mogę, zatém powinienem. Zgodnie z tą zasadą, uważając obowiązek jako świadomość potęgi wewnętrznéj, jako moc dążącą do działania, będziemy mieli prawo wymagać postępowania bezinteresownego od bytów silnych, obfitych w treść fizyczną i duchową, będziemy mogli do nich tylko stosować surowe pojęcie obowiązku poświęcania się i zaofiarowywania się innym, słowem—rozlewności szlachetnéj, kiedy istnieniom nie posiadającym mocy wewnętrznéj, upośledzonym — współczucie nie pozwoli nam narzucać tego rodzaju nieodwołalnéj powinności. Etyka metafizyczna współczucia tego nie dopuszczała. Zobowiązanie moralne wzrasta proporcyonalnie do intensywności osobniczego życia—oto prawda, którą pomijała moralność nakazu zewnętrznego, woli stojącéj po za życiem, któréj także przeczył anarchistyczny indywidualizm takiego Maxa Stirnera, Nietzschego i t. p. Zasługą Guyau będzie także i to, że dopełnił on i skorygował bezwzględny hedonizm ewolucyonistów dawniejszych i współczesnych, który uznawał przyjemność jako jedyny bodziec, mogący poruszać istotę żywą, który uważał rozkosz natychmiastową za najbliższy cel każdego istnienia. Guyau wykazał, że przyjemność nie jest koniecznie pierwiastkowym motorem życia, które naprzód pragnie żyć, t. j. funkcyonować, ćwiczyć się, a późniéj używać i doznawać rozkoszy. Przyjemność jest rzeczą pochodną; towarzyszy życiu — nie zawsze jednak ma je wywoływać. Nadto zwrócił G. uwagę na złudność wyłącznie egoistycznéj uciechy, samotnéj, że się tak wyrazimy, przyjemności. Odsłonił Guyau towarzyską, społeczną stronę każdego jednostkowego bytu, położył nacisk na ten fakt psychologii współczesnéj, że osobowość odosobniona nie istnieje, że jest ona złudzeniem, gdyż jaźń nasza składa się z mnogości nieprzebranéj osobowości obcych, że jest przez nie przenikaną i sama wchodzi z nimi w stały, ścisły związek, przekonywając się, że jéj przyjemność nie istnieje bez przyjemności innych, że społeczność cała współpracuje w ich wytwarzaniu. Wykazał następnie Guyau, że ewolucyonistyczne tłómaczenie powstawania uczuć moralnych, że etyka współczesna słowem, była w stanie wyjaśnić nam tylko to, w jaki sposób powstało zło i dobro w dążnościach ludzkich, nie posuwa nas ona jednak w rozumieniu tego, dlaczego to, co nazywamy dobrem, zasługuje, na pierwszeństwo przed tém, co nazywamy złem.

Wytknął Guyau zasadniczy błąd ewolucyjnéj etyki, wynikający z jéj mechanicznego tłómaczenia powstawania instynktów moralnych, a mianowicie, że człowiek, jako istota etyczna, powinien uciekać się do zaciekłéj walki o byt dla osiągnięcia doskonałości moralnéj i wyrobienia wyższéj organizacyi duchowéj. Guyau jest zdania, że proces społeczny może sprawić to, iż ostawać się w walce o byt będą nie ci, którzy są najlepiéj przystosowani do ogólnych warunków istnienia, lecz ci, którzy są przysposobieni do najlepszego życia w znaczeniu etyczném.

Zabrakłoby nam miejsca na wyliczenie tego wszystkiego, co poruszała płodna i oryginalna myśl przedwcześnie zgasłego myśliciela, co rozwiązała po mistrzowsku i o rozwiązanie czego, z właściwą mu szczytnością i szlachetnością, kusiła się ona. Po to wszystko odsyłamy czytelnika i do dzieł jego i do wymienionéj w nagłówku książki Fouillé'go, która o tém wszystkiém daje dokładne wyobrażenie. O przekładzie jéj na nasz język wypada nam powiedzieć, że jest dokonanym starannie; szczególniéj udatnie są przełożone niektóre, przytoczone w niéj, poezye Guyau, tak, że przekład oddaje nieraz wdzięk i siłę samego oryginału.

Wł. Jabł...



SPEKULACYA AKCYAMI.

I.

Pragnąc w niniejszym szkicu zobrazować ruch spekulacyjny akcyami, jaki ujawnił się na rynku warszawskim, mniemam, że zbytecznie nie utrudzę uwagi czytelników, jeśli poprzedzę charakterystykę chwili bieżącéj krótką wycieczką w sferę teoryi. Sądzę, że tym sposobem odnajdę właściwe tło dla swoich wywodów, albowiem skojarzenie ogólnych poglądów na spekulacyę z wyświetleniem zjawiska aktualnego pozwoli może wyraźniéj uwydatnić i określić interesującą nas kwestyę.

Podług utartego określenia, spekulacya jest przedsiębraniem takich obrotów handlowych — bądź zakupów, bądź sprzedaży — które opiérają się wyłącznie na przewidywaniu przyszłych konjunktur, a w szczególności przyszłych cen. Z téj już definicyi okazuje się, że wchodzi tu w grę czynnik ryzyka, — czynnik hazardu. Wprawdzie istnieją w dziedzinie ekonomicznéj pewne wskazówki, które pozwalają przewidywać przyszłe konjunktury, — przyszłe kształtowanie się stosunków; atoli nie są one nieomylnemi. Zawodzą często specyalistów, a têm częściéj tych, którzy, porwani prądem, błąkali się tylko poomacku. To też w szerokiéj sferze spekulacyi abstrakcyjnie wyosobnić można dwa objawy: spekulacyę czysto handlową i grę spekulacyjną. Pierwsza nie jest pozbawiona ekonomicznego uzasadnienia, — druga wkracza wyłącznie w dziedzinę hazardu. Trudno wykréślić ścisłą

linię demarkacyjną między obudwu temi dziedzinami; w praktyce zléwają się one w jeden prąd bądź zwyżkowego, bądź zniżkowego ruchu cen, z którego współcześnie korzystają jedni dla celów handlowych, a inni dla celów gry.

W spekulacyi ściśle handlowéj ekonomiści upatrują dwa zadania. Pierwszém jest zadanie wyrównywania cen w zakresie czasu. Polega ono na tém, że spekulacya zmienia ocenę wartości dóbr z pewném systematyczném stopniowaniem, odpowiadającém ocenie przyszłych konjunktur, a więc łagodząc gwałtowność wahań w cenach, jaka bez téj interwencyi w zakresie czasu powstawaćby musiała. Jako przykład takiego skutku spekulacyi przytoczyć można ceny zboża, które w dawnych wiekach, gdy nie znano spekulacyi w dzisiejszém jéj znaczeniu, wykazywały znacznie gwałtowniejsze wahania. Był to wprawdzie przedewszystkiém rezultat odcięcia rynków, a więc braku swobodnéj wymiany; owóż spekulacya, stworzywszy formę zakupów na dostawę, w znacznéj mierze rozszerzyła wymianę, a tém samém złagodziła w zakresie czasu chwiejność wartości zboża.

Drugiém zadaniem spekulacyi jest ograniczenie ryzyka w niektórych obrotach handlowych; streszcza się ono w tém, że przy pomocy spekulacyjnych tranzakcyi na dostawę, może zarówno producent jak konsument zabezpieczyć sobie na przyszłość cenę, którą w danéj chwili za korzystną dla siebie uznaje. Takiemi są teoretyczne, że się tak wyrażę, i d e a l n e zadania spekulacyi. Po części też w praktyce spekulacya spełnia je nawet bez względu na to, czy w niéj sprzedaż lub kupno dokonywa się faktycznie, czy też dotyczy tylko osięganych różnic kursowych.

Próbowano granice między temi dwiema formami spekulacyi, t. j. między formą, w któréj towar dostarcza się, a więc i odbiéra się w naturze, a formą, gdzie kontrahenci wypłacają sobie tylko różnice cen, utożsamić z cechami spekulacyi ekonomicznie użytecznéj i szkodliwéj, ale i taki podział okazał się błędnym. Nie chcąc przeciążać tych wywodów, nie możemy się bliżéj zajmować głównemi formami spekulacyi, ani udawadniać, że granic ekonomicznego pożytku między temi odmianami nie ma. W każdym razie spekulacya, ekonomicznie użyteczna, jest dostępną tylko dla kół handlowych, a granice opiérają się tu raczéj na pierwiastku podmiotowym, niż przedmiotowym. Jeden i ten sam obrót spekulacyjny może być zależnie od subiektywnego przeznaczenia, jakie mu nadaje osoba, spełniająca go, bądź usprawiedliwioną tranzakcyą handlową, bądź tylko grą — hazardem. W rzeczywistości zaś z każdą formą spekulacyjnego obrotu kojarzą się z jednéj strony liczne a szkodliwe pomyłki, nadużycia i wy

kroczenia, a z drugiéj występują tu porywy ludzkiéj namiętności, budzącéj się pod działaniem losowego hazardu, jaki tkwi w samym charakterze tranzakcyi, bez względu na przedmiot spekulacyi. W szeregu rozlicznych nadużyć najważniejszą rolę gra sztuczne podbijanie kursów, gwałtowne wytężanie ich struny, celem osiągania doraźnie najobfitszych zysków. Do tego dążą zawodowi spekulanci, pośredniczący między publicznością, którzy, sami nie nabywając żadnych wartości na trwałe, pragną kapitalizującéj i oszczędzającéj publiczności narzucać papiéry po najwyższych cenach i w téj intencyi rozpuszczają świadomie fałszywe pogłoski o świetnych jakoby szansach różnych przedsiębiorstw, których akcye w ruch puszczają. To téż większy ruch kursowy w takich papiérach nie może się objawiać, dopóki szerokie masy pozagiełdowe pozostają wstrzemięźliwemi i trzymają się od gry zdala, omijając sieci inicyatorów spekulacyi. Spekulanci z zawodu podbijają kursa z dużém nawet własném ryzykiem w tym jedynie celu, aby na rosnącą zwyżkę zwrócić uwagę publiczności, która, nie licząc się z żadnemi względami ekonomicznemi, z żadną oceną wewnętrznéj wartości narzędzia gry, kieruje się tylko logiką, podług któréj zwyżka wczorajsza jest zapowiedzią zwyżki jutrzejszéj. Te więc koła najpochopniéj rzucają się do zakupów wtedy właśnie, gdy kursa są już znacznie i nad wszelką miarę wyśrubowane. A ta sama znowu puplicznośé wyzbywa się spekulacyjnych papiérów w chwili największéj paniki. Pośredniczący spekulanci, ci, których nazwaćby można *agents provocateurs* spekulacyi, znęcają téż i wciągają prywatną publiczność do gry na różnicę kursu, która dla kapitalisty i każdego niekupca jest już bezwarunkowo najprostszym hazardem, na niczém prócz szans losowych nie opartym, a podniecającym namiętność i niweczącym moralną równowagę graczy. Wiadomo zresztą, że instynkt gry tkwi w naturze ludzkiéj. Znajdował on wyraz w spekulacyi, jako w bardzo podatnéj formie hazardu na większą skalę już od dawniejszych czasów, począwszy od Rzymian, u których było rozpowszechnione spekulacyjne kupczenie zbożem. W dziejach różnych przesileń spekulacyjnych odszukaćby można stałe potwierdzenie tego prawa. Ze względu na ramy niniejszego szkicu, chcę się jednak ograniczyć do krótkiego jeszcze tylko nawiasu w postaci ciekawéj historycznéj reminiscencyi, która rzuca jaskrawe światło na psychologię namiętności spekulacyjnéj.

Do najcharakterystyczniejszych w dziejach ludzkich objawów spekulacyi, należała mianowicie wielce pouczająca mania tulipanowa w Holandyi, w którą między 1634 a 1638 r. uwikłane były wszystkie miasta holenderskie, a która podkopała uczciwy handel, nęcąc pożą-

dliwość bogaczy i chciwość ubogich. Ta mania spekulacyjna podniosła cenę kwiatka — właściwie cebulki tulipanowéj, wtedy niedawno dopiéro rozpowszechnionéj — znacznie wyżéj po nad jéj wartość w złocie. Spekulacya doszła do tego, że za pewien gatunek tulipanu — jak to pisze Max Wirth w swoich „Dziejach przesileń handlowych" — dawano majątek wartości 2,500 fl., a za inny ofiarowano aż 20,000 fl. Wciągu kilku lat w jedném tylko mieście holenderskiém obrót pieniężny w spekulacyi tulipanami wynosił przeszło 10,000,000 fl.! Nie było to zaś maniackie amatorstwo, do takich rozmiarów posunięte, lecz zorganizowana spekulacya, z celami zysku, która już wtedy rządziła się temi samemi, co dziś, zasadami. Zawiérano interesy na dostawę pewnych ilości cebulek, a gdy się zdarzyło (słowa Wirth'a), że dwie tylko sztuki były na rynku całym, sprzedawano posiadłości, ziemię, konie, cały dobytek, aby módz zapłacić różnicę kursową. Nierzetelna gra giełdowa ze swemi wszelkiemi podstępami i wykrętami wówczas już — w XVII-ym wieku — poczęła wchodzić w życie. Akcya nazywała się wtedy tulipanowa; ta tylko była różnica. Przez czas jakiś, jak zwykle w takich wypadkach, zarabiali wszyscy, a nie tracił nikt. Spekulacya niezadługo jednak smutne znalazła rozwiązanie; przyszło otrzeźwienie z szału, potém panika, a potém bankructwa. Ci, co niedawno jeszcze widzieli w tulipanach skarby, ze smutkiem i zdziwieniem spoglądali na leżący przed nimi ów marny towar, nie mający żadnéj wartości ekonomicznéj i za żadną cenę nie dający się spieniężyć.

Przytoczyliśmy ten przykład, który zresztą analogicznego nie miał potém w historyi, jako najjaskrawszy, ale prawdziwy argument, że spekulacyę może rozniecić tylko instynkt do gry, właściwy ułomnéj ludzkiéj psychice, instynkt, znajdujący podnietę w zewnętrznych okolicznościach, a całkiem nieliczący się z wartością narzędzia gry. Taka spekulacya, nie mająca już żadnego związku z prawami ekonomicznemi, pokrewną jednak jest każdéj grze spekulacyjnéj szerokiéj publiczności, bo gruntuje się na tych samych psychicznych bodźcach i tak samo w chwilowym szale ma źródło.

Chcąc powyższe uwagi, w których oczywiście nie mogłem wyczerpać teoryi spekulacyi, związać logicznie z kwestyą spekulacyi akcyami na rynku warszawskim, muszę jeszcze w kilku przynajmniéj słowach wyjaśnić, że akcye są z natury swéj najpodatniejszym do spekulacyjnych obrotów i do gry materyałem.

Co to jest akcya? Jest to obiegowy znak wartościowy, stwierdzający, że jego posiadacz ma udział w danem przedsiębiorstwie przemysłowém na daną sumę. Innemi słowy: to dowód uczestnictwa w przedsiębiorstwie, reprezentujący cząstkę własności przedsiębior-

stwa i przynoszący stosunkowy udział w jego zyskach. Z ogólnego stanowiska jest to więc papiér lokacyjny, który, jak każdy inny, posiada charakter obiegowy, oznacza pewną wartość i daje pewne oprocentowanie. Ale w tych wszystkich cechach akcyi dostrzegamy, przy porównaniu z papiérami publicznemi, ważne poszczególne różnice. Przedewszystkiém wartość akcyi, będąca w zależności od konjunktur przemysłowych danego przedsiębiorstwa, od jego pomyślnego lub niepomyślnego prosperowania, jest daleko niestalszą od wartości papiérów publicznych. Powtóre, oprocentowanie — bezpośrednio już zawisłe od zysków w ciągu minionego okresu przemysłowego osiągniętych — jest zmienne i z góry obliczyć się nie da. Dla tych właśnie przyczyn ograniczoną i skrępowaną jest zdolność obiegu akcyi, jako papiérów lokacyjnych z kapitalistycznego punktu widzenia. Kapitalista drobny, a nawet kapitalista średnéj miary—z łatwo zrozumiałych pobudek — pragnie poumieszczać fundusze swoje w wartościach, któreby swemi zmianami nie powodowały zmian ani w jego zamożności, ani w jego rencie. Tylko zasobniejszy kapitalista może część majątku swojego unieruchomić w akcyach, poddając tak ulokowane kapitały ryzyku, z przedsiębiorstwem związanemu — zarówno pod względem kapitalnym, jak procentowym. Z punktu widzenia ekonomicznego pożądaném jest, aby zamożniejsze sfery nabywaniem akcyi, a więc udziałów przemysłowych przedsiębiorstw poważnych, wspierały inicyatywę i ruch przemysłowy. Ale bądź jak bądź, akcya jest lokatą specyficzną, dostępną dla osób, posiadających większe oszczędności, a więc dla kół ograniczonych.

W naszém społeczeństwie, gdzie szeroka publiczność większych oszczędności nie posiada, i gdzie jest dostateczna ilość papiérów, dających stały procent i nie podlegających dotkliwym wahaniom kursowym,—publiczność nie ma potrzeby uciekać się do ryzyka, z lokatą w akcyach związanego.

Na zachodzie, gdzie akcye znalazły większe rozpowszechnienie, skupiają się, jako materyał do lokacyi kapitałów po większéj części również tylko w rękach najzamożniejszych jednostek, a wśród mas prawie wyłącznie jako narzędzie gry. Wyjątek pod tym względem stanowią niektóre kraje, wybitnie przemysłowe, jak Belgia i Holandya, a po części i Francya. Tam akcye są popularniejszym środkiem lokaty, głównie dlatego, że zamożność szerokich warstw społecznych jest tak wielką, iż przewyżki oszczędnościowe nie mogą się pomieścić w papiérach publicznych o stałém oprocentowaniu i że wogóle stopa procentowania dotkliwie się tam obniżyła. A więc tam już z konieczności publiczność poddaje fundusze swoje wpływom konjunktur prze-

mysłowych i oddziaływaniu spekulacyi, ale za to publiczność odznacza się tam bardziéj wyrobionym zmysłem ekonomicznym i sama umié oceniać wewnętrzną wartość akcyi.

Jeśliby akcye były zawsze przedmiotem stałéj lokaty, jak naprzykład dom, lub majętność ziemska, i jak niemi są wtedy, gdy koncentrują się w silnych dłoniach, to kurs ich zależałby od przeciętnéj dywidendy z lat szeregu. Z chwilą jednak, gdy w grę tu wchodzi spekulacyjna interwencya, rozporządzająca równemi środkami, celem sztucznego oddziaływania na kursa, gdy ustaje wyrozumowana i na cyfrach oparta ocena wartości, stają się one przynętą dla licznych zwolenników hazardu, pokładających nadzieję tylko w słodkich uśmiechach losu.

Zdarzają się wyjątkowe okresy, w których publiczność wszędzie dość pochopnie garnie się do akcyi z początku dla widoków korzystnéj lokacyi i oprocentowania kapitałów, potém atoli, gdy rozpoczyna się ruch zwyżkowy, rozwija się już spekulacya i udziela się tym kołom, które pierwotnie tylko materyału do pomieszczenia oszczędności szukały.

Taka właśnie dążność objawiła się w Warszawie w roku zeszłym, gdy kapitały utraciły zyskowną lokatę na ścieżkach utartych, gdy kurs papierów znacznie się podniósł, a więc oprocentowanie obniżyło się, gdy dokonano szeregu konwersyi, a między innemi i konwersyi listów zastawnych ziemskich. Że zaś współczesnym z tą osłabioną rentownością papierów publicznych faktem były symptomaty rozwoju i pomyślnego prosperowania przemysłu, — wśród publiczności zwrócono uwagę na akcye. W miarę naturalnego popytu, rosnącego dla wartości dywidendowych, kursa ich podnosiły się i akcye pozbywały się swéj dawnéj nieruchliwości, swéj ociężałości, z większą swobodą z rąk do rąk przechodząc. Tém niemniéj była to zawsze jeszcze ruchliwość ograniczona, bo zawarunkowana większą zamożnością kół, które w akcyach lokowały kapitały.

II.

Już u schyłku 1893 r. widzimy znaczne zwyżki w kursach akcyi, a zwyżki te wyraziły się zwłaszcza w podniesionéj wartości akcyi przemysłu żelaznego, jak między innemi towarzystw: Starachowickiego, Dnieprowskiego, oraz towarzystwa: Lilpop, Rau i Loewenstein.

Różnice w ciągu tego roku wynosiły:

	Koniec 1892 r.	Koniec 1893 r.	
Lilpop, Rau i Loewenstein	300	450	+ 150
Starachowickie	107	145	+ 38
Dnieprowskie	720	1180	+ 460

Zwyżki te były poniekąd usprawiedliwione podniesionemi dywidendami, z wyjątkiem akcyi towarzystwa Lilpop, Rau i Loewenstein, które dotychczas pokrywa straty, ale którego interesy również się poprawiły.

Dotąd jednak wszystko w porządku. Anormalne stosunki ujawniają się dopiéro późniéj, mniéj więcéj na początku r. z. Wtedy to rozpoczęła się na dobre interwencya spekulacyi, — interwencya, którą stworzyła sposobność zwyżkowego nastroju dla akcyi.

Tu przy okazyi nie od rzeczy będzie dla ścisłości stwierdzić, że na giełdzie warszawskiéj i wogóle na tutejszym rynku pieniężnym nie istniała do téj chwili zawodowa spekulacya. Ani walutą wtedy, gdy nią spekulowały Berlin, Petersburg i Odesa, ani akcyami kolejowemi, gdy w Moskwie i Petersburgu używano ich za narzędzie gry, ani zbożem, którém spekulacyjnie operowały różne porty ruskie, — w Warszawie w szerszym zakresie nigdy nie dokonywała się spekulacya. Z pominięciem jednostek, które żadnego charakteru ogólnemu ruchowi nie nadają i które zresztą mniéj na giełdzie warszawskiéj operowały, niż stąd dawały spekulacyjne zlecenia na inne giełdy, — targowisko warszawskie wolne było od zarzutu gry spekulacyjnéj. Wyraziliśmy się może nie ściśle; od zarzutu wolném nie było, choć do tego miało wszelkie prawo. Nieusprawiedliwiony zarzut spekulacyi walutą spotkał giełdę warszawską ze strony prasy petersburskiéj w r. 1893, gdy p. minister finansów wydał znane przepisy restrykcyjne przeciw grze giełdowéj rublami. Była to jednak niezbyt zręczna próba składania własnych win na cudze barki.

Spekulacya z profesyi zorganizowała się w Warszawie dopiéro świéżo, gdy nadarzyła się sposobność wyzyskania wyjątkowéj konjunktury dla akcyi, jako téż wcześniejszéj już inicyatywy spekulacyjnéj rynków ruskich, które, same prowadząc u siebie ażyotaż od dłuższego czasu, zwróciły uwagę na możność wyeksploatowania miejscowych akcyi, nie podniesionych jeszcze proporcyonalnie do kursów akcyi ruskich. Pewne odłamy warszawskich kół wekslarskich, dość luźno z właściwą giełdą zespolone, zapoczątkowały tę miejscową organizacyę spekulacyjną, a pod tym wpływem zrodziła się następnie tak zwana kulisa giełdy, czyli liczniejszy już zastęp spekulantów, rekrutują-

cych się raczéj z ulicy, niż ze sfer finasowych. Pod egidą kilku przewodników kulisa naprzód tylko pomiędzy sobą prowadziła ażyotaż, późniéj zaś zdołała wciągnąć w wir gry szersze koła publiczności. Poważni finansiści stali zdaleka od tego ruchu.

Zanim bliżéj scharakteryzuję ten prąd spekulacyjny, położę jeszcze nacisk na to, że, choć okazyą doń był naturalny popyt na akcye, to podnietą stała się spekulacya, jednocześnie dokonywana na giełdzie petersburskiéj i na zagranicznych. Kursa niektórych papiérów (jak akcyi bankowych, putiłowskich, baltyckich, starachowickich, briańskich) są w Warszawie wprost zależne od notowań petersburskich, — a innych, jak dnieprowskich, od giełdy brukselskiéj, przytém zaś spekulacya tutejsza w chwilach chwiejności podtrzymywaną była zleceniami kupna z Petersburga. W dodatku jeszcze pewne koła spekulantów ruskich, mianowicie petersburskich, kijowskich, charkowskich i odeskich, które nawet pierwszy dały pochop do spekulacyi tutejszemi akcyami,—podniecały ruch zwyżkowy na naszym rynku swoim stałym bezpośrednim w téj spekulacyi udziałem. Aferzyści ci przybywali do Warszawy dla zakupów akcyi i tak się ściśle skojarzyli z warszawską kulisą, że, idąc z nią ręka w rękę, wzmacniali jéj stanowisko. Ruch ten więc, lubo tym razem znalazł żyzny grunt na miejscu, nie był atoli ściśle samodzielnym, lecz bądź z zewnątrz się udzielał, bądź z zewnętrznych korzystał bodźców. Całą wątpliwą zasługę inicyatywy nie tutejszym spekulantom przypisać należy. W każdym razie atoli doszliśmy w Warszawie do tyleż pożałowania godnego, ile bezprzykładnego widowiska szalonéj orgii gry.

Przez dość długi okres operowała spekulacya ze stałém powodzeniem, a choć zachodziły w kursach pewne oscylacye, notowania papiérów, za narzędzie gry obranych, wykazywały aż do końca września r. z. systematyczne i stałe zwyżki. Po stronie spekulantów był do téj chwili zupełny sukces.

Przyjrzyjmy się temu obfitemu żniwu, które gracze zbiérali. Poniżéj zestawiamy kursa akcyi z czterech charakterystycznych okresów: z końca r. 1892, z końca r. 1893, oraz z początku maja i z końca września r. z. Dla uwydatnienia rozmiarów i znaczenia zwyżki, przytaczamy jeszcze wartość nominalną akcyi i ich dywidendy w ostatnich latach.

	Wartość nominalna	Kursa w końcu 1892 r.	Kursa w końcu 1892 r.	Kursa z początku maja 1894 r	Kursa z końca września 1894 r.	Dywidendy w %		
						1891 r.	1892 r.	1893 r.
Bank Handlowy	250	403	448—452	518	500	8	9	$10^2/_5$
„ Dyskontowy	250	344	369—373	$406^1/_4$	433	7^7	7^5	$9^1/_2$
Warsz. Tow. ubez.	125	230	210—230	279—283	340	10	6^4	12
Lilpop, Rau	1000	300	440—450	622	840	0	0	0
Starachowice	100	107	143—145	$185^1/_2$	275	6	8	12
Warsz. kopalnie węgla	250	355	290	280	440	6	6	$5^1/_2$
Zawiercie	250	340	532—540	571	663	10	15	19
Temler i Szwede	500	530	600	600	850	10	14	13
Dnieprowskie	500	700	1060—1180	1415	2025	10	10	12
Putiłowskie	100	—	30	95	168	—	—	—

Z zestawienia tego, sięgającego końca września, okazuje się, że na głównych akcyach, które nabrały charakteru spekulacyjnego, różnice były następujące: Akcye starachowickie zyskały od 1892 r. do września r. z. rs. 170, a tylko w ostatniém półroczu do października rs. 90, tak, iż podniosły się ponad *pari* na sztuce 100-rublowéj o rs. 175, a więc 175%. Dywidenda ich za rok miniony wynosiła 12%, czyli w stosunku do kursu 275, nieco więcéj niż 4,3%.

Dnieprowskie zyskały od r. 1892 aż 1,325 rs., czyli 200% na sztuce 500-rublowéj, w ciągu ostatniego półrocza do października 610 rs. i były w październiku wyższe ponad równię o 1,525 rs., czyli przeszło 300%. Dywidenda za r. 1892/93 była 12%, czyli w stosunku do październikowego kursu—niecałe 3%. Dywidenda, uchwalona na ostatniém ogólném zebraniu, wynosi 20%, wobec czego oprocentowanie w stosunku do kursu równało się 5%. Późniéj jednak, przy kursie podniesionym do 2,450, oprocentowanie spadło już na 4%.

Akcye Zawiercia zyskały od r. 1892 — rs. 323, a w ciągu ostatniego tylko półrocza rs. 92 i były wyższe ponad *pari*, t. j. imienną wartość 250 rs. o 413 rs., czyli o około 170%, przy ostatniéj dywidendzie 19%, a w stosunku do kursu 663, nieco więcéj niż 7%.

Przytém jednak za ostatni rok operacyjny przewidywana jest podobno dywidenda niższa.

Akcye Warsz. tow. ubezpieczeń podniosły się od r. 1892 na sztuce 125-rublowéj o rs. 110, w ciągu półrocza ostatniego o 60 rs., przekroczywszy tém samém równię o 215 rs., czyli o przeszło 170%, przy ostatniéj dywidendzie 10%, czyli w stosunku do kursu 340, około $4^{2}/_{5}$%.

Akcye warsz. kopalń węgla zyskały od 1892 r. około 100 rs., w ciągu ostatniego półrocza blisko 150 i były wyższe nad równię (t. j. 250 rs.) o rs. 190, czyli o 76%, przy ostatniéj dywidendzie $5^{1}/_{2}$%, czyli w stosunku kursu 440, nieco więcéj niż 3,1%.

Tu zastrzedz się muszę, że, rachując powyżéj oprocentowanie podług stosunku ostatniéj dywidendy do kursu, czynię to tylko dla przybliżonéj charakterystyki, — rachunku jednak takiego nie uważam za ścisły. Przedewszystkiém w samym kursie mieści się już część dywidendy, część bądź większa, bądź mniejsza, stosownie do tego, w jakim stopniu chwila danego notowania bliską jest płatności kuponu dywidendowego; powtóre zaś, w kilku wypadkach spodziéwane są za bieżący rok operacyjny dywidendy wyższe. Oba te względy, przyjęte w rachunku pod uwagę, kazałyby obliczać oprocentowanie wyżéj. Z drugiéj atoli strony, dla zupełnie ścisłego obliczenia wewnętrznéj wartości akcyi należałoby uwzględniać nie ostatnią dywidendę, ale dywidendę przeciętną z kilku lat ubiegłych, a wtedy znowu oprocentowanie wypadłoby niżéj.

Akcye Lilpop i Rau podniosły się od r. 1892 do końca września r. z. o rs. 540, a w ciągu półrocznego okresu do października o rs. 60. Żadnéj dywidendy akcye te dotychczas nie dają i nie prędko jéj spodziéwać się można. Przed kilku laty stały niżéj rs. 100.

Do akcyi z natury swéj bardzo solidnych i poważnych, lecz także przez spekulacyę nieco wyśrubowanych, należą warszawskie bankowe, z których akcye banku handlowego podniosły się od r. 1892 o blisko 100 rs., a dyskontowago o blisko 90. Możeby zresztą kurs tych akcyi, jakotéż akcyi niektórych tutejszych przedsiębiorstw przemysłowych z doskonałą tradycyą w przeszłości i z dużemi kapitałami rezerwowemi (jak np. Tow. warsz. kopalń węgla) nie był, bezwzględnie biorąc, zbyt wygórowany, ale wobec faktu, że zwyżka powstała w wyjątkowych warunkach ruchu spekulacyjnego, — i że one stały się dla niektórych kół narzędziami gry, zawsze i te notowania za nienaturalne poczytywać trzeba.

Co się tyczy importowanych tu akcyi putiłowskich, banku ruskiego dla handlu zagranicznego, baltyckich, briańskich i t. p., to

mają one już tak bezwzględnie spekulacyjny charakter, że mogą wyłącznie służyć za narzędzie do gry i wartość ich z pod wszelkiéj ekonomicznéj oceny się wymyka.

W ogólności akcye doszły do kursów tak wyśrubowanych, że w wielu wypadkach dają oprocentowanie nawet niższe od papiérów publicznych, choć wyższy dochód od akcyi w porównaniu z innemi przedmiotami lokacyi powinien być naturalną asekuracyą ryzyka, z ich charakterem złączonego.

Spekulanci jednak, t. j. ci, których ani wewnętrzna wartość akcyi, ani dywidenda właściwie nie obchodzi, mają tylko na względzie doraźne zyski kursowe i te tymczasem stale osiągali.

Rozczarowanie przyniósł początek października. Akcye nagle spadać poczęły, a zniżka wciągu kilku dni doszła do stosunkowo bardzo znacznych rozmiarów. Trudno określić powody, które wywołały ten nagły zwrot. Przyczyny są mniéj więcéj tak samo nieuchwytne, jak uprzedni szalony rozpęd kursów. Powodem mogło tu być ogólne osłabnięcie tendencyi giełd pod wpływem ważnych wypadków politycznych; do powodów zaliczyć można nagle ujawnioną chęć realizacyi, a więc chęć sprzedaży akcyi; najogólniejszą jednak przyczyną było poprzednie nadzwyczajne wytężenie struny spekulacyjnéj, przeciążenie i przeładowanie się spekulacyi, wobec czego struna nadwerężyła się i rwać się poczęła.

Różnice, będące owocem ruchu zniżkowego w przeciągu pierwszego tygodnia października tak się przedstawiały:

	Koniec września	Dnia 8 październ.	Różnica
Dnieprowskie	2025	1925	—100
Lilpop i Rau	840	705	—135
Starachowickie	275	225	— 50
Warszawskiéj kopalni węgla . . .	440	430	— 10
Zawiercie	663	610	— 53
Bank handlowy	500	478	— 22
Bank dyskontowy	433	405	— 28
Putiłowskie	168	132	— 36

Jak widzimy tedy, było to już dotkliwe spustoszenie, które na interesach spekulacyi ujemnie odbić się musiało.

Od tego czasu tendencya pozostała chwiejną, a przeważnie słabą, pokup znakomicie się zmniejszył, ale kursa poprawiły się, wobec wysiłków, czynionych przez interesowaną spekulacyę. Przyczyną, że nietylko zniżka ustała, ale nawet kierunek zwyżkowy przynajmniéj pozornie wziął górę, był fakt, że kierujący ruchem spekulanci, znacznie w akcyach zaangażowani, utrzymywali wysokie żądania, te zaś akcye, które w słabych rękach, t. j. w rękach publiczności się znajdowały, nie miały na razie zbytu nawet po niskich cenach. Notorycznie nam wiadomo, że była chwila (na początku października), gdy dosłownie wszelkiego popytu zbrakło na większość akcyi spekulacyjnych i dlatego najniższe kursa zaofiarowań nie mogły nawet znaléść wyrazu w cedule giełdowéj. Późniéj dopiéro, gdy pierwszy popłoch przeminął, publiczność zaczęła—oczywiście nie bez znacznych strat — likwidować się, a kiedy się już dokonały najniebezpieczniejsze likwidacye, przewodnicy kulisy zdołali wywołać nową sztuczną zwyżkę, która co do niektórych akcyi trwa do téj chwili. Przytém jeszcze kursa akcyi były i są podtrzymywane przez giełdę petersburską, a dość znaczne ilości tutejszych papiérów dywidendowych uplasowały się już wśród spekulantów i kapitalistów ruskich. Ten ostatni wzgląd był jedną z najważniejszych przyczyn, że przesilenie nie przybrało groźniejszych rozmiarów i że może nawet, na ogół licząc, straty nie przewyższały zysków, choć właściwie kwestya nie na tém polega, ale na ekonomicznéj chorobliwości samego ruchu, a jeszcze i na tém, po czyjéj stronie były zyski, po czyjéj zaś straty. Na to pytanie postaram się odpowiedzieć w dalszym ciągu niniejszego artykułu.

Tém niemniéj atoli akcye w ogólności nie odzyskały dawnego, silnie zwyżkowego nastroju, lecz stanowisko ich zostało chwiejném. Nad całą spekulacyą wiszą do téj chwili złowieszcze chmury, groźną zapowiadające burzę.

Kursa akcyi w ostatnich dniach r. 1894 wynosiły:

		Różnice w porównaniu z d. 8 października (t. j. w porównaniu z najniższemi notowaniami):
Dnieprowskie	2,375	+450
Lilpop i Rau	1,060	+355
Starachowickie	255	+ 30
Zawiercie	630	+ 20
Bank handlowy	535	+ 57
Bank dyskontowy	440	+ 35
Putiłowskie	175	+ 43

Z tego okazuje się, że wszystkie walory dywidendowe nominalnie albo powróciły do wysokiego i sztucznego kursu z końca września, albo też jak akcye Lilpop-Rau i Dnieprowskie (ostatnie pod wpływem spekulacyi belgijskiéj, wyzyskującéj ostatnią stosunkowo korzystną dywidendę), przekroczyły nawet dawniejszy kulminacyjny kurs. Nowa zwyżka akcyi Dnieprowskich była w przeważnéj swéj części rezultatem ruchu spekulacyjnego jednego tygodnia, ale ruch ten wyszedł z giełdy brukselskiéj. U nas papierów tych jest bardzo niewiele, a z powodu wysokiéj wartości pojedyńczych sztuk są mało przystępne dla tutejszéj spekulacyi. Co do akcyi Lilpop-Rau, to do zwyżki miały się przyczynić znaczne zamówienia wagonów, poczynione przez koléj Warszawsko-Wiedeńską. Wogóle zaś powrotna fala zwyżki ma daleko mniéj szans trwałości, gdyż bądź co bądź szeregi spekulantów przerzedziły się, a obieg akcyi stał się znacznie ociężalszym.

Przytém charakter ruchu spekulacyjnego w ostatnich tygodniach o tyle się zmienił, że popyt nie utrzymuje się trwale dla żadnego większego szeregu akcyi, lecz tylko w danych chwilach dane walory dla różnych specyalnych powodów są faworyzowane. I ta okoliczność jest powodem, że grunt pod akcyami stał się chwiejny.

Nastręcza się teraz pytanie, jakiemi są dotychczasowe następstwa spekulacyi? Zaznaczyliśmy już, że sfery kupieckie, przemysłowe i finansowe w ścisłém znaczeniu nie uległy temu szałowi hazardu; nie powinien więc on szkodliwie oddziałać na ogólne stosunki ekonomiczne kraju o tyle przynajmniéj, że nie może wywołać takiego groźnego przesilenia finansowego, które bywa skutkiem przespekulowania się instytucyi i firm, rozporządzających na mocy kredytu obcemi kapitałami. Aby zdać sobie sprawę z tego, kto ucierpiał i kto jeszcze ucierpiéć może, trzeba uprzytomnić sobie, jakie żywioły brały udział w grze. Pierwiastki te, jak już po części wyjaśniliśmy, podzielić można na 4 grupy. Pierwszém ogniwem w tym łańcuchu jest zastęp kilku firm wekslarskich i spekulacyjnych, należących do inicyatorów spekulacyi. Ogniwem drugiém była tak zwana kulisa, t. j. składająca się z kilkudziesięciu osób grupa na poły samodzielnych, acz podrzędnych spekulatorów, na poły pośredników, która wytworzyła rodzaj stałéj organizacyi na tutejszéj giełdzie i zawodowo uprawia spekulacyę. Trzecim pierwiastkiem byli liczni spekulanci z Cesarstwa, rozpowszechniający grę akcyami pomiędzy swoją publicznością. Czwartym nareszcie, dla nas najważniejszym żywiołem, jest miejscowa publiczność, zachęcona naprzód do zakupów zwyżką akcyi, a potém podniecona już samą na-

miętnością gry. Ci okolicznościowi zwolennicy hazardu rekrutowali się z najrozmaitszych warstw społecznych, a choć trudno ściśle określić ich liczbę, nie pomylimy się, obliczając ich na setki. Do tych różnobarwnych żywiołów publiczności należeli i po części należą: silny kontyngens oficyalistów biurowych i subiektów; agenci, zastęp średniéj miary kapitalistów, kupców i handlarzy, garstka emerytów, nieco osób z arystokracyi, a nawet przedstawicielki płci pięknéj, mające wrodzony do hazardu pociąg. Bogaci kapitaliści i finansiści, jeśli brali udział w tym ruchu, to tylko jako istotni nabywcy walorów w chwilach, gdy struna nie była przeciągnięta.

Technika gry publiczności polega na tém, że albo zakupują się akcye w gotowiźnie i zastawiają, którą to operacyę ułatwia kulisa i pośrednicy, tak, iż przy posiadaniu danéj sumy można spekulować na ilość akcyi, reprezentującą sumę dziewięćkroć większą, albo na tak zwanych interesach z premią, gdzie spekulujący daje z góry wynagrodzenie, za którego utratą może zrzec się tranzakcyi. W obu wypadkach z góry wynika dość znaczna różnica kursowa na niekorzyść spekulującego, a przytém obciążają go jeszcze koszta kurtażu, prowizyi i procentów, za zastaw płaconych. W obu również wypadkach pozostaje w zależności od pośrednictwa, często nieuczciwego. To też zyski téj spekulującéj publiczności muszą być zawsze względnie najmniejsze, ale za to straty największe—i tak téż było w ostatnim ruchu ażyotażowym. Dotychczas stosunkowo największe straty poniosła publiczność. Jest to zresztą naturalne i ze względu na fakt, że gracze z publiczności stają się po części ofiarami, wpadającemi w sieci z góry na nich zastawione. Przewodnicy spekulacyi, a tak samo i kulisa operują z większą znajomością rzeczy, operują właśnie w intencyi znalezienia wśród publiczności stosownego ujścia dla akcyi w chwilach, gdy już zyski na nich osiągnęli, czyli eksploatują instynkt gry, wśród mas się budzący; przytém zaś w ten sposób spekulują oni od początku zwyżkowego kierunku kursów. Gdy więc weźmiemy na uwagę, że granicami spekulacyjnych wahań kursowych były z jednéj strony notowania mniéj więcéj z końca 1893 r., a z drugiéj kursa z pierwszego tygodnia października r. z., t. j. kursa najniższe, i że te ostatnie były znacznie jeszcze wyższe od pierwszych, to okaże się, że dla osób, które zręcznie i systematycznie uprawiały ażyotaż, wyzyskując chwile kulminacyjnéj zwyżki kursów, wynikły z tych operacyi jeszcze zyski. Nadto zaś dość duża ilość materyału spekulacyjnego tych żywiołów, jak już zaznaczyliśmy, przedostała się na rynki Cesarstwa, a na tych operacyach kulisa miała pokaźne zarobki. Z tém jednak wiąże się pośrednio ważny i ujemny objaw, że wiele udziałów

przemysłowych wyszło po za granice kraju. Bądź jak bądź, co do takich spekulantów kwestya po większéj części polega na tém, czy ostatecznie zdołają swe zobowiązania zlikwidować z zyskami, lub przynajmniéj bez strat. Jeśli kursa spadną poniżéj granicy z 1893 r., a ciążyć ich jeszcze będą zobowiązania zwyżkowe—co zdaje się prawdopodobném — będą i oni mieli straty bardzo pokaźne. Ale to jest kwestya przyszłości. Straty już dość dotkliwe i namacalne spotkały te bezpośrednie w spekulacyi ogniwa, które zahaczyły się o nią w kulminacyjnym okresie zwyżki, a do ogniw takich należy przedewszystkiém publiczność. Następna zniżka, a zwłaszcza przesilenie na początku października, przyprawiło wielu spekulantów z pośród publiczności przedewszystkiém o utratę uiszczonych na pewność tranzakcyi zadatków, kaucyi i premii, a nadto naraziło jeszcze na znaczne długi, niszczące egzystencyę jednostek. Niepodobna oczywiście obliczyć ani rozmiarów tych strat, ani cyfry ofiar. Jedne i drugie atoli muszą być dość znaczne. Takie zaś ruiny, choćby ich było względnie mało, są, zwłaszcza w naszém społeczeństwie, wobec ogólnie niezbyt korzystnego położenia materyalnego, daleko dotkliwsze, niż gdzieindziej.

Tymczasem spekulacya, choć osłabła, nie wygasła i miewa jeszcze chwile wzmożonego ruchu. A więc ofiary i ruiny mogą się zwiększyć i zamienić na dotkliwą klęskę społeczną, jeśli spekulująca publiczność w porę nie odzyska równowagi. Dla szerokich mas akcye nie są przedmiotem lokacyi kapitałów, a zresztą masy nie szukają tam lokaty. Spodziewają się one tylko podwyżek kursowych, spodziewają się, że będą miały sposobność sprzedania papierów z zyskiem, że czeka ich wygrana. Interesu przemysłowego, jaki tkwi w wewnętrznéj wartości każdej akcyi, publiczność nie oblicza i nie ocenia; nie bierze pod uwagę ani kapitału zakładowego i zapasowego towarzystwa, ani jego przeszłych i przyszłych dywidend, ani charakteru przedsiębiorstwa, ani możliwych konjunktur, ani warunków rynku pieniężnego. Nie ocenia tych wszystkich względów, przeważnie dlatego, że na nich się nie zna i znać nie może, powtóre zaś, że dla efemerycznego posiadacza akcyi, dla posiadacza, który chciałby jaknajprędzéj jaknajwiększe plony zebrać i który w każdym razie zmian konjunktur przetrzymać nie może, różne te pierwiastki znaczenia nawet nia mają. Nabywanie akcyi, zwłaszcza w chwili spekulacyjnego prądu, jest dla téj publiczności loteryą, — loteryą tém niebezpieczniejszą, że bardzo znaczna stawka najczęściéj przewyższa środki gracza. To też gracz idzie tu na pewną zgubę, bo wygrana może być tylko udziałem tych, którzy znają tajniki spekulacyi (choć i tych zawodzi),

albo wyjątkowo szczęśliwych jednostek, których powodzenie było ślepym trafem. W każdém, choćby największém niebezpieczeństwie, bywają przypadki szczęśliwego ocalenia, w każdéj najhazardowniejszéj grze zdarza się wygrana, ale takie zdobycze spekulacyjne jednostek nie powinny być dla ogółu zachętą, ani pociągać go w wir gry, połączonéj z ryzykiem całéj egzystencyi. Zdobycze są zawsze przypadkowym uśmiéchem losu, klęska zaś jest najczęstszém, prawie stałém zjawiskiem.

St. A. Kempner.



Jak Yankes pisze historyą.

(„Literary industries, a memoir", przez Huberta Howe Bancroft. New-York, 1891, in 8-vo, 446 stron).

Zaledwo się ukazała w Paryżu książka pod wymienionym tytułem (a ukazała się dopiéro przy końcu 1893 r.!), wnet zwróciła uwagę w uczonym świecie. Omawiając ważną zawsze kwestyę: ułatwienia pracy, — na ten raz pracy naukowéj, przez zastosowanie do niéj metody przyjętéj w interesach, zaciekawia szczególnością pomysłu, a składając dowody, w jaki sposób ów pomysł się powiódł, każe się nad nim zastanowić.

Hubert Howe Bancroft, autor *History of the Pacific states*, która jest dla ziem zachodnich Północnéj Ameryki tém, czém są dla starożytności dzieła uczonych i erudytów: „zbiorem wszystkich faktów autentycznie znanych", opowiada w *Literary industries, a memoir*, jakim sposobem dokonał tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Rzecz interesująca, zaiste, gdy się zważy, iż na taki *corpus* o starożytności uczeni całéj Europy spotrzebowali trzy wieki, a on tylko lat dwadzieścia. I osobistość autora zajmuje. Typ to Yankesa, niby wzięty z jakiéjś powieści, lub mogący posłużyć za bohatéra do niéj. Inteligentny, śmiały, przedsiębiorczy, urwis — mieszanina wad i przymiotów taka, że — albo na Kapitol, albo—na szubienicę. Urodzony w Granville (Ohio) w maju 1832 r. z purytańskiéj rodziny, obdarzony jednym z tych dzielnych charakterów, które same sobie torują drogę, a z pod

feruły szkolnéj czy innéj wybijają się gwałtem, burszuje zawczasu w rodzinném miasteczku. Wynudziwszy się na niedzielnych nabożeństwach — pisze — pragnąłem porozmawiać z dyabłem, a że się go pono spotyka pod postacią kart, tytoniu i piwa, więc grałem, paliłem i piłem. Przekonawszy się jednak, że dyabel nie ma nic wspólnego z kartami straciłem do nich pociąg.

To wyznanie maluje nieźle usposobienie chłopaka, który już w piętnastu leciech chce coś znaczyć sam przez się — „chce być człowiekiem", jak się wyraża, i co rychléj dorobić się majątku, bo majątek zapewnia swobodę, niezależność, poważanie i wiele innych dobrych rzeczy.

Piętnastoletniemu w r. 1847 ojciec daje do wyboru: szkołę lub handel. On zrazu wybiéra szkołę, ale w krótkim czasie ją rzuca, bo zbyt długa droga, a perspektywa nie świetna: jakiś urzędzik z lichą pensyjką i biéda w domu z liczną rodziną. Zwraca się przeto do handlu, który obiecuje miliony. W r. 1848 znajdujemy naszego bohatéra w Buffalo, w księgarni szwagra, z którym nie może się zgodzić; więc na pociechę hula sobie ogniście, „ale bywał on jeszcze na kazaniach niedzielnych", które wraz z romansami stanowiły jedyną jego umysłową strawę. W r. 1852-im udaje się do San-Francisco, i naraz staje się rozsądnym, „występuje jako syn plemienia o jasnym poglądzie i bezgranicznéj energii". Bawi tu krótko, podobnie jak w Sacramento; w r. 1853 zakłada w Crescent-City księgarnię za pożyczone piéniądze; w ciągu półtrzecialetniego pobytu w dzień pracuje, w nocy burszuje. Miał wiele czasu, pisze w swym pamiętniku, ale nie wiele czytywał. Ze swym przyjacielem (Teodorem Pomeroy) grywał w karty i bilard. w niedzielę przypatrywał się walkom kogutów i wyścigom konnym, a po północy „w towarzystwie najprzeróżniejszych miejscowych obywateli" chodził po ulicach, wyprawiając wraz z nimi kocią muzykę, waląc we drzwi spokojnych mieszkańców, aż ci wynosili odczepnego różne napoje napastnikom. Protestować było niebezpiecznie, bo rewolwer i nóż były na porządku dziennym. Miłe stosunki!

Bohatér nasz zbiéra w Crescent-City trochę grosza (kilka tysięcy dolarów), dopożycza trochę od siostry, powraca do San-Francisco, zakłada w r. 1856 księgarnię, prosperuje, żeni się, jedzie do Europy, i bodaj czy nie tu ostatecznie umysłowo dojrzewa. Tu przynajmniéj rozszerza się i zarysowuje w wyraźnych liniach plan początkowo niewielki i nieokreślony; kto wié, czy nie tu przychodzi mu na myśl, że są rzeczy cenniejsze od piéniędzy: *Money making had ceased to be the chief pleasure.* W Europie bowiem spotyka ludzi, jakich nie widywał

dotąd. „Znałem tylko ludzi zbyt dumnych lub zbyt leniwych, którzy się uchylali od pracy, ale o takich, którzyby nie chcieli zarabiać pieniędzy, choć mogli, nie pracując własnemi rękoma, nie miałem żadnego pojęcia."

Można dodać, że nie miał też dokładnego pojęcia o rzeczy, którą rozpoczynał, a która mu zjednała wiekopomne imię; sam wyznaje, że gdyby był przewidział ogrom pracy, toby się nie ważył na nią. I tu, jak w wielu wynalazkach, traf znaczną odegrał rolę.

Bancroft, jako księgarz-aferzysta, liczył się z upodobaniem i potrzebami publiczności i wydawał to, na co znajdował pokup, bo gust tej wszechwładnej pani wszędzie despotyczny — w San-Francisco, jak w Paryżu. Kalifornijczycy czytywali chętnie historyczne i prawne dzieła, o inne się nie troskali. „Gdyby się Byron zjawił z Childe-Haroldem, nie opłaciłby poemat druku i papiéru." Dogadza więc tym żądaniom i sam chętnie fabrykuje żądane książki w ten sposób, że zakreśliwszy ich plan, wykonanie powierza uzdolnionym stosownie ludziom. Tak powstał zamiar przygotowania przewodnika („almanach") po Kalifornii. Należało postarać się o jakieś źródła, to jest dzieła — Bancroft więc kupuje książki; kupiwszy 75, dziwi się, że jest ich tyle; doszedłszy do tysiąca, przestaje się dziwić; do pięciu tysięcy — spostrzega, że to zaledwie początek. Jednocześnie też spostrzega, że niepodobna mu będzie zamknąć się w obrębie półwyspu, który pozostaje w stosunkach z ościennemi krajami, że o tych krajach trzeba też coś wiedzieć. I tak naturalnym sposobem rósł i rozwijał się drobny zamiar w kolosalny pomysł, niepodobny do wykonania dla jednego człowieka; obejmował bowiem dzieje wszystkich krajów nad oceanem Spokojnym, leżących od Berynga do Meksyku włącznie, od VI wieku do naszych czasów.

Bogaty już, „na czele przedsięwzięcia najobszerniejszego w swoim rodzaju w całym świecie", którego każdy z dziewięciu oddziałów mógł uchodzić za znaczny dom handlowy, zwiedza Bancroft Europę w r. 1862-im. Znajduje w księgozbiorach londyńskich sporo potrzebnego mu materyału, domyśla się, że jest go więcéj po innych miastach, więc kupuje sam i rozsyła w takimże celu agentów do Francyi, Niemiec, Hiszpanii.

Zebrawszy 25,000 tomów, wié, że, co się w nich zawiéra, pomieszane bezładnie: „złoto, srebro, perły, miedź, żelazo, śmiecie", że należy to uporządkować; „złoto niech idzie do złota", a odpadki na śmiecisko. Tylko, że na przeczytanie owych dwudziestu pięciu tysięcy tomów (stanowiących dopiéro połowę *Bancroft Library*) potrzeba czterystu lat i ośm godzin czasu dziennie. Ale prowadzenie interesów nauczyło

go spożytkować siły drugich, podział zaś pracy ułatwia takową. System ten przenosi on z dziedziny przemysłowo-handlowéj w umysłową i przystępuje do rzeczy w następujący sposób.

Treść książek rozdzielono na kategorye, np. botanika, biografia, handel, Indyanie, plemię, wychowanie i t. d., kategorye na sekcye, te zaś na artykuły.

Według tego planu wygotowano skorowidz analityczny na kartkach *(fiches)*, a na nich na trzech liniach spisywano informacye (według umówionych skróceń, które téż posiadały swój skorowidz) tym porządkiem:

Na pierwszéj linii: kategorya, sekcya, rozdział, np. Indyanie, Tehuantepecy, Zapotecy. Na drugiéj: dzieło, z którego zaczerpnięto szczegóły: np. Mac Gregor J., *Progress of America*, London, 1871, t. I, str. 848. Na trzeciéj rodzaj szczegółów: np. charakter, przemysł, obyczaje i t. p. Następnie kartki układano kategoryami i sekcyami w porządku alfabetycznym, każdą w osobnéj szufladzie czy pudle, z etykietą na zewnątrz: np. biografie, starożytności, kopalnie i t. d., więc mając studyować jakąś biografię, albo starożytności czy kopalnie sięga się do odpowiedniéj szuflady i w krótkiéj chwili jest się w posiadaniu żądanych wskazówek bibliograficznych.

Po skończeniu w lat kilka skorowidzu, nad którym pracowało do dwudziestu osób i który kosztował 35,000 dolarów, choć według Bancrofta, wartość jego nie da się obrachować na pieniądze, zawierając wybrane i uporządkowane dobre ziarno z powodzi rzeczy bez wartości; przystąpiono do drugiéj kategoryi pracy, do wynotowania z ksiąg i rękopisów wszystkiego, co się znajduje o przedmiocie wskazanym przez skorowidz. Notatki owe spisane na arkuszach, oprawione w książki jednego formatu utworzyły 300 tomów, wartujących 80,000 dolarów. Wreszcie adjunkt przygotowuje bezpośredni materyał dla historyka, rozbiérając krytycznie i klasyfikując tak skondensowany materyał. W tym celu zbiéra w danéj kwestyi wszystkie o niéj szczegóły w notatach zawarte, układa je w porządku chronologicznym i ocenia według trojakich świadectw, czyli 1) właściwych źródeł, 2) źródeł tak zwanych z drugiéj ręki, 3) kopii, kompilacyi, plagiatów. Wiadomości ze źródeł właściwych uzupełnia szczegółami zajmującemi lub ważnemi z dzieł z „drugiéj ręki", oznaczając każdą cytatę cudzysłowem i odsyłaczem do miejsca, z którego została wzięta.

Ten sposób pozwalał mi — pisze Bancroft — objąć jednym rzutem oka całość świadectw odnoszących się do rozmaitych części mojéj „Historyi", i oszczędził mi czasu wraz z nudą, którychbym doznał, czytając mnóstwo tekstów, zanimbym odrzucił złe od dobrych.

Przygotowany materyał przez „asystentów" czy „adjunktów" Bancroft układa i pisze swe dzieło [1]), a pisze szybko, od 20 do 30-tu stron dziennie, w ciągu dziesięciu godzin, i co roku wydaje po dwa, trzy tomy, tak, że w lat dwadzieścia trzydziestodziewięciotomowa całość ukazuje się na półkach księgarskich.

Historya krajów nad oceanem Spokojnym zyskała ogólne, nieraz bardzo gorące uznanie. Autor zgromadził w niéj oprócz wiadomości z dzieł, rękopisów, broszur, archiwów, dzienników, wiele szczegółów z podań ustnych, które zbiérał po całym opisywanym przez siebie obszarze, to osobiście, to przez pomocników, u wszystkich ludzi, którym albo wiek podeszły pozwolił wiele widzieć, albo urząd i stanowisko pozwoliły wziąć udział w sprawach publicznych.

Na ten raz jednak nie o *History of the Pacific states* idzie, ale o sposób, w jaki przygotowano do niéj materyał. Sposób to kosztowny,—dla starszych od amerykańskich państw.

Litawor.



1) Jednakże w rzeczach mniejszéj wagi wyręcza się zdolniejszymi adjunktami, tylko potém przegląda i poprawia ich artykuły.

Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

POWIEŚCIOPISARSTWO ANGIELSKIE W 1894 ROKU.

Pisząc na tem miejscu przed trzema laty o stanie piśmiennictwa angielskiego w r. 1891 [1], zwróciliśmy uwagę na nadzwyczajną, niewyczerpaną i wszechstronną żywotność jego, przewyższającą znacznie współczesną twórczość dwóch innych narodów, przodujących w cywilizacyjnym rozwoju — Francyi i Niemiec. Nietylko, że się od owej pory ten stan rzeczy nie zmienił, ale, przeciwnie, wzmógł się jeszcze i ustalił. Najgorliwsi przyjaciele tych dwóch innych społeczeństw nie poważą się utrzymywać, ażeby rok ubiegły zbogacił ich literatury pierwszorzędnemi utworami, ażeby pojawiły się nowe, świetne talenty, ku którym, z przeczuciem i nadzieją duchowego odrodzenia, zwracałby swe oczy świat wyczerpany i znudzony. Nie przesądzamy bynajmniej, ażeby się tak raz nazawsze miała ukształtować przyszłość i nie pragniemy też zmonopolizowania hegemonii umysłowej przez jeden naród. Przeciwnie, współdziałanie i rywalizacya równych z równymi zdaje się o wiele pożądańszą dla powszechnego dobra. Ale czy zrobimy roczny inwentarz wszystkich działów piśmiennictwa u tych trzech zachodnich społeczeństw, czy też się ogra-

---

[1] Patrz „Ateneum“ za luty 1892 r.

niczymy do jednego tylko, do beletrystyki, jak to jest właśnie naszym zamiarem, prosta sprawiedliwość zmusza do oddania palmy Anglii.

O dzisiejszéj powieści niemieckiéj Europa nic nie wié. Znane i czytane bezwątpienia w granicach „Vaterlandu", płody téj niwy nie znalazły dotąd zbytu nazewnątrz. Mamy świadectwa o życiu niemieckiém z innych jego objawów i wywnioskować nie trudno, że wzajemny stosunek klas jednych do drugich nie ułożył się do harmonijnego poziomu, że pomiędzy rozbudzonemi pragnieniami masy a modłą państwową jest rozdźwięk głęboki, że religijne i filozoficzne doktryny nie znalazły wyrazu, odpowiadającego nastrojowi ducha narodowego. Ta epoka przejściowa na krawędzi dwóch rozwojowych peryodów zdawała się przedstawiać dla powieściopisarstwa, mogącego dobrowolnie obiérać sobie i zmieniać stanowisko spostrzegawcze, niewyczerpaną osnowę i przepowiadać rolę wpływową. Skoro w dziedzinie dramatycznéj twórczości są już oznaki nowych prądów i są talenta samodzielne, wolno spodziéwać się, że i powieściopisarze ockną się ze swego letargu i zniosą kamyczki do mozajkowego obrazu swojéj społeczności.

Bardziéj jeszcze zadziwiać może stęchlizna, w jakiéj gnuśnieje Francya. Cała dawniejsza energia i oryginalność jéj powieściopisarstwa zdaje się wyczerpaną. Nie podobna spodziéwać się od wczorajszych pisarzy odrodzenia i radykalnéj zmiany ich temperamentu. Ale daje pole do sceptycznych wniosków widoczna niemoc młodszych, dzisiejszych pisarzy sformułowania w czynie, a nie w obietnicy i w programacie literatury oryginalnéj. Z jednéj strony wiemy już, że krańcowy naturalizm się przeżył i że hałaśliwie zapowiadany neo-chrześcianizm woła na puszczy, z drugiéj ani entuzyazm dla rosyjskich powieściopisarzy, ani bezpośrednio po nim wybuchła gorączka skandynawska nie przyniosły tych odżywczych czynników, jakich się spodziéwano. Nie da się jeszcze przewidzićć, jacy powieściopisarze z łona tego wyjałowionego gruntu potrafią wydobyć obfite a rodzajne ziarno. Miéwała już Francya i dawniéj takie okresy zastoju i odrętwienia i zarazem znalazła sama w sobie żywioły odżywcze, a zatém usprawiedliwioném jest przypuszczenie, że się i obecne przesilenie szczęśliwie zakończy. Nim jednak te nowe talenta samodzielne wystrzelą, nie dziwota, że ciekawość czytającego świata zwraca się do źródła, gdzie jéj pragnienie zaspokojoném być może natychmiastowo i nieustannie i gdzie jedyny kłopot stanowi trudność w wyborze.

Nie potrzeba przypominać, że produkcya nowych powieści w Anglii jest, rzec można, nieograniczoną i że jedyne jéj granice kréśli przedsiębiorczość wydawców, do większego wysiłku niezdolnych.

W téj nieprzebranéj ilości jest, jak się samo przez się rozumié, mnóstwo miernych, które giną w zasłużoném zapomnieniu, traktowane pogardliwie przez krytykę, albo całkiem nieuwzględnione. Często udowadniają one, że zbyt optymistyczne zdanie wypowiedział pisarz, który twierdził, że każdy, przecięciowo wykształcony człowiek, znający ortografię, jest w stanie napisać jedną przynajmniéj dobrą powieść — powieść swego osobistego życia. Wielu samozwańców, co się na nią pokusiło, przerachowało się z własnemi siłami. Nie ilością stoi powieść angielska, lecz jakością. Udowodnił to znowu rok ostatni, w którym z pod pióra wielu znanych i uznanych pisarzy posypały się utwory albo dawniejszych prac godne, albo, jak tego dwa przynajmniéj przytoczymy przykłady, od nich doskonalsze, i w którym przybył cały zastęp nowych pisarzy, co odrazu na wydatne wznieśli się stanowisko. Ku nim to zwracać się będzie fawor publiczny i wymogi wzrastać będą w stosunku do rozbudzonych przez nich nadziei.

Kilkakrotnie w ostatnich czasach mieliśmy już sposobność kreślić tutaj dla czytelników naszych sylwetki najgłośniejszych powieściopisarzy angielskich i zaznajamiać ich z całością dokonanego przez nich dzieła. Obecnie poprzestaniemy na dopełnieniu dawniejszych szkiców i wciągniemy do téj galeryi kilka nowych imion, prawdopodobnie mniéj znanych. O wyczerpaniu przedmiotu marzyć nawet niepodobna; kilka wydatniejszych imion posłuży za punkta wytyczne dla mozolnéj inaczéj oryentacyi.

Po długiéj walce z publicznością, która, nie mogąc go zawsze rozumiéć, boczyła się, doszedł nareszcie Jerzy Meredith do zajęcia bezspornie pierwszego miejsca pomiędzy powieściopisarzami angielskimi. Długie, długie lata upłynęły, zanim sława autora Egoisty, Ryszarda Faverell i Dyany of the Crossways wzeszła ze szczytów, na których skłaniały się przed nią najwyższe inteligencye, do szerokich warstw narodowych. Jest niezaprzeczonym dowodem stopniowego podnoszenia się umysłowego poziomu społeczności, iż rozumié ona obecnie Meredith'a i że w nim smakuje. Przy zwrocie ogólnym, jaki ku niemu zauważyć można, łatwo wpaść na podejrzenie, iż bywa on czasami sztuczny i wymuszony, i że niejeden czytelnik bierze jego utwory do ręki dlatego, że wszystkie głosy poważnéj krytyki wskazują jako na najpierwszą znakomitość, żyjącą w dziedzinie powieściowéj. W podejrzeniu tém utwierdza nas właśnie wielkie powodzenie, jakie znalazła świeża jego powieść „Lord Ormont i jego Aminta". Nie powiadając, ażeby nosiła ślady starości i gasnącego talentu, nie da się wszelako zaprzeczyć, że w porównaniu z niejednym jego dawniejszym mistrzowskim utworem jest drugorzędnym. A jednakowoż dzisiaj klasz-

czą mu i palą kadzidła ci sami, co przed kilkunastu laty chełpili się z niemożności rozkoszowania się jego powieściami, ci, co nie dawali się oślepić jego dowcipami, co nie umieli smakować w jego aforyzmach, co uważali jego psychologiczne analizy za zbyt delikatne, zbyt subtelne. *Rien ne réussit comme le succès* — słusznie powiadają Francuzi.

Nie widzimy powodu z okazyi obecnéj powieści charakteryzować talentu i metody pisarskiéj Jerzego Meredith'a: uczyniliśmy to już dawniéj [1] i nie mamy przyczyny zmieniać ówczesnéj oceny. Czytelnik wié, że autor daje wyraz swéj uczuciowości przez sarkazm i ironię, że sentymentalność jest mu całkiem obcą, że pogardliwie odsuwa na stronę zwykłą konwencyonalność, gdy mu poetyczna fantazya o głębokie struny duszy ludzkiéj potrącić każe. Chroniczną jego wadą było, że sypał zbyt szczodrobliwie dyamentową rosą swego dowcipu na wszystkie bez wyjątku postaci swych wieloaktowych tragedyi komicznych, co wyradzało przesyt u przeciętnego czytelnika, i jeżeli posiadał wszystkie możliwe zalety, to jednéj brakło mu widocznie: prostoty. Doradzało mu ongi przyjacielskie pióro, ażeby nie zapominał, iż wśród rzekomo wykształconych ludzi przemaga liczba ciasnych mózgownic, w które prawdy, jak u nas mówią, łopatą trza kłaść w głowę. Rada ta w las poszła, bo i teraz jeszcze autor kreśli osoby i wypadki, do których nie daje wystarczających komentarzy, stawia wnioski, których zgadywać tylko możemy przesłanki i burzy rusztowanie, co mu do zbudowania gmachu posłużyło, nie zaopatrzywszy go w zwyczajne, wygodne schody. Umysłowego wysiłku trzeba i tutaj, ażeby charaktery zrozumieć i pobudki ich działalności wykryć. Odłożywszy trzytomową powieść po jéj przeczytaniu, brak nam jeszcze na niejednym punkcie klucza do zagadki. Pomimo wszystkich tych zastrzeżeń, prosta sprawiedliwość przyznać nakazuje, że jest w niéj jądro o wiele soczystsze i nastrój o wiele podnioślejszy, aniżeli u setek powszednich romansów.

Wyrafinowany attycyzm Mereditha nie czyni go bynajmniéj zniewieściałym. Nigdzie nie obraca się swobodniéj, jak na polu narodowych sportów: dlatego też obrazy życia szkolnego, gdzie młodzież oddaje się z całą namiętnością grom i ćwiczeniom atletycznym, znajdują w nim niestrudzonego i pełnego zapału malarza. Tym razem dodaje do tych scen nakreślonych z niezrównaną świéżością jeszcze czynnik patryotyczno-militarny. Młodzież szkoły, do któréj wprowadza nas w prologu, pała entuzyazmem dla generała, lorda Ormont, który dokonawszy bohatérskich czynów, gdzieś na kresach azyatyc-

[1] Patrz „Ateneum“ za listopad 1891 r.

kich, popadł w niełaskę u rządu i od czynnéj służby się usunął. Przewodnikiem szkoły jest młody Weyburn, który swoje rycerskie uczucia nietylko wpaja w serca swych towarzyszy, ale nawet w sąsiednią pensyę żeńską, wśród któréj wyróżnia śliczne dziewczę, o śniadéj cerze, Amintę. Te wiośniane miłostki skreślone są tém samém piórem, co stworzyło przed laty nieśmiertelną idyllę Łucyi i Ryszarda. Ale autor porzuca niebawem ową interesującą parę swych bohatérów na progu pierwszéj młodości i przedstawia nam ich po upływie lat kilku w całkiem odmiennych warunkach. Weyburn zostaje sekretarzem lorda Ormont'a, który zamierza pisać swe wojskowe pamiętniki, i spotyka w jego domu swoją Amintę dawniejszą. W jakim charakterze? tego ani Weyburn, ani żadna z osób, z któremi jesteśmy zapoznani, jasno nie wié, ani czytelnik sam zrozumiéć nie może. Chociaż sam traktuje ją jako żonę i nie zaprzecza, gdy mówią o jego małżeństwie dokonaném zagranicą, to nie przedstawia jéj towarzystwu, nie przedstawia rodzinie, nie wprowadza do staréj siedziby swych przodków. Cierpi na tém reputacya pięknéj kobiéty, w któréj podejrzywają awanturnicę. Autor popełnił błąd, nie kładąc dostatecznego nacisku na hypokondryę generała, który za swe zawody mści się na społeczeństwie swego kraju, okazując mu pogardliwe lekceważenie. Poślubił był istotnie młode dziewczę olśnione jego wojskową sławą, otoczył ją zbytkiem, ale zranił jéj duszę odmawiając, przez kaprys prosty, dać jéj stanowisko, do jakiego miała prawo, i rzucając cień dwuznaczny na czystość jéj charakteru. Jak przewidziéć łatwo, Weyburn zbliżony wypadkiem do Aminty, na nowo miłością się ku niéj rozpłomienia a przez szlachetność rycerskiego charakteru tłumi ją w sobie i stara się usuwać zapory, co stoją na drodze przed jego ukochaną. Jednocześnie gdy lord Ormont przychodzi do opamiętania i stara się wynagrodzić żonie uczynioną jéj krzywdę, ona się przekonywa, że straciła dlań resztę szacunku i przywiązania i opuszcza go raz na zawsze. Opuszcza go, aby połączyć się z Weyburnem. Ten młody idealista i pedagog, doszedłszy do majątku, zakłada w ustronnéj, szwajcarskiéj dolinie, szkołę dla młodzieży, gdzie przedstawiciele wszystkich narodowości wychowywani bywają podług metod i wśród atletycznych sportów angielskich. Aminta jest towarzyszką i aniołem opiekuńczym twórcy tego wzorowego zakładu. Nie cofnął się autor przed logicznemi następstwami położenia, w jakiém bohatérów swych postawił, i dał mu nawet niespodziewaną sankcyę przez opuszczonego męża. Trafem zaszedłszy do téj szkoły, zostawia w niéj swego własnego wnuka. Taki dowód wyrozumiałości u zapalczywego żołnierza może zadziwiać, ale Meredith tak szkicowo tylko ten epilog swéj romantycznéj powieści

skreślił, że możemy pomiędzy epoką rozstania się niedobranych małżonków a ich przypadkowém zetknięciem się umieścić rozkładający ferment pokuty ze strony prawdziwego winowajcy.

Proste streszczenie osnowy téj powieści nie może dać czytelnikowi wyobrażenia o istotnych jéj zaletach. Nie chcemy potrącać o mistrzowstwo formy, bo nie ma już potrzeby jéj u Meredith'a podnosić, ale zdaje się nawet, że jest mniéj dzisiaj afektacyi i maniery w jego stylu, a więcéj prostoty; fajerwerkowe race nie strzelają już tak często z pod nóg, jak to dawniéj bywało. Rzadko także napotkać można więcéj osób z krwi i kości, istot prawdziwie żyjących, jak niektóre z postaci na drugim planie stojących. Jest tam pomiędzy innymi lady Charlotte, siostra generała, kobiéta o męskiéj energii, uparta, impertynencka, ale pełna szlachetności i serdecznego ciepła w gruncie: ta jedna kreacya wystarczyłaby do zapewnienia reputacyi autorowi, gdyby dawniejsze nie były mu pozyskały sławy.

Nowa powieść pani Humphry Ward, „Marcela", zaznaczyła nowy szczebel rozwojowy w zawodzie piśmienniczym téj autorki, tak dotąd szczęśliwéj. Czytelnicy wiedzą, jak wielkie wrażenie wywołała pierwsza jéj powieść „Robert Elsmere", od któréj się jéj sława rozpoczyna. „Dawid Grieve", przedstawiając jéj talent w innem świetle, ustalił nadzieje, jakie się do jéj twórczości piśmienniczéj wiązały. Poważna krytyka powitała w córce dostojnéj rodziny Arnoldów jeden z najszérszych umysłów dzisiejszych, a koło czytelników, coraz większe, nie pozwoli już żadnemu z jéj utworów przejść niepostrzeżonym. Z góry już wiedzićć można, że nie mogą one być pospolitemi. Tylko wielkie problemata zatrzymują ją i wabią. Zwykły czytelnik lęka się ich, żądając od powieści rozrywki, niczego więcéj. Siłę i rozmiar talentu pani Ward spostrzegamy właśnie w tém, że umié ona w tak ponętną szatę odziać poważne jądro swéj zasadniczéj myśli, iż nie ma śladu pedantyzmu dogmatycznego w jéj powieściach. Przykuty interesującą opowieścią do jéj osnowy, nieraz zdać sobie sprawy czytelnik nie potrafi, że postawiony został przed najważniejszemi zagadnieniami, i że myśl jego mimowiednie wśród nich się rozgościła.

Gdyśmy tutaj o dawniejszych dwóch powieściach téj autorki pisali [1]), nie tailiśmy, że nie zdobyła się była jeszcze na harmonijne zlanie składowych czynników, w grę wprowadzonych, w jedną syntetyczną całość, że osoby działające były abstrakcyami postaciującemi te lub owe doktryny. Wada ta mniéj już była widoczna w drugiéj jéj

[1]) Patrz „Ateneum" za kwiecień, 1892 r.

powieści, któréj brakowało jednak jeszcze, przy luźności ram i rozmaitości epizodów, wśród których życie bohatéra się snuło, na téj jednolitości i przejrzystości, jakie każdy wyższy artystyczny utwór cechować winny. Obecnie wyzuła się już widocznie z przywar i usterek początkujących pisarzy, szukających swéj drogi, a znalazłszy ją, kroczy po niéj z pewnością zwycięscy. Praca, z którą obecnie stanęła przed publicznością, była istotnie wypadkiem piśmienniczym ostatniego roku i dzieliła nadzwyczajny a zasłużony swój rozgłos z dwoma lub trzema najwyżéj téj saméj natury płodami. Piszemy się najzupełniéj na zdanie p. Lionela Johnsona, który trafnie powiedział, że w każdéj z dawniejszych powieści p. Ward były strony i części wyborne, ale że „Marcela" jest dopiéro cała wyborną.

Wznieść się do obiektywnéj bezstronności wobec zawikłanego, drażniącego zagadnienia jest dowodem umysłowéj dojrzałości. Nie posiadała jéj jeszcze autorka, gdy przed sześciu laty stanęła przed zagadnieniem religijném. Walczyła jeszcze wtedy za pewną tezę i na sprawiedliwą ocenę stronnictwa, którego była przeciwniczką, zdobyć się nie mogła. Obecnie wyrobiła już w sobie olimpijską pogodę ducha, a jest to tém bardziéj zastanawiające, że tematem jéj powieści jest kolczasta kwestya socyalna, w któréj o bezstronność istotną tém trudniéj, że każdy z nas przynosi do sądów o niéj swe osobiste sympatye, a często nawet obronę swych własnych interesów.

Nie potrzebujemy streszczać „Marceli", bo znana jest wielu czytelnikom z przekładu, jaki ogłosiło warszawskie „Słowo". Dla tych, którzy jéj nie znają, wystarczy powiedzieć, że autorka przedstawiła w bohatérce wysoce interesujący typ młodéj, o gorącém sercu i szlachetnych instynktach dziewczyny, która rzuca się z całym zapałem neofitki do przeprowadzenia rozmaitych ulepszeń w społeczności ją otaczającéj, do wygładzenia wszystkich niesprawiedliwości i przywilejów, jakie na każdym kroku ją ranią i oburzają. W pierwszym okresie jéj działalności pokazuje nam ją szamocącą się bezwładnie, zaplątaną w elementarne trudności, odpychającą pomocniczą rękę i zdrowe rady doświadczonych i dobréj woli ludzi, sądzącą nawet najszlachetniejszych przedstawicieli warstw arystokratycznych z okrucieństwem, którego nie łamie zgoła potarganie jéj własnéj przyszłości. Widzimy ją następnie, po porzuceniu narzeczonego i rodziców rzuconą w wir londyńskiego proletaryatu, poświęcającą się, z niestrudzoną gorliwością, dziełu niesienia pomocy i pielęgnowania nieszczęśliwych. W tém drugiém stadyum życia niejedna łuska pryska z jéj oczów; Marcela zaczyna zdawać sobie sprawę, jakie praktyczne trudności stoją na drodze urzeczywistnienia nawet najdrobniejszéj socyalnéj refor-

my. Autorka kréśli tutaj kilkanaście sylwetek socyalistycznych działaczy i agitatorów, portretów łatwych do rozpoznania dla żyjących w odnośnych kolach londyńskich. Nigdy dotąd grupa Fabianów, którą pani Ward w swéj powieści nazwała Venturistami, nie znalazła trafniejszéj oceny: widać tu ich idealizm podniosły, ich radykalizm, nie rachujący się z istniejącemi warunkami życia, i wiele najlepszych wysiłków zmarnowanych przez chaotyczną agitacyę, przez rwanie się na prawo i lewo. Wybornie skréślony został Harry Wharton, typ człowieka frymarczącego interesami masy dla swoich własnych. Obałamuca on i odurza Marcelę, ale otwiérają się jéj oczy w porę i dobrowolnie zrzuca z siebie pychę, do popełnianych błędów przyznaje się i oddaje swą rękę i serce temu, co jéj nigdy kochać nie przestał.

Nietylko że psychologiczny proces w duszy bohatérki przedstawiony jest w najdelikatniejszych swych odcieniach z plastyczną wypukłością, nietylko że wszystkie figury pierwszego i dalszych planów drgają prawdą życiową, ale wszędzie, pomimo ważności socyalnych zagadnień, autorka pisze powieść i tylko powieść zajmującą, żywą, sympatyczną, nie żaden traktat abstrakcyjny. Jeżeli jeszcze utwór tego rodzaju nazwać można tendencyjnym, to jedynie w dodatniém słowa tego znaczeniu: nie ma wątpliwości, że napisany został po głębokiém rozmyślaniu i że zamierza wyłuszczyć idee i zapatrywania, do których autorka doszła i o których prawdzie jest przeświadczoną. Dramatyczne przeciwieństwa pomiędzy inteligencyą a sumieniem, pomiędzy uczuciowością instynktową a cynicznym egoizmem zużytkowane zostały przez panią Ward z taką artystystyczną swobodą, że ma się już prawo w przyszłości wymagać od niéj powieści nieposzlakowanych, zalecających się zarówno treścią jak formą. Jeżeli dotąd, wśród legionu powieściopisarek angielskich szukać można było téj, coby godną była podjąć po George Eliocie buławę marszałkowską, to obecnie wszelka pod tym względem niepewność ustala: pani Marya Humphry Ward o całą głowę przewyższa wszystkie swe siostry po piórze, jakkolwiek zgiełkliwą wrzawę mogą one około siebie podejmować.

A wrzawa ta była w ubiegłym roku większą jeszcze, niż w dawniejszych. Mnóstwo kobiét rzuciło się na arenę powieściopisarską z animuszem reformatorskim awanturniczym i postawiły sobie za cel windykować dla swéj płci moralne i duchowe przewodnictwo wśród społeczności. Tak świéżo pisaliśmy tutaj [1]) o owéj krucyacie kobiécéj i wykazali jéj ujemne strony, że nie ma potrzeby zapewne odświéżać

[1]) Patrz „Ateneum" za wrzesień 1894 r.

wspomnień czytelników o pracach Sary Grand, Joty, Mony Caird, H. Dixon i t. d., chociaż niejedna z nich pośpieszyła się od téj pory ogłosić nowe powieści. Dotąd jestto mętna fermentacya i należy zostawić jéj czas, ażeby się osiadła i wyklarowała. Te, które istotną posiadają oryginalność, niezawodnie wybiją się na jaśnię.

Szczęśliwéj takiéj ewolucyi dokonał świéżo jeden z przywódzców powieści realistycznéj, Jerzy Moore. Napróżno, po ogłoszeniu „Estery Waters", księgarnia obiegowa p. Mudie, monopolizująca cyrkulacyę książkową, położyła ją na indeksie, wykląwszy w imię moralności. Nietylko nie powstrzymał ten zakaz publiczności od czytania takowéj, ale nadał jéj odrazu rozgłos większy, aniżeliby to inaczéj miało miejsce. Minęły już czasy inkwizycyi i dyktatury w literaturze i obecnie nie da się prawdy ukryć pod korcem. A prawdą było, że utwór w ten sposób potępiony był potężnym i w całém słowa tego znaczeniu oryginalnym.

Pisaliśmy z okazyi tego właśnie Jerzego Moore'a [1]) o realistycznéj powieści w Anglii i staraliśmy się wykazać powody społeczne naprzód, literackie następnie, które utorowały jéj drogę i zdobyły poczytność. Jeżeli publiczność przygotowana była od paru ostatnich dziesiątków lat dać ochotnie ucho powieściopisarzom, co wzięli sobie jako hasło zastąpienie zwietrzałego konwencyonalizmu przez prawdę, to szczupłém było grono pisarzy, któreby okazało się na wysokości zadania. Jerzy Moore przedewszystkiém po skandalicznym debiucie, jaki uczynił przez „Żonę aktora", nie odpowiedział oczekiwaniom. Talentu, ogromnego talentu pisarskiego, nikt mu odmówić nie mógł, ale, pominąwszy jego francuską raczéj aniżeli czysto-narodową metodę i pogląd na świat, naprzód zrażał sobie pobłażliwych nawet sędziów umyślném lubowaniem się w brudnych, cynicznych stronach życia, a następnie pole obserwacyjne, w którém się zamknął, było zbyt specyalne, zbyt wyjątkowe, ażeby ogólny interes na długo usidlić potrafiło. Można tedy było żywić obawy, że powieściopisarz ten nie usprawiedliwi nadziei w nim położonych i że przerzuci się stanowczo do krytyki artystycznéj, w któréj zdobył był sobie wybitne stanowisko. Lecz stało się inaczéj. „Estera Waters" wywołała okrzyk uwielbienia u dawnych zwolenników realizmu, niewątpliwie pozyskała jéj mnóstwo nowych adeptów, a przez przeciwników nawet powitaną została z uznaniem i szacunkiem. Krytyka nie waha się widzieć w niéj arcydzieła, i jedna przynajmniéj rzecz stała się niewątpliwa, to mianowicie, że gdy przyszły historyk piśmiennictwa beletrystyczne-

---

[1]) Patrz „Ateneum" za listopad 1893 r.

go będzie szukał dodatniego typu powieści realistycznéj, to nie we Francyi, ale w Anglii ją znajdzie, w téj właśnie powieści.

Jak Zola w „Obuchu" położył był palce na raku toczącym wnętrze warstw ludowych francuskich, tak Jerzy Moore w „Esterze Waters" zcśrodkował wszystkie promyki swéj latarni na wyświetlenie gangreny, która przez sport wyścigowy przenika do organizmu brytańskiego. Malowidło jest straszne przez swą prostotę, swą wierność, swe umiarkowanie. Utwór powieściowy, jak obecny, rozstrzyga raz na zawsze tę niewiedzieć doprawdy dlaczego ciągle sporną kwestyę, czy obraz występku jest w stanie umoralnić masy. Nie pójdziemy tak daleko, jak ten entuzyasta, który wyrażał życzenie, ażeby powieść tę czytano z kazalnic zamiast usypiających kazań niedzielnych, ale bez najmniejszego wahania wyrażamy zdanie, że każdy czytelnik, co ją przeczyta i rozważy, będzie musiał widzieć w wyścigach i sporcie konnym największego wroga moralności i zdrowia duchowego. Trzeba było nie lada odwagi, aby do tak radykalnych doprowadzić czytelnika wniosków. Całe społeczeństwo angielskie lgnie do tego sportu i wobec korzyści, jakie mu przynosi, wobec tryumfów, jakie zjednywa jednym, wobec upojenia i szału, jakiego dostarcza ogółowi, chętnie zamyka oczy na ofiary, jakich ten Moloch wymaga. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że społeczność angielska posiada ferwor moralany, gorący, że duch chrześciańskiego apostolstwa manifestuje się tam w tysiącznych objawach. Agitacya za towarzystwami wstrzemięźliwości sama jedna przekonać o tém może. Jest więc rzeczą zadziwiającą, że dotąd nie uorganizowała się żadna regularna kampania przeciwko wyścigom. Ma się tu do czynienia z narowem głęboko zakorzenionym, w wyzyskiwaniu którego wszystkie warstwy towarzyskie współdziałają, i przeciwko któremu prawodawstwo niewystarczające dało paliatywa. Reforma będzie dziełem najeżonem trudnościami, prosty rozsądek to nakazuje, ale konieczność owéj reformy narzuci się nieodwołalnie opinii narodowéj, gdy przemawiać będą za nią głosy tak szczere, jak obecny.

Niepodobna odmówić zasługi pisarzowi, co tak obywatelskie przed sobą postawił zadanie, i ten hołd, jaki mu składają, zadziwiać musi zarówno tych, co wyrzucali dotąd Jerzemu Moore jego cynizm i niemoralność, jak i jego samego, gdyż nie zmieniwszy bynajmniéj swéj metody, z szatana w białego przemienił się anioła. Nie zmienił bowiem metody swéj, czysto obiektywnéj, ograniczającéj się do skrupulatnego zestawienia mnóstwa drobnych szczegółów codziennego życia. Pod wpływem środowiska kształtują się jednostki, a ponieważ środowisko to jest zatrutém, idziemy krok w krok za ich moralną de-

formacyą, aż do końcowego upadku. Napisano już nie jedną powieść o świecie wyścigowym i pokazano, jak rujnują one wielkie fortuny, do jak upadlających związków doprowadzają przedstawicieli wielkich rodów i jak ohydne intrygi knują się w złoconych salonach klubów, aby ów Paktol złotodajny fortelami do swoich sprowadzić kieszeni. Ta strona sportowego życia nie mogła już oryginalnego powieściopisarza nęcić do siebie. Inaczéj było z drugą, że tak powiemy, demokratyczną jéj stroną. Tę właśnie Jerzy Moore wystudyował najsumienniéj. Zeszedł do klas ludowych, do służby, do kuchni, do stajni, do szynku i pokazał, jak owe podrzędne warstwy, zależne, zarobkujące są przez wpływ wyścigów wykoszlawiane i zepchnięte do moralnéj Gehenny. Jest przedmiotem powszechnego podziwu, jak się stało, że autor, należący przez swe stanowisko towarzyskie do całkiem innéj sfery, potrafił przeniknąć do owego świata, o który się ocieramy bez ustanku, ale który jest dla nas zazwyczaj zamkniętą na trzy spusty księgą. W ostatnich czasach zdarzało się, że gorliwe reformatorki, pragnące zdać sobie sprawę z ekonomicznych warunków, w jakich żyją służące, wyrobnice i robotnice, wstępowały na czas jakiś do ich szeregów, nieznane i niepodejrzewane. Jerzy Moore był szczęśliwszym, bo nie potrzebował osobistém doświadczeniem okupić rezultatów, jakie przynosi czytelnikom. Pozostanie jednak jego tajemnicą, jak przeniknął do suteren i kuchni, podsłuchał rozmów pomywaczek, pokojówek, lokajów, stajennych, żokiejów, i całego tego mrowia, które roi się w otoczenia sportsmena, jak mu się udało przejąć nastrojem ich ducha i następnie tak go przedstawić, że się jego prawdę czuje bezpośrednio, natychmiastowo. Tylko bystry spostrzegacz jest w stanie pochwycić tyle nowych a różnorodnych rysów, tylko głęboki myśliciel jest w stanie zestawić je w syntetyczną całość bez żadnego morału, jak w bajeczce dla dzieci, tylko prawdziwy artysta z tak grubego i na pozór nieokrzesanego materyału jest w stanie stworzyć dzieło sztuki, co przez wyobraźnię przenika do serca i nieraz łzą wilży oko.

Prostą jest osnowa téj powieści, prostą, jak każdy utwór o wysokim nastroju. Młode a piękne dziewczę, Estera Waters, córka biédnéj rodziny londyńskiéj, wypędzone z domu przez ojca pijaka, idzie na służbę do domu właściciela wyścigowéj stajni. Wychowana bogobojnie jako członek sekty Brau z Plymouth, znajduje się wśród licznéj służby tego domu naraz w obcym zupełnie sobie żywiole. Jak państwo na górze, tak służba w suterenach i w stajni żyje tylko dla koni i przez konie. Wszyscy zapamiętale rzucają się do zakładów i o niczém inném nie ma tam mowy, jak o zyskach, jakie z wygranéj

na zakładach i o wydawaniu na grubą rozpustę łatwo pozyskanych pieniędzy. Wśród téj szaréj rzeszy nie ma ani jednéj istoty o czystych uczuciach, ale tylko pstrokata mozajka obałamuconych, oszołomionych ludzi, rodzaj rozbrykanego stada. Pani domu, która trafem jest także kobiétą wysoce religijną, żyje jak obca w swym własnym domu i nie ma możności powstrzymać fali materyalnego zbydlęcenia, co się tam rozpasała. Ona wszakże pokrzepia biédną Esterę, gdy wybiła dla niéj godzina sromu i nieszczęścia. Wpośród służby znalazł ją dorodny Wiliam, który rozkochawszy w sobie niewinną dziewczynę, uwiódł ją i porzucił. Prześlicznie autor opisał i z istotną delikatnością ten chwilowy upadek, gdzie natura fizyczna pokonała spowite w duszy wyższe pierwiastki, ale które w świetle katastrofy budzą się i utrzymują raz na zawsze Esterę na drodze obowiązku. Nieszczęśliwa Estera, zmuszona do opuszczenia służby, powraca naprzód do Londynu do rodziny, która jéj wydziéra ostatni zaoszczędzony szeląg, a po urodzeniu swego synka rozpoczyna ciężką walkę z twardą dolą. Przez szlachetne poświęcenie macierzyńskie odbiéra sobie ostatni kęs chleba, aby zabezpieczyć go dziecięciu. Idziemy krok w krok za jéj krzyżową drogą, wśród któréj energiczna ta a prosta natura istotnie promienieje.

Pierwsza epoka jéj prób walki materyalnéj, kończy się względném polepszeniem losu i znalezieniem spokojniejszego zakątka po to tylko, ażeby natychmiast rozpoczęła się walka w wyższéj sferze — uczuciowéj. W chwili, gdy oddaje swe serce człowiekowi, należącemu do religijnéj sekty tego, co ona sama, charakteru i gdy uśmiécha się jéj nareszcie życie pogodne, przy boku pobożnego jak ona sama małżonka, który jéj popełniony błąd przebacza, los rzuca ją ponownie na pastwę tego Wiliama, który jest ojcem jéj syna i który stracił ją z oczu przez lat kilka. Jest on teraz zamożnym *book-maker*'em, t. j. agentem i pośrednikiem przy wyścigach i właścicielem szynku, który jak wiele tego rodzaju zakładów, jest pokątną agencyą zakładających się. Człowiek ten, który po za sferą swéj obowiązkowéj działalności ujemnéj nie jest pozbawionym uczuć szlachetniejszych, poznawszy swego syna, oceniwszy macierzyńskie poświęcenie i czystą duszę Estery, nalega na nią, aby wyszła zań za mąż. Odrzuca ona naprzód tę myśl ze zgrozą, bo wié, że nie znajdzie tam szczęścia, a przeciwnie źródło cierpień bez końca, ale ma tak wygórowane pojęcie o swym obowiązku względem dziecka, że aby mu dać ojca i wychować dobrze, gwałci spokojne uczucia, co się uśmiéchały jéj w przyszłości i powraca do Wiliama żyć z nim na wiarę, zanim, rozwiedziony ze swą żoną, z nią się nie ożeni. I zaczyna się dla niéj nowy peryod

życia, w którym wszystkie jéj instynkta i przymioty są poniewiérane we wstrętném jéj środowisku. Autor opisuje ową agencyę zakładów wyścigowych i widok tych konszachtów, podstępów, tych oszustw, kradzieży, co się tam kryją, wśród pijaństwa i wszelkiego rodzaju moralnych wybryków, jest opisany i przedstawiony wybitnie. Estera jest przykładną i pełną poświęcenia żoną; nie mogąc powstrzymać zła, usiłuje przynajmniéj zmniejszyć jego następstwa. Jak przewidzićć było łatwo, po kilku latach pomyślnych Wiliam traci swe stanowisko i dochody. Pożérany namiętnością wyścigową do ostatniéj chwili życia, umiéra na suchoty, pielęgnowany we wzruszający sposób przez Esterę i zostawia ją pogrążoną w nędzy. Ostatnie lata swego życia spędza ona u owéj dobréj pani swych lat młodzieńczych, w tym samym domu, co ongi świetny i ruchliwy, jest obecnie ruderą i ruiną, spowodowaną tym samym narowem — grą wyścigową. Dwie pobożne wdowy, pani i sługa, dwie bierne ofiary występków, które nienawidziły bez przerwy, snują one pasmo smutnych, jednostajnych, bezbarwnych dni. Jedynym promykiem szczęścia i nagrodą Estery będzie jéj syn, który na uczciwego człowieka się wychowuje.

Opowiedzieliśmy szczegółowo osnowę téj powieści, ażeby czytelnik sam wydał wyrok, czy zasługuje ona na potępienie, jako niemoralna. Zdaje nam się przeciwnie, że jest ona więcéj niż piękną książką, o epicznym nastroju, że jest dobrym uczynkiem. Nie ma wątpienia, że olbrzymia sława, jaką sobie zyskała, wzniosła Jerzego Moore'a na stanowisko, do którego nie zdawał się pretendować. Zażarcie walczył za estetyczne piętno, takie jak je pojmował, ale od etycznych problematów stronił z pewnym sceptycyzmem zagadkowym. Powinszować mu można i powinszować piśmiennictwu angielskiemu, że się z nim rozstał i wkroczył w dziedzinę istotnie humanitarnych zagadnień.

Taka sama rozgłośna fama, jaka wzniosła „Esterę Waters" na pierwszorzędne stanowisko, dostała się także w udziale nowéj powieści Tomasa Hall Caine'a pod tyt. „Manxman" i postawiła pisarza, co już przez kilka poprzednich nader poczytnych powieści był pochlebnie ceniony, naraz pomiędzy hegemonami piśmiennictwa. Nie sądzimy, ażeby imię jego było u nas dostatecznie szacowane, a przynajmniéj nie spotkaliśmy się z żadném tłómaczeniem jego trzech dawniejszych powieści (*The Scapegoat*, 1891, *The Bondman*, 1890 i *The Deamster*, 1887), które rozchodziły się tutaj w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Szkoda prawdziwa, że zamiast przyswajać piśmiennictwu naszemu

dzieła oryginalne o trwałéj wartości, rzesza tłómaczy przedsiębierze zazwyczaj spolszczanie pospolitych romansideł, które o twórczości tutejszéj całkiem fałszywe dać muszą wyobrażenie. Każda z trzech większych powieści p. Hall Caine'a zalecała się i osnową i formą. Posiadają one ten pierwiastek romantyczny, który już sam w sobie wystarcza do usidlenia czytelnika; osnute są zazwyczaj na zwyczajach i społecznym ustroju wysepki Man, która posiada, jak wiadomo, wśród organizmu brytańskiego w tyle oryginalności zasobnego, cały szereg instytucyi *sui generis*. Można powiedzieć, że *the Deamster* był dla angielskiego nawet społeczeństwa rodzajem rewelacyi co do charakteru i fizyognomii téj czarodziejskiéj wyspy. Ale właśnie owe etnograficzno-historyczne odrębności tak były usidliły dotychczas p. Hall Caine'a, iż powieść, jako taka, drugorzędne wobec nich zajmowała miejsce. Inaczéj tym razem. Autor zatrzymuje nas raz jeszcze na wyspie Man, wśród jéj mieszkańców, ale dramat, który opowiada, zawiéra w sobie grę ogólnie ludzkich namiętności i przemawia do każdéj bez wyjątku wyobraźni. Właściwości miejscowe i koloryt, tak artystycznie i tak *con amore* odtworzone przez autora, przyczyniają się poprostu do podniesienia wrażenia i dodają całości owéj woni egzotycznéj, która, podług mniemania wielu czytelników, jest okrasą niezbędną powieści dzisiejszéj.

„Manxman" jest romantyczną powieścią bezwątpienia, ale nie należy określenia tego uważać, jak się to powszechnie zdarza, jako wykluczenie niezbędne psychicznych badań. Przeciwnie, autor postawił sobie za zadanie przedstawić nam dramat, rozgrywający się w duszach trzech jego bohatérów i idziemy krok w krok za jego wykluciem się i rozwojem aż do końcowéj katastrofy. Romantyczność ujawnia się w epizodach, które jedynie miejscowe stosunki i obyczaje wytłómaczyć potrafią. Tylko na wyspie, gdzie wszyscy mieszkańcy w ścisłych jedni z drugimi zostają stosunkach istniéć może związek braterskiéj przyjaźni, taki, jaki przedstawia Pete, młody rybak o szlachetnéj prostocie, głębokiém sercu, o kryształowéj przejrzystéj duszy, i Filip, miejscowy arystokrata, ambitny panicz, wykształcony i ucywilizowany, Miejscowy zwyczaj także upoważnia do poruczenia nadzoru i opieki nad swoją narzeczoną drużbie, którego zadaniem ma być podczas nieobecności swego druha strzedz jego dobra i być dobrym druhem chwilowo osamotnionéj dziewczyny. Jeżeli kiedy, to tutaj opieka tego rodzaju była na miejscu, bo Katie jest równie piękna, jak płocha i zalotna. Zamiast wywiązać się ze swych obowiązków drużby, młody Filip rozkochuje w sobie Katie i uwodzi ją. Przyszło mu to stosunko-

wo łatwo, bo lekkomyślne dziewczę lgnie jak do miodu do wszystkiego, co pańskie i złocone. Filip nie żeni się jednak z córką oberżysty, bo tego rodzaju małżeństwo pozbawiłoby go widoków wzniesienia się na stanowisko deamstera, t. j. wybiéralnego sędziego o szerokich atrybucyach, dzierżącego w swych rękach pieczę nad moralnością publiczną. Katie wychodzi za ufającego jéj Pete'a, ale małżeństwo to nie rozdziela kochanków. Po niejakim czasie Pete zaczyna podejrzewać zdradę dwóch istot, którym raz nazawsze całe swe serce oddał, i gdy nabiéra o swém nieszczęściu pewności, dokłada wszelkich starań, aby hańbę swą ukryć. Nawet, gdy Katie ucieka z Filipem, zasłania ich reputacyę tak, że pozostaje bez szwanku. Heroizm to nadludzki, gdy się ma czas go rozważyć i nigdzie talent potężny autora nie jest dotykalniejszy jak tam, gdy przeléwa w nas przekonanie o możliwości poświęcenia tak szczytnego. Filip otrzymuje następnie owo stanowisko, któremu poświęcił wszystkie szlachetne natury swojéj czynniki, ale raz celu dopiąwszy, staje się pastwą najsroższych wyrzutów sumienia. Doprowadzają go one do postanowienia także bohatérskiego: na pełném posiedzeniu trybunału sam staje się swym oskarżycielem, odsłania swą zdradę i podłość. Jest to scena tak potężnego efektu dramatycznego, że jeszcze, gdy powieść wychodziła w tygodniowém piśmie, czterech jednocześnie pisarzy wcieliło ją do dramatów, na tle „Manxmana" napisanych. Ujrzymy ją tedy niewątpliwie na scenach kilku teatrów w niedalekiéj przyszłości, ale jeżeli nie ona, to wiele innych scen i epizodów powieści straconych zostanie w teatralnéj metamorfozie. Styl prześliczny p. Hall Caine'a, jego poetyczne opisy, jego subtelne spostrzeżenia psychologiczne i wywody, szereg drugorzędnych figur o wybitnych fizyognomiach, niektóre zaprawione jędrnym humorem—oto zalety, o które jest obawa, iż znikną całkowicie. Ale to już nie rzecz autora i troszczyć się o nie nie ma powodu. Jako powieściopisarz, osiągnął tryumf; publiczność, zarówno jak krytyka, pośpieszyły mu dać niezliczone dowody wysokiego uznania. Autor nie lubi improwizować i tylko wypieszczone usilną pracą utwory przedstawia światu. Da dowód istotnie siły moralnéj, jeżeli i nadal przy téj metodzie wytrwa. Oblegają go krajowi i amerykańscy wydawcy, o nowy dobijając się utwór.

Dobiegliśmy zwykłych rozmiarów naszych pogadanek, a wywiązaliśmy się dopiéro z połowy naszego zadania i nie mieliśmy sposobności dotknąć nietylko niektórych z dawniéj już znanych powieściopisarzy, jak np. p. A. Conan Doyle'a, który nową, pełną talentu i oryginalności dał powieść, *Round the Red Lamp*, ale i wszystkich no-

wych talentów, z którymi powieściopisarstwo angielskie liczyć się już dzisiaj ma obowiązek. Są tu przedewszystkiém trzy imiona na ustach całego czytającego świata, dwóch autorów większych powieści i jeden zbiór mniejszych nowel. Mówimy tu o Antonim Hope, o Stanleyu Weyman i nakoniec o Franku Harris. Byłoby niesłusznêm zbyć ich kilku pośpiesznemi rysami, gdy uwaga czytelnika znużoną już być może. Będzie właściwszém drugą część tego przeglądu do sposobnéj odłożyć chwili.

N. T.



NA WSCHODZIE AZYI.

Nawet na wypadki polityczne wiek pary nałożył swoje znamię. Starczy wziąć do ręki pierwszy lepszy dziennik z przed lat trzydziestu i z obecnéj chwili. Jak odmiennie wygląda tam rubryka wypadków, którą ochrzciliśmy nazwą politycznéj! Niegdyś poprzestawano na staréj Europie, tylko wyjątkowo przedarła się wiadomość o Ameryce, czasami z powodu Turcyi zawadzono o Egipt. Ale wszystko pożerający odmęt wymiany międzynarodowéj zburzył tę wąską widownię: porywa on w swoją toń burzliwą najdalsze zakątki i wiąże obce sobie ludy i kultury przemożnym łańcuchem przymusu ekonomicznego — bez woli i świadomości ze strony spętanych. Téj potędze żywiołowéj nie zdołała się oprzéć, ani rutyna zaśniedziała państw azyatyckich, ani fanatyzm i wyłączność wyznawców islamu. Tuszę, że historyk przyszły odrzuci ów naiwny podział dziejów ludzkich na starożytne, średniowieczne i nowożytne a wprowadzi zgoła inny, w którym naszéj dobie przypadnie zaszczyt rozpoczynania nowéj epoki: stosunków międzynarodowych. Z rozrostem wymiany towarów różne postaci egzotyczne ukazały się na stronicach dzienników politycznych: czarni synowie Afryki murzyńskiéj, żółci Anamici i Malajczycy, nadzy jeszcze wyspiarze oceanu Spokojnego. Jedne z nich występują w roli zwierzyny szczutéj, dla któréj nie ma ucieczki przed obławą, urzędzoną przez europejczyków. Inne natomiast zachowują się zgoła inaczéj. Ulegają oni przemocy, bo inaczéj uczynić nie mogą, ale przy bliższém wejrzeniu spostrzegamy coś więcéj — przyszłych współzawodników na arenie dziejowéj dla naszéj części świata. Zwłaszcza wschód

azyatycki, owe Chiny, wyglądają na spętanego olbrzyma, który, ot! otrząśnie się z niemocy, zerwie z rutyną, odrzuci zaśniedziałość i zapragnie dla siebie godziwego miejsca w chórze głosów, rozporządzających dalszemi losami szczepu ludzkiego. Kraj to wielki, gęsto osiadły. Parosetmilionowa ludność w ciągu wieków przyzwyczaiła się do systematycznéj pracy, wielowiekowa kultura ziemi i tresura instynktów ludzkich, te warunki, nakładane przez obecną chwilę na każdy lud, któryby pragnął uczestniczyć w robocie dziejowéj, istnieją tam w szerokiéj rozciągłości. Jak na dzisiaj, zbywa tylko na naszéj technice: na środkach prędkiego a taniego i musowego transportu i porozumiewania się, na narzędziach, umożliwiających produkcyę na wielką skalę, wreszcie — *lest not least* — na orężu europejskim. Chwila, kiedy mocarstwo nieba z kopciuszka zamieni się na współzawodnika, zależy od tego, w jakich rozmiarach i kiedy okolice tamtejsze przyswoją sobie ten dobytek naszego rozwoju ekonomicznego.

Rozruszało się ono nieco już w ciągu paru ostatnich dziesiątków lat: technika europejska poczęła się tam rozpowszechniać i wzięto się do przekładu dzieł specyalnych z zakresu technologii i inżynieryi, lokomotywa tu i owdzie zastąpiła starodawny sposób transportów, firmy chińskie kupieckie wystąpiły do rywalizacyi z agenturami przybyszów. Ale wszystko to odbywało się zwolna. Zarozumiałość chińska, upostaciowana w rutynie mandarynów, którzy pojęli, że byt ich jest związany ze starą zaśniedziałością, broniła się przeciwko napływowi wzorów zagranicznych i odpowiednio oddziaływała na kraj. I prawdopodobnie długoby jeszcze broiła, gdyby nie została skompromitowana;—naturalnie, nie ustąpi odrazu, ale swoją drogą otrzymała cios dotkliwy. Mówiąc to, mamy na myśli obecne wypadki wojenne. Tuż pod bokiem mocarstwa nieba usadowiła się względnie niewielka, ale ruchliwa Japonia, która, mniejsza o pobudki, jęła gorączkowo naśladować kulturę europejską. Zapożycza ona z naszéj części świata ostatnie wyniki: na wszechnicy w Tokio wykładają z katedr specyalnych, filozofię Comte'a i Herberta Spencera, koleje przerznęły kraj, armia została zorganizowana na wzór niemieckiéj i zaopatrzona w broń najlepszego kalibru, a pod filozofią, militaryzmem i kolejami ukrywa się żądza zdobycia nowych rynków. Prędzéj lub późniéj, w każdym przecież razie dojść musiało do starcia pomiędzy ideą rutyny chińskiéj a postępu japońskiego; rozumié się, nie z powodu sprzeczności ożywiającego je ducha, ale dlatego ponieważ jedno z tych mocarstw zbroiło się w pazury coraz doskonalsze, drugie zaś stawało się jagnięciem bezbronném. Doszło wreszcie do starcia z po-

wodu Korei. Od paru miesięcy jesteśmy świadkami, jak Chiny pokutują za swój mandarynizm sprzedajny i za brak prywatnéj inicyatywy w życiu publiczném, za oręż mniejszéj morderczości i wogóle za wszystkie płody rutyny. Mało obchodzi nas strona faktyczna zatargu, dymiącego się krwią i ziejącego pożogą, zatém gdzie i kiedy „Moltke" japoński pobił Chińczyków, nawet bez znaczenia jest ów haracz materyalny, jakim zwyciężeni okupią przegranę. Ale nie możemy pominąć skutków moralnych i kulturalnych wojny, toczącéj się na wschodzie Azyi. Ze wszystkich nauk ta bywa najdotkliwsza i jednocześnie najskuteczniejsza, którą ktoś otrzymał na własnym grzbiecie. Tłumy chińskie, które przecież coś wiedzą o drobnych względnie rozmiarach państwa wyspiarskiego i ogromie swojéj ojczyzny, nie omieszkają wyprowadzić stąd wniosku, że Japonia bez posługiwania się wzorami, zapożyczonemi w Europie, nigdy nie posuwałaby się w taki sposób zwycięski, ideę tę zaś rozpowszechnieją władze same, celem uniewinnienia siebie z hańby wojennéj. Przyznanie zaś wyższości chociażby pod jednym względem prowadzi do ustępstw w wielu innych. Poczucie niższości swojéj i upokorzenia otwiéra znowu wrota w pewnym kraju dla napływu wzorów, uznanych za wyższe. Zwycięska więc armia japońska spełnia rolę akuszerki dziejowéj; bo pomaga do wyzwolenia się z powijaków zarozumiałéj zaściankowości.

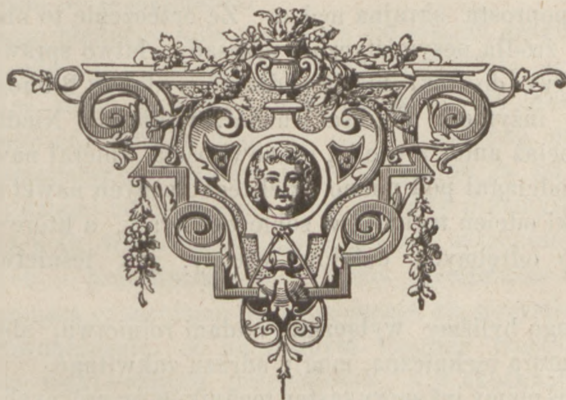
Słowem, wojna, któréj widownią jest wschód azyatycki, posiada większą doniosłość, aniżeli to wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Jest ona jednym z czynników, pchających tamte okolice na tory nowe—naprzód posługiwania się wynalazkami europejskimi, w dalszéj zaś przyszłości współzawodnictwa z Europą na zasadzie równouprawnienia. Okoliczność ta musiała zwrócić na siebie uwagę publicystów europejskich i zdołalibyśmy zacytować mnóstwo prac, które zaciekają się nad tym przedmiotem. W tych wywodach nadaremnie poszukiwalibyśmy radości, że ktoś może wziąć do serca naśladownictwo wzorów naszych. Częściéj możemy tam domacać się niepokoju. „Wyczerpujemy siły nasze — woła Pearson, były minister oświaty w Australii — na olbrzymie uzbrojenia przeciwko ludom, które są przecież naszymi bliskimi krewniakami, wydajemy złoto nasze na to i marnotrawimy swoją dzielność fizyczną, a tymczasem barbarzyńcy gromadzą zasoby na przyszłość—na tę wiosnę, która kiedyś dla nich nadejdzie. Nasza stara Europa zaciekawia się tém, czy ten lub inny z narodów utrzyma w swojéj władzy jakąś prowincyę, niebaczna, że maluczko, a losy cywilizacyi europejskiéj na globie ziemskim będą zakwestyowane." Istotnie, przypatrzmy się następstwom wejścia

wschodu Azyi na tę drogę. Chiny posiadają z górą 400 milionów poddanych, t. j. blisko część czwartą całego zaludnienia globu ziemskiego. Biorąc normy poboru rekruckiego, istniejące faktycznie w Niemczech, otrzymamy, że w razie potrzeby zdołałyby one pod broń powołać do 25 milionów szeregowców. Siła to straszna, która, należycie zorganizowana i uzbrojona, może rozstrzygać o losach dalszych szczepu ludzkiego. Pod osłoną takiéj potęgi militarnéj posiada wszystkie warunki dla swego rozwoju rywalizacya handlowa: tamta oczyści fale dla téj. Wschód Azyi posiada podostatkiem bogactw przyrodzonych, ludność tamtejsza przyzwyczajona do pracy systematycznéj, cena siły roboczéj stoi nisko. Mocarstwo nieba, zaopatrzone w nasze maszyny, to współzawodnik jaknajniebezpieczniejszy. Towary, wytworzone w warunkach właściwych Chinom, mogłyby walczyć zwycięsko na wszystkich rynkach z produktami naszéj części świata, podobnie jak dzisiaj już firmy handlowe chińskie rywalizują z europejskiemi w miastach Anamu, Kochinchiny, nawet Indyi przedgangesowych. A do tego dodajmy jeszcze rzecz jedną. Płodność jest tam większa, aniżeli w Europie i ludność wzrasta w tempie szybszém. Ktoś wyliczył, że Chiny, które w chwili obecnéj posiadają około czterystu milionów obywateli, ku środkowi przyszłego stulecia będą obejmowały ludność dwa razy większą. Rzesza taka istot ludzkich, ścieśniona na terytoryum mocno już zaludnioném, z konieczności przéć musi do rozszerzenia granic swojéj siedziby, natura zaś fizyczna rasy żółtoskóréj uzdalnia ją do wytrzymania skutków klimatu gorącego, i tam gdzie wychodźca europejski traci swoją energię i niedomaga na zdrowiu, tam syn cywilizacyi chińskiéj miewa się jaknajlepiéj. Już dzisiaj europejczycy ustępują przed Chińczykami w Annamie i Kochinchinie: tamci szczepią kulturę, ale przybysze z mocarstwa środkowego zaludniają sobą obszary i w służbie u białych uczą się cenić ich umiejętności i technikę. Potok żółty poczyna nawet wylewać się już w dalszych zakątkach globu: Natal przyciąga ich masowo i mniemać wolno, że terytorya południowo afrykańskie raczéj schińszczą się, aniżeli staną się ogniskiem kultury białéj. Tłuszcza taka, raz pod parciem konieczności poszukująca nowych terytoryów, zbrojna w naszą technikę, rozporządzająca armią, która w potrzebie może liczyć kilkanaście milionów szeregowców, mnożąca się prędzéj aniżeli przedstawiciele szczepów białych, przyzwyczajona w szkole życie do poprzestawania na małém, tłuszcza taka, powtarzamy, w jaki sposób może oddziałać na losy dalsze globu ziemskiego?!

Rzucamy zapytanie, chociaż na nie odpowiadać nie będziemy. Wolno nam zaznaczyć istniejące tendencye dziejowe, ale niepodobna

stanowczo orzekać, w jakim stopniu urzeczywistnią się i dokąd doprowadzą, bo nie znamy tych sprężyn, które mogą działalność swoją dorzucić do powyższych, powtóre zaś, nie śmiemy ręczyć, o ile dążności podkréślone pozostają w swojéj mocy. Jedno tylko możemy powiedziéć, że takie wypadki, jak tocząca się na wschodzie Azyi wojna, są właśnie bodźcami, pchającymi te nierozwinięte jeszcze siły do wyładowania się i wykazania swojéj potęgi. Do tego dodamy jeszcze drugą uwagę. Tylko cośmy powiedzieli, że cofamy się przed odpowiedzią na pytanie, w jaki sposób na dziejach rodu ludzkiego zaważy wciągnięcie wschodu Azyi do odmętu stosunków międzynarodowych. Nie znaczy to przecież, abyśmy wątpili o samém wciągnięciu. Jest ono, naszém zdaniem, tylko kwestyą czasu. Wraz z tém dzieje, które dotychczas toczyły się wąskiemi, a od siebie niezależnemi korytami, popłyną różnobarwnym wprawdzie, lecz swoją drogą jednolitym strumieniem.

K. R. Żywicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Z literatury technicznéj. — „Nauka murarstwa“ Jakóba Heilperna. Warszawa, 1894.

Na polu literatury technicznéj, a więc budowlanéj, inżynierskiéj i przemysłowéj, panuje u nas, w porównaniu z innemi narodami i przynajmniéj pod względem ilościowym, bezwarunkowo już nie ubóstwo — lecz poprostu skrajna nędza. Że orzeczenie to nie wytryska bynajmniéj że źródła pesymistycznéj przesady, łatwo sprawdzić, chociażby wziąwszy do ręki niezbyt dawno wydaną „Bibliografię dzieł technicznych“ inżyniera Feliksa Kucharzewskiego. Niedługi to szereg dzieł, chociaż autor z wielką pracowitością zbiérał nawet drobne broszurki, a podciągał pod miano dzieł technicznych nawet i te, które chociażby lekki odcień techniki w sobie zawiérały, a które właściwie przynależą do odrębnych działów wiedzy, jak leśnictwa, rolnictwa i t. p.

Zbyt długo byliśmy wyłącznie oddani rolnictwu, aby przemysł a z nim i literatura techniczna, mogły odrazu zakwitnąć.

A gdy dziś mamy już spory zastęp techników przeróżnych zawodów, niechaj potrzeba zawodowa, lub prosta żądza wiedzy istotnie pobudzi technika do zasięgnięcia rady albo informacyi z literatury technicznéj, to z pewnością na dziesięć wypadków zaledwie raz jeden odnajdzie on przedmiot poszukiwany w literaturze swojskiéj; — nie dziw zatém, że władając zazwyczaj kilkoma, a conajmniéj jednym obcym językiem, woli odrazu poszukiwania swe skierować ku literaturom obcym, które mniéj często go zawiodą. Dlatego téż w kraju naszym techniczne dzieła i czasopisma francuskie, niemieckie, ruskie, a nawet angielskie,

ogółem więcéj znajdują nabywców i abonentów, aniżeli swojskie, z których niejedno pod względem jakości czasem nawet nie ustępuje obcym.

Literatura nasza znajduje się tu poniekąd w zaczarowaném kole wzajemnych oddziaływań ujemnych czytelnika, autora i nakładcy, z którego to koła wybrnąć nie może, dopóki energiczna ręka i poświęcenie jednostek, lub siła faktycznego, samoistnego rozwoju przemysłu nie wyrwie jéj z niego.

Bo czyż dziwić się można inżynierowi, budowniczemu lub przemysłowcowi, że wobec nawału pracy zawodowéj nie kwapi się do pióra, gdy znalezienie nakładcy i szerszego koła czytelników jest nader wątpliwe?

Albo czy winić nakładców zawodowych o to, że stronią od wydawnictw, z których trudno rokować sobie zysk, a których wydanie bywa zazwyczaj kosztowniejszém, z powodu rysunków, formuł i t. p.?

Czyż wreszcie dziwić się technikowi, że, wobec notorycznego ubóstwa naszéj literatury technicznéj, oszczędzając czasu, ucieka się wprost do źródeł obcych, w których nietylko łatwiéj znajdzie poszukiwaną informacyę, lecz przyznajmy otwarcie, że ponajczęściéj znajdzie ją nadto w formie, wyczerpującéj bardziéj przedmiot, a przytém częściéj opartą na własném doświadczeniu autora, a więc przemawiającą daleko więcéj do przekonania?

Do tego błędnego koła przyłącza się jeszcze drugie, które, jakoby obręcz, silnie je opasując, tém bardziéj utrudnia jego przełamanie.

Jak w wielu gałęziach naszego przemysłu brak dostatecznéj ilości zamówień rodnego rodzaju, zmusza fabrykę do produkowania najrozmaitszych wyrobów i powstrzymuje ją od specyalizowania się, téj dzisiaj najostrzejszéj broni w walce przemysłowéj o byt, — tak też i na polu literatury technicznéj—a w szczególności czasopism technicznych — brak dostatecznéj liczby czytelników z każdéj gałęzi techniki, zmusza czasopismo do zajmowania się wszystkiemi gałęziami techniki równocześnie, co naturalnym biegiem rzeczy sprzeciwia się pogłębieniu traktowanych przedmiotów, a w skutkach swych odstręcza czytelnika, który zamało znajduje informacyi, dotyczących jego własnéj specyalności.

Nawet niezaprzeczenie poczynający się już rozkwit naszego przemysłu nie zdołał jeszcze zrobić przełomu w owych kołach zaczarowanych — oby więc usiłowania nakładców, jakie w ostatnich czasach pojawiają się w tym kierunku, pożądany odniosły skutek, bo z natury rzeczy trudno, aby czytelnik lub autor mógł tu zapoczątkować odmianę.

Rzecz pewna jednakże, iż, wobec nietylko wątpliwości zysków, lecz nawet pewności strat finansowych na podobnych wydawnictwach, owymi nakładcami nie mogą być wydawcy zawodowi, szukający słusznych zysków ze swéj pracy i włożonego kapitału, lecz tylko ludzie dobréj woli, którzy poświęcają pewien fundusz na cele podniesienia literatury technicznéj i, co zatém idzie, na rozwój techniki i przemysłu krajowego.

„Przegląd techniczny”, do niedawna jedyne czasopismo techniczne w kraju [1]), mimo tyloletnie istnienie, nie stoi jeszcze o własnych siłach, a pochłania corocznie sporą sumę, udzielaną na ten cel przez grono osób, czujących potrzebę rozwoju literatury technicznéj, a wydających oprócz owego czasopisma, w miarę środków, jeszcze, nieliczne wprawdzie, dziełka, w dziedzinę techniki wchodzące.

Kasa im. Mianowskiego w roku bieżącym weszła w ostateczne posiadanie zapisu ś. p. Pepłowskiego, mocą którego to zapisu zużywać będzie procenty od kapitału, około rs. 40,000 wynoszącego, na wydawnictwa techniczne i rolnicze, przystępne dla drobnych przemysłowców, rzemieślników i drobnych rolników. Z funduszu tego wydano już pierwsze dziełko, a mianowicie z dziedziny mularstwa: „Wiązazania cegły”, T. Szpadkowskiego. Również w roku bieżącym ukazały się pierwsze tomy „Biblioteki przemysłowéj”, na któréj wydanie p. H. Wawelberg przeznaczył *à fond perdu* kilkanaście tysięcy rubli; wydano już: „Podręcznik dla palaczy kotłowych” i „Mechanikę doświadczalną”, tłómaczone z obcych języków, dalsze tomy są po części w druku, po części postąpiły już znacznie w opracowaniu, słowem w ostatnich czasach objawiać się zaczyna pewne ożywienie na polu literatury technicznéj, które oby było zaczątkiem istotnego jéj rozwoju.

Po za temi wydawnictwami, obliczonemi na dalszą metę, zgromadzenie mularzy warzawskich przeznaczyło fundusz na wydanie „Nauki murarstwa” i powierzyło jéj napisanie inżynierowi, Jakóbowi Heilpernowi, a częśé pierwsza tomu I-go ukazała się niedawno i o niéj to zamierzamy mówić nieco szczegółowiéj.

Wobec wyłuszczonych powyżéj trudności, jakie napotyka u nas pojawienie się dzieł technicznych i wobec ubóstwa téj gałęzi literatury naszéj, łatwo pojąć, jak miłą niespodziankę sprawi każdemu, bliżéj interesującemu się tą sprawą, świéżo wydane dzieło, które sumiennością opracowania, doborem wyrażeń technicznych i szerokim zakrojem dodatnio się wyróżnia z pomiędzy nielicznych swych rówieśników.

---

[1]) Przeszło od roku wychodzi nadto: „Gazeta cukrownicza“, około któréj grupuje się podobnież wydawnictwo dzieł z zakresu techniki cukrowniczéj.

A taką jest niezaprzeczenie praca p. Heilperna, będąca zarazem zapowiedzią pięknéj całości.

Sądząc naprzód chociażby z saméj objętości téj pierwszéj części, która na 527 stronicach wielkiéj ósemki traktuje nauki wstępne, objaśniając je 825 drzeworytami i tablicą chromolitograficzną, odczuwamy już poniekąd, w jak poważnym zakresie całe dzieło jest zamierzone.

Jednakże, jak pod piękną maską nieraz chowa się szpetne oblicze, tak też w literaturze z powiérzchowności dzieła o jego wartości przesądzać nie można — w wydawnictwach technicznych atoli i strona zewnętrzna dzieła, zwłaszcza też wyrazistość i czystość rysunków, nie jest bynajmniéj rzeczą podrzędną. Pomijając więc druk i papiér, które, nawiasowo mówiąc, są bez zarzutu, zaznaczymy przedewszystkiém, że drzeworyty, z wyjątkiem może pierwszéj ich setki, są tak wzorowo wykonane, że nieczęsto spotykamy równie doskonałe w poważnych nawet wydawnictwach zagranicznych, co chlubnie świadczy i o drzeworytni p. Styfiego, która je wykonała, i o pracowitości autora, który oryginały rysunków przysposobił, a dopilnował należytego wykonania drzeworytów.

Owo pierwsze wrażenie zewnętrznéj strony dzieła bardzo dobrze usposabia czytelnika, a po szczegółowszém rozpatrzeniu saméj treści, dochodzimy nadto do przekonania, że w téj ponętnéj łupinie istotnie też i zdrowe jądro się mieści.

Bo i wykład, mimo swą jasność i przystępność, odznacza się nadto przeważnie ową ścisłością, bez któréj dzieło techniczne traci znaczną część swéj wartości i metody ponajczęściéj są należycie przystosowane do rozległości pojęć i wiedzy czytelników, dla których autor przeznacza swój podręcznik, t. j. dla wykształconych w zakresie szkół średnich, wreszcie, co niemniéj ważne, i wyrażenia techniczne są doborowe i język wogóle dobry (chociaż nie bez usterek). Zresztą wspomniane zalety oceni należycie tylko ten, kto, pisząc sam w kwestyach technicznych, na każdym prawie kroku spotyka się z brakiem wyrażeń technicznych, których praktyka u nas jeszcze nie wyrobiła — bo najczęściéj bierze je ona żywcem z obcego języka — a dziwolągi językowe, w ten sposób wytworzone, zakorzeniły się tak silnie w warsztatach i fabrykach, że trudno je wyplenić, nawet w tych wyrażeniach, które zyskały już pełne prawo bytu w piśmiennictwie techniczném. Jedynym chlubnym wyjątkiem jest tu cukrownictwo, najbardziéj już swojska gałęź przemysłu wielkiego, gdzie postępy ku dobremu są bardzo znaczne.

Zresztą czyż bardzo dziwić się można piszącemu technikowi, że mimo woli suną mu się pod pióro zwroty i wyrażenia z obcych języ-

ków przejęte, jeżeli zważymy, że tenże technik wiedzę swą czerpie przeważnie z literatury obcéj, a często i przy spełnianiu swych czynności zawodowych posługuje się przeważnie, a czasami wyłącznie obcym językiem. Dlatego też czystość językową w dziele technicznem uznajemy za wysoką, niestety, nieczęsto napotykaną, zaletę.

Przechodząc do właściwéj treści, zaznaczamy naprzód, że obejmuje ona nauki zasadnicze, niejako wstępne do właściwéj wiedzy technicznéj, a więc matematykę, mechanikę z nauką wytrzymałości materyałów, chemię, oraz szereg tablic pomocniczych.

Nauki te są potrzebne nietylko technikowi mularzowi, lecz i technikowi innego zawodu. Dlatego też i technik cieśla, i budowniczy, a nawet technik fabryczny, który nie miał możności zwiedzania wyższéj szkoły technicznéj, wiele mogą skorzystać z przystępnego i jasnego wykładu téj pierwszéj części podręcznika. Poniekąd nawet zdawaćby się mogło, że autor, mając na widoku rozszerzenie na większe koło techników przydatności swego podręcznika, a przynajmniéj pierwszéj jego części, traktował umyślnie obszerniéj niektóre działy, np. z wytrzymałości materyałów, z mechaniki i t. p., niżby to dla technika mularza było niezbędném. Trudno jednak formować z tego zarzut przeciw autorowi, bo i te wiadomości przydać się mogą mularzowi, a zresztą przy nauce mógłby on rozdziały podobne opuścić.

Kończymy życzeniem, aby dalsze części i tomy „Nauki murarstwa" pojawiły się jaknajprędzéj, a doborem treści i jakością aby stanęły godnie obok téj pierwszéj części dzieła. *K. Obrębowicz.*

Ferdynand Hösick. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu". Studya historyczno-literackie. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1895, str. 333. — Tegoż: „Samotność. Krajobrazy i opowiadania." Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1895. str. 323

Znany czytelnikom „Ateneum" utalentowany autor, którego studya z najświetniejszéj doby poezyi naszéj dość często na kartach naszego miesięcznika się pojawiały, staje obecnie przed ogółem — z Janusowém obliczem: jedno z nich przedstawia pokojowo nastrojoną, chociaż niejednokrotnie bólem cierpienia przeniknięta dziedzinę artyzmu twórczego, a drugie jaśnieje blaskiem wojowniczego zapału, wiodącego na bój nie ciała, lecz duchy, by nawet z kłamstwa samego „wyłamać prawdę" o życiu i działalności najpotężniejszych twórców naszych piękna w słowie natchnionem...

I oblicza te są o tyle symetryczne, o ile twarze ludzkie wogóle symetrycznemi być mogą; taż sama w nich wielkość, też same w nich rysy zasadnicze i kształty, też same na nich odcienie barwy;

ale są też naturalnie i drobne między niemi różnice, świadczące o usposobieniu i nastroju wewnętrznym.

Główną cechą, jaką, wpatrując się w nie, zauważyć można, jest łagodność i spokój, zachowywane nawet wówczas, gdy autor mówi o wstrząsających i nurtujących do głębi uczuciach. P. Hösick lubił dotychczas wybiérać tematy, których przygody życia nie potężnieją w katastrofy niszczące byt ludzki, lecz rozwijają się wśród wesołych lub smutnych nastrojów, pozostawiających po sobie mniéj lub więcéj tęskne wspomnienia. Istotnie takie zarysy literackie, jak: „Słowacki i Krasiński w Rzymie", „O Słowackim i pani Bobrowéj", „Dzień donkiszotowski czyli pojedynek Słowackiego z Ropelewskim", „Ostatnia miłość Juliusza Słowackiego" nie dostarczają materyału do wysnuwania scen gwałtownych i namiętnych, do rozwijania siły słowa, gdyż zdarzenia i uczucia mają tu przebieg względnie spokojny, a jakkolwiek niekiedy w wyrażeniach Słowackiego np. znajdujemy objawy usposobienia gorączkowego, to w faktach samych trudno odszukać dowodów, iżby należało brać wyrażenia te dosłownie. Inaczéj jest w „noweli historyczno-literackiéj" p. n.: „Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego". Tu temat nastręczał dużo sposobności do rozwinięcia siły dramatycznéj. Bo i sytuacya młodego poety, pierwszy raz kochającego naprawdę silnie, lubo przelotnie, i losy pani Bobrowéj mają w sobie tak wiele pierwiastku silnie wzruszającego, iż domagały się niemal koniecznie potężniejszych odcieni słowa. Ale usposobienia autora zarysu tu właśnie uwidoczniły się najjaśniéj, gdyż stanęły w pewnéj kolizyi z tematem. P. Hösick wyzyskał, jak na sumiennego badacza przystało, wszystkie dostępne dziś źródła naszych wiadomości zarówno o charakterze osób, wchodzących do tego dramatu, jak o samym przebiegu zdarzeń i uczuć, posługiwał się obficie dochowanemi listami Zygmunta dla odmalowania stanu jego serca, zgłębił dzieła jego, w tym czasie pisane i wydobył z nich wszystko, co tylko do uplastycznienia sytuacyi posłużyć mogło; — a jednak nie zdołał, o ile mnie się zdaje, odtworzyć w pełni całéj grozy kolizyi dramatycznéj, w jakiéj się chwilowo znalazł poeta, lecz pozwolił rozpłynąć się w mnóstwie ładnych, lecz drobnych szczegółów, chociaż inne ich ugrupowanie iześrodkowanie mogłoby odmiennne wywrzéć wrażenie. Mam tu na myśli głównie tę chwilę, kiedy despotycznie usposobiony ojciec zażądał od wrażliwego ale poczuwającego się jeszcze wtedy do obstawania przy swojém uczuciu, syna, aby z panią Bobrową zerwał stanowczo. Ponieważ jest to kulminacyjny punkt w dziejach tego stosunku, należało nań większy nacisk w przedstawieniu rzeczy położyć, aniżeli się to stało w opowiadaniu p. Hösicka.

Podobny objaw widzieć możemy i w czysto artystycznych utworach młodego pisarza. I w téj dziedzinie chętnie obrabia pomysły, które do silnych wzruszeń powodu nie dają, czy to opowiadając rozwój uczuć wiośnianych („Nokturn”, „*L'art pour l'art*”), czy powtarzając podania fantastyczne („Legenda”), czy kreśląc krajobrazy i spostrzeżenia („Przechadzka”, „Noc w Sewilli”, „Tęsknota”), czy przedstawiając rojenia raczéj młodzieńcze o przygodach miłosnych, niżeli rzeczywiste przygody („Jak w bajce wschodniéj”). I tu wszakże znajdujemy tematy, w których naczelnym, a nawet jedynym motywem jest ból, cierpienie. Ale jakież ich artystyczne wcielenie? Weźmy np. pod uwagę „Nie-chopinowskie preludium”. Sytuacya jest taka. Literat, z rodzaju tych literatów, którzy w zarozumiałości swojéj, wynosząc się ponad tłum „filistrów”, wynoszą się zarazem ponad zasady moralności, bałamuci żonę filistrowi-kupcowi, poczciwemu, jak się zdaje, człeczynie, tylko niewygadanemu, łatwo dającemu się zbić z pantałyku. Nie jest to mąż ślepy; on widzi, co się dzieje, robi wymówki żonie, co więcéj, zapowiada jéj razu pewnego, że już daléj znosić nie będzie jéj stosunku do literata i z nim się rozmówi. Gdy przyszło do wykonania groźby, długo się biédak wahał, czy ma ją wypełnić, żałował, że się z tém wygadał przed żoną, ale ponieważ już cofnąć tego było niepodobna, z sumienności raczéj, aniżeli z żywego poczucia swojéj krzywdy, udaje się do mieszkania literata. Ten z bezczelnością, właściwą ludziom, którzy drwią z etyki, udaje, iż się nie domyśla celu wizyty, choć o niéj był przez żonę kupca a swoją kochankę uprzedzony, mówi jaknajgrzeczniéj o rzeczach obojętnych i tak dalece onieśmiela biédaka, że ten ani słowa z zamierzonéj groźby nie wykonywa, lecz owszem, dla upozorowania swych odwiedzin, prosi literata do siebie na obiad... Gdyby temat taki był obrobiony przez pisarza z temperamentem namiętnym, to dwojako mógłby być wykonany; albo ów filister, nie umiejący się wygadać, byłby wystawiony, jako sympatyczna ofiara przebiegłości kobiécéj i łotrowskiéj bezczelności literata, albo téż jako figura komiczna, wywołująca zachowaniem się swojém całe kaskady śmiéchu. U p. Hösicka ani jedno ani drugie nie ma miejsca. Scena cała opowiedziana jest spokojnie, rozważnie, jakby rzecz powszednia, niemal codzienna, jakby w niéj nie było zgoła motywu dramatycznego—i to w bardzo znacznym stopniu.

Weźmy inny przykład, gdzie już sam autor w sposób wyraźny przedstawia sytuacye tragiczne. Najobszerniejszą z prac beletrystycznych p. Hösicka jest „Opętany”, będący, jak sam autor określa, „analizą psychologiczną”. Są-to dzieje obłędu, wywołanego podejrzliwością. Uczony badacz historyczny, szczęśliwy dotąd małżonek

i ojciec, jedną uwagą gadatliwej ciotki o podobieństwie jego syna do br. Edmunda, zostaje zepchnięty w otchłań udręczeń, z których nie zwierza się nikomu, któremi się dręczy ustawicznie, aż wreszcie dochodzi do samobójstwa. Niewątpliwie, jest to temat bardzo dramatyczny, wysoko wzruszający. A jednak w obrobieniu p. Hösicka nie sprawia on silniejszego wrażenia, bo autor, jak się zdaje, nie wziął cierpień tego nieszczęśliwego w „pierś swą magnetycznie", ale je rozważał i malował na chłodno, spokojnie, bez wstrząśnień wewnętrznych, bez tego odczuwania agonii, jakie wielcy artyści miewają, doświadczając przy podobnych opisach sami—aż bólu fizycznego. *Si vis me flere flendum est ipsi tibi* — powiada klasyczna jeszcze maksyma, a ma ona zastosowanie nietylko w sprawach życia rzeczywistego, lecz i artystycznego także. Nieszczęśliwy maniak, opisany przez p. Hösicka, interesuje nas tylko, jako okaz patologiczny, a nie jako człowiek cierpiący, a jednostajność sytuacyi i niezbyt wielkie bogactwo spostrzeżeń, nad nim zrobionych przez autora, osłabia i owo czysto podmiotowe zainteresowanie.

Podobnie rzecz się ma z „Sonatą cis-moll Beethovena" i z „Wujaszkiem Olbrońskim". Poczucie zanikania wzroku w związku z przywiązaniem serdecznêm entuzyastycznego dziewczęcia na tle życia wielkiego artysty, mogłoby dostarczyć scen, odznaczających się najwyższą dramatycznością, gdyby traktowane było przez powieściopisarza z temperamentem namiętnym; u naszego autora widnieje zaledwie łagodny smutek, gdyż jest tu raczéj sprawozdawcą z dokumentów, odnoszących się do tego przedmiotu, aniżeli artystą, pogłębiającym wrażenia,ześrodkowującym efekty, jakich dostarcza mu życie i obserwacya objawów własnéj duszy. W „Wujaszku Olbrońskim" straszny żal po utracie żony, żal przechodzący w obłęd, zanadto jest trzymany w ogólnikach, a w dodatku zakłócają go szczegóły pospolite, niby to w sposób realistyczny do wielkiego dramatu wewnętrznego wplecione.

Stosunkowo najlepszym, ze względu na siłę, jest maleńki obrazek p. t.: „Śmierć Juliusza de Goncourt". Cierpienia, wywołane świadomością, że zanikają nietylko zdolności twórcze, ale nawet zwykła wrażliwość na to, co dawniéj zachwycało, że wpadamy w bezmyślność i odrętwienie ducha, są tu odtworzone, nie z największą, coprawda, możliwą potęgą artyzmu, lecz bądź co bądź z żywością i prawdą, jakich gdzieindziéj u autora nie napotykamy w tym stopniu. Widocznie ten rodzaj cierpienia najlepiéj autor nie tylko rozumie, lecz i odczuwa. Dodać przytém wypada, że miał wyborny potemu materyał w Dzienniku Goncourt'ów.

Ta właśnie okoliczność prowadzi nas do zaznaczenia drugiéj cechy zasadniczéj w fizyognomii pisarskiéj naszego autora. Fantazya jego jest żywą, obfitą, kolorystyczną, ale przyznać jéj należy przymiot odtwarzającéj raczéj aniżeli twórczéj. Istotnie we wszystkich jego pomysłach beletrystycznych mamy za punkt wyjścia albo obserwacyę i to nietyle ludzi i ich stosunków, ile otoczenia, natury i t. p., albo podania i legendy, albo wspomnienia i świadectwa piśmienne. Krajobrazy, nakreślone przez p. Hösicka, prawdopodobnie pod bezpośredniem wrażeniem, jak to zaznaczył on sam w jednem miejscu („Samotność", str. 190), należą do najlepszych części jego utworów, a jeden z opisów (żywe reklamy na bulwarach paryskich) może nadługo zostać w pamięci czytelnika. Większość tematów, jakieśmy dopiéro co przejrzeli, ma swe źródło we wspomnieniach samego autora, lub téż w dokumentach drukowanych. Tam, gdzie fantazyi dowolnie bujać p. H. pozwala, jak np. w głównéj treści opowiadania p. t.: „Jak w bajce wschodniéj", okazuje najbardziéj swe słabe strony zarówno w obrazowaniu uczuć, jak szczególniéj w dyalogach. Znać to nawet w studyach literackich. Gdzie autor ma twardy grunt pod sobą złożony z listów, wspomnień, wzmianek i t. p., tam czuje się swobodnym i pewnym siebie, a opowiadanie jego bardzo umiejętnie zmozajkowane z całego szeregu najróżnorodniejszych świadectw, zadawalnia pod względem artystycznym. Ale gdzie obrał formę rozmowy, zmuszającéj do wypowiadania spostrzeżeń i uwag, niezawsze mogących być popartemi jakiémś wyrażeniem znamienném z dokumentów; tam znajdujemy bledszy koloryt, mniejszą sprężystość i gibkość myśli. Stosuje się to mianowicie do artykułu: „Słowacki i pani Bobrowa", który w stosunku do osiągniętych w nim rezultatów i rozwlekłym jest i mało charakterystycznym. Mniéj wad znajdujemy w „Beatrix Cenci", gdzie dyalog posiada dużo werwy, a wymiana myśli pomiędzy rozmówcami lepiéj rzeczywiście przyczynia się do uwydatnienia różnorodnych poglądów, jakie w sprawie wpływu Shelleya na Słowackiego wypowiedzieć można. Dodać potrzeba, że dyalog ten, drukowany pierwotnie w „Ateneum", ukazuje się w książce zupełnie przerobionym i to w sposób ze wszechmiar dodatni. Szczegół ten może służyć za najlepszy dowód postępu, jaki p. Hösick w przeciągu lat kilku w zakresie badań historyczno-literackich uczynił, pierwotny zarys miał dużo stron słabych mianowicie z powodu braku uwydatnienia cech charakterystycznych, znamionujących osoby rozmawiające; obecnie studyum, jakkolwiek nie osiągnęło wielkiéj wyrazistości rozmówców, ale im włożyło w usta argumenty odmienne, tak, że dyskusya przestała być wykładem, posiekanym na dyalog (jak

to jest w artykule p. t. „Słowacki i pani Bobrowa"), lecz ma cechy istotnego ożywienia, istotnéj wymiany myśli.

Z tego by wynikało, że p. H. ma raczéj uzdolnienia w kierunku badawczym, aniżeli twórczym. Stara się on połączyć ścisłość badania z powabném przedstawieniem jego wyników. Że talent krytyczny posiada w znacznym stopniu, udowodnił to rozprawą ściśle krytyczną p. t. „Dwie uczty", w któréj znaną i głośną sprawę improwizacyi Mickiewicza i Słowackiego w dniu 25 grudnia 1840 r., wraz z jéj następstwami roztrząsnął i ustalił pewne zawiłe, a dotychczas bałamutnie przedstawiane kwestye. W mniejszym stopniu wyczerpującym, ale śmiałą hipotezę zawiérającym, jest artykuł o „Hrabinie Idalii", gdzie wbrew dotychczasowemu twierdzeniu, iż kreśląc tę postać, miał Słowacki na myśli Delfinę Potocką, utrzymuje i stara się udowodnić, że była nią raczéj pani Bobrowa. Przytoczył w tym względzie dużo trafnych spostrzeżeń i byłby może zwycięsko tezy swéj dowiódł, gdyby starał się był rozjaśnić pytanie: jakim sposobem człowiek, „wściekle" zakochany w pewnéj kobiécie, chociażby nim był tak kapryśny poeta, jak Słowacki, mógł pomyśléć o wystawieniu téj kobiéty w świetle komiczném właśnie w czasie, kiedy się jeszcze kochał. Że drwił z dawniejszych miłości swoich, to jeszcze nie dowód, bo drwił wtedy, gdy już kochać się przestał; ale potrzebaby innego całkiem umysłu, aniżeli Słowackiego, ażeby w chwili największego zajęcia się uwielbianą kobiétą, czynić z niéj karykaturę—bardzo poetyczną, bardzo subtelną, jedyną może w swoim rodzaju,—ale zawsze karykaturę. Przytém jedna uwaga. P. Hösick, mówiąc o odtwarzaniu postaci poetycznych w poezyi, zdaje się być tego mniemania, że poeta przenosi wszystkie cechy rzeczywistości do swéj fikcyi. Ależ tak robią tylko pamfleciści, a u poetów takich, jak Słowacki, następuje przetworzenie rysów wziętych z rzeczywistości, a dostrojonych do pomysłu poetyckiego.

Nieodróżnianie tych dwu dziedzin poprowadziło p. H. do posługiwania się słowami z utworów poetyckich, wziętemi tam, gdzie pragnął dać obraz osoby lub uczucia, które przypuszczalnie były wywołane lub nasunięte przez rzeczywistość. Zrobił to w pracy o „Pierwszéj miłości Zygmunta Krasińskiego", którą téż słusznie nazwał nowelą historyczno-literacką, a nie studyum. Zadużo tam bowiem wyjątków z „Irydyona" i „Niedokończonego poematu" dla scharakteryzowania stosunków Zygmunta do p. Bobrowéj; zadużo tam fantazyi dopełniającéj, ażeby wszystkie szczegóły, przedstawione przez autora, poczytywać za autentyczne. Surowsze oddzielenie fikcyi od rzeczywistości jest rzeczą w pracach krytycznych niezbędną, ażebyśmy nie popadli w dawną felietonową dowolność krytyków takich, jak np. Lucyan Sie-

mieński. Dobrą i potrzebną jest barwność i plastyka w przedstawieniu rezultatów poszukiwań badawczych, ale same te poszukiwania muszą być z całą ścisłością naukową prowadzone, ażeby módz istotnie „wyłamać prawdę” ze wszystkiego, co ją w sobie mieści, lub co ją nawet przed nami zakrywa.

Styl naszego autora lubuje się w pełni, a unika ucinkowości. Budowa okresowa jest mu ulubiona i nadaje wielu ustępom cechę retoryczności. W zarysach historyczno-literackich jest ten styl na swojém miejscu, chociaż może tu i owdzie wołałoby się trochę więcéj urozmaicenia; ale w pracach beletrystycznych przeszkadza on żywości, czyni opowiadanie ciężkiém, podobném do rozprawy, tam zwłaszcza, gdzie okres czasami pół stronicy ściśle zadrukowanéj obejmuje. W każdym razie jesto styl staranny, świadczący dobrze i o studyach autora i o téj dbałości, ażeby czytelnikom podawać nie pierwszy lepszy wyraz swych poglądów, jaki na myśl przyjdzie, lecz rzecz obmyślaną i opracowaną. Język jest tu wogóle czysty i poprawny; wytknąćby mu tylko można tu i owdzie troszeczkę za wielkie lubowanie się w wyrażeniach cudzoziemskich, gdzie one nie są konieczne, daléj używanie wyrazu „znajdować” w znaczeniu francuskiém czy niemieckiém, zamiast: „uważać”, „poczytywać” i t. p., oraz tak zwany *accusativus tromtadraticus*, t. j. posługiwanie się biernikiem po słowach czynnych z przeczeniem. Są to usterki drobne i dość rzadko napotykane: wspominam o nich dlatego jedynie, ażeby pobudzić autora do jeszcze większego starania o poprawność i czystość, tak, jak poprzednio wskazane usterki pod względem treści miały na celu zwrócenie uwagi jego na potrzebę większéj ścisłości w użyciu barw do odtworzenia stosunków rzeczywistych i większego ześrodkowania efektów przy odtwarzaniu postaci, scen i sytuacyi, ażeby przysłużyć się literaturze nietylko powabnemi, łatwo dającemi się czytać studyami, ale także trwałym dorobkiem w osiągnięciu możliwego stopnia prawdy o naszych wieszczach.

P. Chmielowski.

„Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich”. Zebrał i opracował Samuel Adalberg. Warszawa. Druk E. Skiwskiego, 1889 — 1894, w 8-ce wielkiéj, stron XVIII + 32 + 805. Wydanie z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia d-ra Józefa Mianowskiego.

Maciéj Osostewicius Stryjkowski, wydając w r. 1582 w Gdańsku słynną swoją „Kronikę polską, litewską i t. d.”, napisaną z rozmaitych aż do owego czasu „ciemno-chmurną nocą zakrytych źródeł, w samym nagłówku karty tytułowéj zalecił ją słowami: „Która przedtém nigdy

światła nie widziała". Takiemi też słowy można się dzisiaj z zupełną słusznością wyrazić o wielkiéj „Księdze przysłów polskich", przez pana Adalberga wydanéj. Mieliśmy dotychczas, począwszy od dzieł Salomona Rysińskiego (1618) i Grzegorza Knapskiego (1623), rozmaite zbiory przysłów, specyalne z nich wyciągi i późniejsze wydań pierwotnych przedruki; całkowitego jednak skarbca przysłów, jedną księgą objętych i umiejętnie ułożonych, dotąd literaturze naszéj brakowało. Zadanie uczynienia zadość téj z wielu względów ważnéj potrzebie piśmiennictwa polskiego podjął był przed jedenastu laty p. Adalberg, i dziś, po długiéj a mozolnéj pracy, po przełamaniu wielu towarzyszących jéj trudności, rzecz zamierzoną do skutku doprowadził, wydawszy na świat dzieło okazałe, o 50-ciu kilku arkuszach druku w wielkiéj 8-ce, dzieło ogólnego pożytku, rzetelnéj i trwałéj wartości.

Prawdziwy ten skarbiec przysłów, z wszelkich źródeł, tak drukowanych jak i rękopiśmiennych zebrany i systematycznie uporządkowany, pod względem dokładności i umiejętnego opracowania może stanąć obok najznakomitszych dzieł w powszechnéj literaturze przysłowioznawczéj; co więcéj, w opracowaniu pewnych szczegółów (jak: odmianki przysłów, cytaty i odsyłacze) przewyższa nawet znane dzieło K. F. Wandera *Deutsches Sprichwörterlexicon* w 5-ciu tomach (Lipsk 1867—1880), słusznie pomnikowém nazwane.

Księga, o któréj mówimy, zawiéra blisko 30 tysięcy przysłów polskich, nie licząc odmianek przysłowiowych, których liczba ze 40 tysięcy wynosi. W tak olbrzymim zbiorze rzeczą pierwszorzędnego znaczenia ze względu na praktyczny cel książki, być musi sama metoda układu. Do zbiorów przysłów stosowano u nas zwykle albo układ ich abecadłowy podług pierwszéj głoski przysłowia, albo też system, zwany „filozoficznym", t. j. porządkowano przysłowia podług sensu moralnego i tendencyi w nich zawartéj. Zastosowanie jednak obu tych metod ani jest właściwe, ani w praktyce dogodne. Drugi szczególnie system zależnym się staje od subiektywnego poglądu i zapatrywania samego układacza i prowadzi zwykle do różnych działów i poddziałów dowolnych, w których odnalezienie pewnego przysłowia nieraz bywa wprost niemożliwe.

P. Adalberg też przyjął w swéj księdze sposób układu inny, czysto przedmiotowy, zależny od treści przysłowia i w praktyce najdogodniejszy. Polega on na szeregowaniu przysłów w porządku abecadłowym podług wyrazów głównych, które stanowią jądro przysłowia, czyli do których treść całego przysłowia się odnosi. Tak np.

przysłowie: „Mądréj głowie dość dwie słowie” szukać należy pod wyrazem „głowa”; przysłowie: „Dopiéro w dudki, kiedy czas krótki” — pod wyrazem „czas”; „Z jednego drzewa krzyż i łopata — pod wyrazem głównym „drzewo” i t. p. Jeżeli zaś przysłowie zawiéra dwa wyrazy główne, lub więcéj, to znajduje się ono pod pierwszym z tych wyrazów; np. przysł. „Kiedy się pan śmieje, cały dwór wesoły” umieszczono pod wyrazem „pan” i t. p.

Trudności zaś, mogące się nastręczyć przy szukaniu jakiegoś przysłowia pod jego wyrazem głównym, ułatwia dodany przez autora bardzo starannie ułożony „Skorowidz” (str. 711 — 805), zawierający wyrazy w abecadłowym porządku, a przy nich szeregi odsyłaczy, do tekstu saméj księgi. Takich wskaźników wyrazowych w „Skorowidzu” mamy do 40 tysięcy. Wskutek tego układu, jeżeli pewnego przysłowia nie znajdziemy odrazu pod odpowiednim wyrazem w szeregu uporządkowanych przysłów w saméj księdze, to skorowidz wskaże nam, w jakiém miejscu, t. j. pod jakim wyrazem głównym i liczbą, przysłowie szukane się znajduje. Nadto przy pomocy skorowidza łatwo dowiedzieć się możemy, w jakich przysłowiach i ile razy pewien wyraz został użyty. Tak np. pod wyrazem „Bóg” na właściwém miejscu w tekście księgi mieści się 444 przysłowia, odnoszące się do tego wyrazu, a oprócz tego innych jeszcze przysłów, po całéj księdze rozsianych, a wzmiankujących o Bogu, jest jeszcze 380 i te wskazane są odsyłaczami skorowidza.

Oprócz zbioru samych przysłów w „Księdze” znaczna ich liczba, mianowicie zawilsze, lub dotychczas błędnie objaśniane, zostały tu należycie pod względem znaczenia wyłożone. Nadto obok wielu przysłów, zapisanych w formie powszechnie znanéj, zamieścił autor i różne ich odmianki, bądź z innego czasu, bądź z innéj okolicy kraju pochodzące, lub też podane w formie wyłącznie przez lud używanéj. Przysłowia kaszubskie liczbę ostatnich znacznie pomnażają.

Sam zbiór przysłów poprzedzony jest obszernym „Wstępem” (str. I—XVIII), przedstawiającym w zarysie dzieje saméj pracy i sposób jéj układu; następnie przywiedzione „Źródła”, czyli obszerna bibliografia, przysłów polskich dotycząca, w któréj autor wymienia w porządku abecadłowym książki i rękopisy cytowane w swém dziele (str. 1—20), oraz prace, w jakikolwiek sposób dla księgi przysłów spożytkowane (str. 20—31).

Po bliższém poznaniu dzieła, po rozejrzeniu się w jego układzie i w opracowaniu szczegółów, nabiéra się przekonania, że autor „Księgi przysłów” z przedsięwzięcia swego wywiązał się znakomicie. Ca-

łość dzieła przy wielkim nakładzie pracy wykonana jest sumiennie i z należytą rzeczy znajomością. Okazała szata zewnętrzna (druk E. Skiwskiego) odpowiada téż wewnętrznéj dzieła wartości. Krótko mówiąc, „Księga", obecnie na światło wydawana, obejmująca skarbiec przysłów całego narodu, należy do najwybitniejszych dzieł w literaturze polskiéj doby obecnéj; a dodać należy, że i za lat sto i dwieście nie wiele straci ze swojéj istotnéj wartości.

Ant. Ad. Kryński.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Wiktor Gomulicki.* **Złote ogniwa.** Powieść, 2 tomy (Warszawa, Teod. Paprocki, 1895, str. 318, 294). — Jeden z najświetniejszych wirtuozów w naszéj poezyi spółczesnéj, autor prócz tego licznych szkiców z życia warszawskiego i nowel odznaczających się zawsze pięknem obrobieniem, choć niezawsze trafną psychologią, występuje obecnie poraz pierwszy, o ile pamiętam, jako powieściopisarz. Wejście to do dziedziny dotychczas przez siebie nieuprawianéj, musiało się uwydatnić pewnemi brakami kompozycyi, jakąś nieumiejętnością w rozsnuwaniu harmonijnie rozmaitych motywów w grę wprowadzonych. Istotnie, „Złote ogniwa” — to nie powieść jednolita, w któréjby wszystkie osoby należycie, stosownie do roli, jaką mają odgrywać, były rozwinięte, w któréjby sceny wywijały się w sposób naturalny z punktu obranego przez autora; lecz raczéj szereg sylwetek, szereg obrazków, mniéj lub więcéj dobrze wykonanych, które w dość przymuszony sposób składają się na jaką-taką całość. Są tu rozdziały, które mogłyby bez szkody dla powieści zupełnie być opuszczone, jak np. rozdział VI w tomie II, poświęcony rozpatrzeniu położenia kobiéty zmuszonéj zarobkować. Wygląda on jak artykuł publicystyczny ze szpalt pisma codziennego lub tygodniowego przeniesiony do powieści — i to całkiem niepotrzebnie, gdyż autor nie stwierdza akcyą tego, co utrzymuje teoretycznie; owszem, za pomocą *deus ex machina*, przezwanego Albertem Wolskim, bardzo rychło i bardzo łatwo wydobywa z kłopotu kobiéty zarobkujące i pozwala im oddać się marzeniu i próżnowaniu. Kwestya zarobku kobiét zjawia się tutaj jako rzecz zupełnie przypadkowa i podrzędna, tak, że nie wiadomo po co powieściopisarz tyradę pełną antytez w stylu Micheleta wyszafował. — Jaka jest myśl zasadnicza utworu? Złotemi ogniwami nazywa p. Gomulicki miłość łączącą ludzi w stadła szczęśliwe, które wydać mogą jednostki zdrowe fizycznie i moralnie, pożyteczne dla siebie i dla społe-

czeństwa. Zerwanie tych ogniw okazuje się wielce szkodliwém, jakkolwiek następstw jego nie chce autor rozwijać w duchu pesymistycznym, nie uważa ich zatém za naprawić się nie dające. Kochało się przed laty ludzi dwoje; odpowiadali sobie sercem, umysłem, duszą, położeniem towarzyskiém. Mężczyzna przez fatalną pomyłkę, przypominającą bardzo żywo „Emmelinę i Arnolfa" Rautenstrauchowéj z roku 1821, poczytał pannę za lekkomyślną i przewrotną, zwrócił pierścionek i ożenił się bez miłości; panna zaś wyszła za mąż prawdopodobnie także bez miłości. Z małżeństwa Borowskiego urodził się Zygmunt, będący wcieleniem sceptycyzmu i pesymizmu, książkowiec zatopiony w posępnych teoryach i marzeniach, nie znający życia, lecz lekceważący je i potępiający. Argumenty starego doświadczonego filozofa Dębickiego (dziwnie przypominającego i nazwiskiem i sposobem dowodzenia podobnegoż filozofa w „Emancypantkach" Prusa) wcale nań nie oddziaływają, ma on na nie przeciwdowody, które przedmiotowéj krytyki wytrzymać wprawdzie nie mogą, ale dla niego samego są zupełnie wystarczające. Trapiony myślą, że nawet po śmierci nie można się pozbyć świadomości—przynajmniéj czas jakiś — dość niekonsekwentnie chwyta rewolwer, ażeby sobie w ustronném miejscu w lesie życie odebrać przed wschodem słońca; lecz przeszkadza mu w tém dziewczę żywe i wesołe, córka narzeczonéj niegdyś starego Borowskiego, Lunia, która pokochała dziwaka i wywiera nań wpływ hypnotyczny. I o, dziwo! Zygmunt odrazu czuje się uleczonym — pesymizm ucieka od niego na cztery wiatry. Ach, gdyby to recepta p. Gomulickiego była skuteczna na prawdę! Toż hożych i ładnych dziewcząt nie brak nam chyba — więc i pesymistów miećbyśmy nie powinni... Z drugiego stadła, prócz téj cudownéj lekarki pesymizmu urodziła się jeszcze Wanda, która weszła do grona emancypantek, zajmowała się naukami przyrodniczemi, ale nie odczuwała zadowolenia, a tém mniéj szczęścia, dopóki nie odszukała przypadkowo serca w zdrowym i wesołym, choć niezbyt wykształconym szlachcicu, za którego ma wyjść za mąż. Autor dużo drastycznych scen z rozmów i życia emancypantek warszawskich nakreślił, ale potępiając obyczajowe wyuzdanie, bynajmniéj nie gani oddawania się nauce, gdyż jego Wanda swemi wiadomościami nad wszelkie spodziéwanie czytelnika, źle względem niéj uprzedzonego, wielce pomocna będzie w reorganizacyi gospodarstwa rolnego. I tu zatém miłość cudów dokazała. O mało co autor rozpędziwszy się w tym kierunku nie skojarzył trzeciéj pary ze zdechlaczka Alberta Wolskiego, który wszelkiego rodzaju używaniem nadwerężył sobie zdrowie, z wesolutką jak ptaszek, lubo głęboko czującą Helenką. Szczęściem zatrzymał się

w porę. Małżeństwo Alberta będzie tylko ostatnim dobrym uczynkiem, zapewni Helenie i jéj matce dostatki, bez obowiązków, gdyż biédak zapewne po dopełnieniu ceremonii umrze. Nie chciał p. Gomulicki kończyć swéj powieści tak smutnie, więc umieścił w ostatnim rozdziale opis wesela pary komicznéj w swoim utworze, pana Rurki i panny Dudzieńskiéj, którym drużbują dwie wyżéj wspomniane pary narzeczonych. Nie brak więc rozmaitości „Złotym ogniwom", nie brak też dobrze zaobserwowanych szczegółów, nie brak szczęśliwych pomysłów, do których liczę postać staréj entuzyastki w wilię zgonu, list Zygmunta do Alberta, opis zabaw na Saskiéj Kępie; — lecz brak skupienia, brakześrodkowania efektów powieściowych, brak konsekwencyi w rozwinięciu postaci głównych, brak ustosunkowania między tém, co ważne, a tém, co podrzędne. Zbyt znaczny atoli ma p. Gomulicki talent, ażeby w dalszych utworach nie mógł braków tych zapełnić.

— *Franciszek Molicki.* **Najnowsze bartnictwo dla uczniów i uczennic wszystkich pszczelarzy i pszczelarek.** Warszawa, 1895. Nakład autora. — Od czasów najdawniejszych bartnictwo i miodosytnictwo było jednym z głównych przemysłów naszych pra-pradziadów; i dziś jeszcze ta gałąź tradycyjna uprawia się z wielkiém zamiłowaniem w ziemiach naszych, a w literaturze polskiéj nie brakło krótkich podręczników, dających wskazówki do racyonalnego pszczelnictwa. Wspomnę tu naprzykład o znanych książkach pp.: Lewickiego, Ciesielskiego i innych. Prawie wszystkie jednak te dziełka uwzględniały przeważnie stronę teoretyczną i były zbyt pobieżne w kwestyach praktycznych. Praca Molickiego jest wynikiem kilkunastoletniego doświadczenia, jest dziełem człowieka, który z zamiłowaniem przeléwa na papiér zarówno wynik własnych spostrzeżeń, jak i wiadomości, nabytych z książek, ale sprawdzonych mozolném doświadczeniem, również jak i swoje pomysły, medytacye, próby i wskazówki praktyczne. Nietylko więc książka ta jest, o ile mi wiadomo, najobszerniejszą i najbardziéj wyczerpującą ze wszystkich, wydanych dotychczas po polsku, ale zdaje mi się, że i najpraktyczniejszą, jedną z tych rzadkich, która bierze, że tak powiem, za rękę początkującego, lub mniéj doświadczonego pszczelarza i prowadzi go po wszystkich zakątkach téj umiejętności, przewiduje wszystkie możliwe trudności i niespodzianki, zapobiega wszelkim nieporozumieniom. Znajdzie tu czytelnik i szczegółową anatomię pszczoły i jéj zwyczaje; w rozdziale pod napisem „Przyroda pszczoły" znajdujemy obszerną historyę naturalną tego owadu, sposób lepienia plastrów, rozmnażania, rojenia się, całą tę zawikłaną a tak ciekawą socyo-

logię pszczelego rodu, wpływy rozmaitych czynników na wykształcenie czerwi i, jeśli wolno tak rzec, pedagogikę tych owadów, uszkodzenia czerwia i wady matek, rojenie się i rozmaite przytém przeszkody, opisanie pracy roju, zimowania pszczół i teoryę téj zimowli; niebezpieczeństwa, zagrażające w zimie i środki ich usunięcia, choroby czerwia i roju; produkta wytwarzane przez pszczoły, szkodniki i nieprzyjaciele pszczół — jak ptaki niszczące je i rozmaite rabusie, odbierające owoce ich pracy, pasorzyty, gnieżdżące się w ulu i t. p. W tym samym rozdziale traktuje autor i botanikę bartniczą, opisując rozmaite rośliny, ważne dla bartnika, oraz wskazówki co do ich uprawy, rośliny szkodliwe dla pszczół. Cały ten rozdział, grzészący nieco pod względem ugrupowania materyału, obejmuje 120 str. i jest obficie zaopatrzony w rysunki, które jednak, niestety, wiele pozostawiają do życzenia pod względem technicznym. Sama obfitość rycin, bardzo ważna i pożądana w podobném dziele, niekiedy jednak posunięta jest do zbytku; sądzę np., że nie ma wieśniaka i wogóle człowieka, przystępującego do bartnictwa, któryby nie wiedział, jak wygląda wiérzba, malina, jabłoń, lipa, akacya i t. p., pomijając już, że takie rysunki, jakie są umieszczone (z których niektóre wydają się nam wprost wątpliwemi), nie mogą dać o tém pojęcia. Czy nie lepiéj byłoby zmniejszyć ilość na rzecz jakości? Trzeci rozdział, a właściwiéj dział, ma za tytuł: „Rys historyczno-krytyczny wszystkich (?) wynalazków w dziedzinie pszczelnictwa”. Znajdujemy tu prócz krótkich wiadomości historycznych o bartnictwie wogóle, a w szczególności w naszym kraju, przegląd krytyczny najrozmaitszych systemów ulów — przegląd zbyt może przeciągnięty, w którym wszystkie dostają mniéj lub więcéj surową odprawę, a najgorzéj pono dostaje się ulom Lewickiego. Dział ten kończy kilka ustępów, dotyczących literatury bartniczéj, szkół tego przedmiotu, wreszcie wiadomości o głośniejszych bartnikach dawniejszych czasów. Pomimo jednak, iż istnieje nagłówek: „Dzieła i książki treści bartniczéj”, nie znajdujemy nigdzie nietylko zadawalniającego przeglądu literatury tego przedmiotu, ale chociażby wyliczenia polskich i obcych podręczników. Gdyby nie luźne wzmianki przy krytyce ulów, o książkach Lewickiego (str. 177), lub Ambrożewicza (str. 185), czytelnik gotów pomyśléć, że dzieło p. Malickiego jest pierwszém w zakresie bartnictwa. A przecież przegląd tego, co dokonane zostało przez jego poprzedników, stanowi pierwszy obowiązek każdego, kto podéjmuje się pracy naukowéj. Dwa pozostałe działy, obejmujące więcéj, niż połowę książki (a więc przeszło 200 str.), zawiérają już materyał bezpośrednio praktyczny — wskazówki, rady i przepisy, dotyczące budowy, najlepszych zdaniem

autora i najtańszych ulów jego pomysłu i niektórych innych niezbędnych narzędzi, oraz metody gospodarowania w tych ulach. Ule p. Molickiego — opisuje on kilka systematów: inne dla wprawnych i wykształconych bartników, inne dla włościan lub dla amatorów niewykształconych w bartnictwie —są słomiane, bardzo tanie istotnie i łatwe do zrobienia dla każdego. Autor szczegółowo opisuje sposób splatania warkocza słomianego, zwijania go, zbijania kołkami, objaśniając cały proceder przy pomocy licznych rysunków, opisując i rysując wszystkie części oraz narzędzia, niezbędne do ich fabrykacyi i t. p. Dział piąty p. t.: „Sztuczna hodowla pszczół", obejmuje wreszcie szczegółowe przepisy i wskazówki, dotyczące gospodarstwa pszczelnego, sposoby urządzenia pasiek, zapobiegania rozmaitym plagom, które spaść na nie mogą (jak np. rabunku i bitw pszczół), wyrabiania i użytkowania sztucznéj woszczyny i inne nowsze udoskonalenia i wynalazki. O wartości tych dwóch ostatnich działów sądzić najlepiéj mogą specyaliści bartnicy. Ze swojéj strony zauważymy, że nie uważamy za wadę książki tego, iż jest słabo opracowana pod względem literackim — dotyczy to i układu całości i pojedyńczych ustępów; wolelibyśmy zapewne, aby usunięte były w następnych wydaniach niektóre, zbyt ryzykowne twierdzenia, pochodzące stąd, iż autor wkracza w obce dla siebie dziedziny, jak np.: „Nader skutecznym środkiem, który może działać na powiększenie białych ciałek krwi, a równocześnie wywiérać zabójczy wpływ na rozrost bakteryi jest jedynie miód. Rzeczone zaś działanie miodu... zawdzięcza on kwasowi mrówczanemu i olejkom eterycznym, wchodzącym w skład miodu" (str. 85) i t. p. Przy ocenie dzieła p. Molickiego należy pamiętać przedewszystkiém że jest ono wynikiem samodzielnéj pracy, obserwacyi i doświadczenia, oraz owocem prawdziwego zamiłowania do przedmiotu; dlatego téż stawiamy je pomimo usterek i niedokładności, wyżéj od wszelkich stylistycznie opracowanych kombinacyi lub wypracować literackich, któremi niekiedy staramy się zapełnić luki naszéj literatury. Pomimo zaś braku systematyczności w planie, czytelnik łatwo oryentuje się w książce, dzięki częstym nagłówkom. Jeden jest brak ważny w tym względzie—to brak bardziéj szegółowego spisu rzeczy. *W. M. K.*

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kraj niespodzianek politycznych. — Tragedya i karykatura. — Casimir-Perier. — Okres ostatni. — Brak kryteryum i ewolucya. — Stara i nowa demokracya. — Autorowie mierni, utalentowani i oryginalni. — Ich losy. — Reklama. — Sudermann i jego dramaty. — „Walka motyli". — Cenzura zagraniczna. — Sesya rady gospodarstwa wiejskiego.

Francya słynie w świecie jako kraj niespodzianek politycznych. W połowie zeszłego miesiąca stała się tam właśnie jedna z tych niespodzianek, która zaskoczyła i zaniepokoiła Europę. Prezydent rzeczypospolitéj, Casimir-Perier, złożył swoją dymisyę z najwyższego urzędu republikańskiego, na który go wybrano w krytycznéj chwili po śmierci Carnota, przed pół rokiem. Perier uchodził niedawno za jednego z najstalszych i najsilniejszych mężów politycznych w swoim kraju, który od stu pięciu lat posiada przywiléj szybkiego wydobywania z łona społecznego wielkiéj liczby umysłów i charakterów politycznych, i nie mniéj szybkiego ich zużywania. Stosunek między temi dwiema czynnościami nie odpowiada nawet prawidłowéj proporcyi; hydra polityki połyka daleko więcéj ludzi, niż ich może dostarczyć Francya, jeżeli mówić naturalnie będziemy o ludziach odpowiedniego i wyższego gatunku, nie przyjmując za maksymę bardzo powszechnego hasła ostatniéj epoki, że ludzi niezbędnych nie ma, że geniusz jest niepotrzebnym przesądem i że każdéj chwili może być zastąpiony. Za pierwszéj rzeczypospolitéj ta hydra w postaci gilotyny zdołała uprzątnąć większość trybunów i przywódców rewolucyjnych tego potężnego momentu, tak płodnego w charaktery; za trzeciéj przybrała na siebie

postać skandalu, potwarzy i łapówki i spycha do przepaści ludzi dziesiątkami i setkami. Sto lat temu nad zdumioną i przerażoną ludzkością przeleciał huragan wielkich idei i wielkich zwycięstw, szczytnych poświęceń i straszliwych okrucieństw; teraz przed naszemi oczyma płynie potok codziennych namiętności, w którym toną winni i niewinni. Zewnętrzny charakter tamtéj epoki odpowiadał tragedyi; zewnętrzny charakter dzisiejszéj—karykaturze. Należy powiedzieć „zewnętrzny", bo byłoby niesprawiedliwością wyrokować już teraz, która wyłoni z siebie treść bogatszą. Sądy współczesnych wynikają przeważnie z okoliczności zewnętrznych, i musiałyby posiadać wielką przenikliwość, ażeby ostały się wobec przyszłości, która zadanie ma ułatwione, bo zna fakta w całym ich przebiegu, analizując je spokojnie, kiedy my zaledwie znamy ich początek lub kontury, i to te przedewszystkiém, które uderzają nas swoją jaskrawością.

Casimir-Perier nie zajmie w historycznéj galeryi francuskiéj miejsca ani obok Guizot'a lub Thiers'a, ani tém bardziéj obok Mirabeau lub Gambetty. Uchodził on za wybitnego przedstawiciela burżuazyi, a raczéj plutokracyi. Połączone ataki radykalistów i socyalistów, powtarzane od czerwca z wielką energią, obrażliwe także dla osobistych uczuć prezydenta, zdecydowały go do rezygnacyi ze stanowiska, ku wielkiemu zgorszeniu całéj zachowawczéj Europy, oraz jego stronników i wyborców, poczytujących tę dymisyę za opuszczenie stanowiska w krytycznéj chwili. Perier zdawał się posiadać więcéj ambicyi, niż siły; był raczéj imponującym przedstawicielem wyższego mieszczaństwa, niż konsekwentnym mężem stanu. Z upodobań, według felietonistów paryskich, był dyletantem, a polityka jest przedmiotem fachowym, o czém dyletanci polityczni wszystkich krajów i narodów pamiętać powinni.

Rzeczpospolita wyszła szybko z przesilenia, według litery konstytucyi, i nazajutrz po urzędowym komunikacie Perier'a, 16-go stycznia, Francya już miała nowego prezydenta w osobie Feliksa Faure'a.

Możnaby nad tym wypadkiem przejść również szybko do porządku dziennego, zauważywszy, że odtąd Francya, oprócz przesileń ministeryalnych, może podlegać i przesileniom prezydyalnym, i że Perier dał początek nowéj procedurze pod tym względem, gdyby sytuacya polityczna, któréj wyrazem były wypadki styczniowe, nie sięgała głębiéj i nie miała dość znaczącego charakteru społecznego.

Od lat kilku, mniéj więcéj od r. 1887, kiedy odkrycie handlu oznakami legii honorowéj, prowadzone przez Wilsona, zmiotło Grévego z powierzchni publicznéj, korupcya sfer prawodawczych i poli-

tycznych, była ciągłym przedmiotem skandalu i zdążyła pogrzebać moralnie większą część działaczy trzeciéj rzeczypospolitéj. Kulminacyjnym punktem tego ciekawego, pod wielu względami, okresu była sprawa panamska, istotna katastrofa. Polityczny i dziennikarski świat, prawodawcy i publicyści, a więc ci, dla których dobro ogólne ma być najwyższém prawem, sprzedawali to dobro, kumali się z aferzystami i kryminalnemi egzystencyami. Zdemaskowanie ich i strącenie z piedestału poczytuje wielu za dodatnią cechę stosunków publicznych. Tam — mówią — gdzie każda skaza, obciążająca działacza społecznego, jest ujawnioną, a kara go tém skuteczniéj i doraźniéj dosięga, im wyższy zajmuje stopień w hierarchii politycznéj, tam istnieć musi odwaga obywatelska i dobrze funkcyonować sumienie powszechne. Obok zupełnie zbrukanych Wilsonów, Herzów i Reinachów, obok zaćmionych Freycinet'ów i Floquet'ów jaśnieją czyste sylwety Brisson'ów i Cavaignac'ów. Zapewne, można ich Francyi powinszować i uznać wartość instytucyi, które nie zasłaniają winowajcy. Ale zapytajmy—cóż daléj? Przecież główném zadaniem funkcyi publicznych nie może być systematyczne prawie odkrywanie nadużyć, kontrolowanie ministrów i deputowanych przy nieustannych okrzykach opozycyi: „precz ze złodziejami!“ Przecież te masy wielkie, które dziś, jak i zawsze, muszą mieć swoich bogów i bohatérów, dotykane są chyba bardzo boleśnie i gorsząco. Któryś z historyków, zastanawiając się nad potwornemi rządami Robespierre'a, dochodzi do wniosku, że tylko siła przekonań i nieskazitelna prawość uczyniły z niego władcę tłumów, bo trzeba być prawym, ażeby je ująć.

I niewątpliwie, te systematyczne prawie od lat kilku skandale parlamentarne więcéj się przyczyniły do zdyskredytowania i zniesławienia organizacyi politycznéj we Francyi, niżby tego dokazać potrafiła najżarliwsza propaganda. Ostatni gabinet francuski upadł przy dyskusyi nad gwarancyą rządową dla kolei południowych: chodziło o niewyraźną redakcyę tych gwarancyi, mianowicie, na jak długo rząd poręczał dochody towarzystw kolejowych? Rada stanu rozstrzygnęła kwestyę na rzecz towarzystw, ale krańcowa opozycya w gwałtownym odwecie obaliła rząd i podminowała stanowisko prezydenta rzeczypospolitéj. Gabinet był obcy umowie, zawartéj z towarzystwami przed kilkunastu laty i prawdopodobnie bronił interesów państwa, ale tradycye podejrzliwości i zepsucia ciążą widocznie w politycznéj atmosferze paryskiéj, nie pozwalając, w ostatnich czasach, skrystalizować się powadze moralnéj żadnego rządu. Opozycya krańcowa wojuje ciągle fatalném widmem Panamy i zwycięża.

Najjawniejsza więc kontrola funkcyi politycznych nie jest już dla Francyi dostateczną rękojmią postępu i spokoju, gdyby nawet gdzieindziéj była wystarczającą i doskonalą. Na stosunki każdego kraju patrzéć trzeba ze stanowiska jego ewolucyi politycznéj; Francya jest w innéj fazie ruchu społecznego, niż inne państwa europejskie i dlatego tak trudne jest odnalezienie logicznego kryteryum dla wstrząśnień, które w ostatnich latach, a właściwie od stu lat przechodzi; dlatego w wielkim chórze głosów, krytyk i sądów, które się odezwały po dymisyi Perier'a taka panuje chwiejność podstaw, taka niewiara we własne opinie. Wśród tego chaosu jedno zdaje się być pewném. Jesteśmy może świadkami dawno przygotowywanéj zmiany frontu demokracyi. Stanowczy jéj rozdział na starą i nową, z dość przeciwnemi zasadami i dążeniami, rysuje się teraz tak wyraźnie, jak nigdy. Ideałem nowéj demokracyi przestał być człowiek samopomocy, systematyczny i uczciwy dorobkiewicz, umiarkowany obywatel umiarkowanych przekonań, wspinający się stopniowo po szczeblach drabiny społecznéj do jéj szczytu. W takiéj postaci nie budziłby on może bardzo skrajnéj nienawiści, gdyby go w biegu do kapitału nie zdystansował kolega, którego celem jest renta, a w biegu do godności i zaszczytów nie przebierający w środkach karyerowicz, z zapomnieniem o innych celach prócz własnych. Ci zasłonili tamtego, a masy, do subtelniejszych rozróżnień albo niesklonne, albo niezdolne, ćwiczone przez agitacyę w szkole doraźnych określeń i sądów — znają jednego tylko przeciwnika – kapitalistę, który powinien, według nich, zapłacić wszystkie rachunki epoki.

Powołanie Feliksa Faure'a na prezydenta rzeczypospolitéj jest jednym z najwyraźniejszych objawów przemiany demokratycznéj. Ten sumienny pracownik, garbarz i kupiec, statystyk i pozytywny polityk, dobry ojciec rodziny, zawdzięczający wszystko własnéj pracy powitany został przez opozycyę urąganiem i szyderstwem. Rzecz inna, czy Faure dorósł do stanowiska, ale widać, że walka stronnicza mąci jasność sądu, a złowrogi okrzyk: „precz ze złodziejami!" — nabiéra tak fatalnego znaczenia, jak za Henryka VIII w Anglii: „precz z papistami!" lub za Konwencyi: „precz z arystokracyą!" Ci ludzie nie widzą w Faurze swojego człowieka, lecz nienawistnego oportunistę. I napróżno zapewne pierwsze jego przyrzeczenie głosi opiekę dla „słabych i poniżonych", bo dawne nadużywanie słowa publicznego we Francyi odbiéra jego słowom wiarę i powagę.

Takie są plastyczne zmiany w ustroju i pochodzie demokracyi francuskiéj, przez ostatnie wstrząśnienia bardzo wyjaśnione. Dawna walka arystokracyi z demokracyą nie odbija się w stosunkach fakty-

cznych żadném echem; teraz toczy się dyskusya między starą a nową demokracyą. Sukcesorowie dawnych uprzywilejowanych uważani są nawet za dodatni czynnik cywilizacyjny i Tarde przed kilku laty pisał: „Wszelka arystokracya uciążliwą jest tylko w fazie przybywania, podnoszenia się; skoro już przebyła swoje apogeum i chyli się ku odkwitowi, staje się łagodniejszą, skromniejszą, mniéj szkodliwą, owszem pożyteczną. Zostaje zawsze przy niéj hegemonia sztuki, gustu, wyrafinowanéj grzeczności, poczucia honoru, wszystkiego, co się nazywa niedającym się przetłómaczyć wyrazem *urbanitas*. Takiemi były w okresie swego upadku Ateny, Rzym, włoskie miasta, jak również niemieckie i flamandzkie."

Ostatni okres czasu i dymisyę Periera słusznie poczytywać można za jedną ze stacyi socyalnego przełomu, który się odbywa w społeczeństwie zachodniém.

* * *

Sudermann należy do autorów, którym publiczność nasza okazuje zaufanie. Publiczność ufa autorowi wtedy, kiedy wierzy nietylko w trafność i prawdziwość jego poglądów, oraz siłę jego talentu; do téj ufności potrzeba jeszcze pewnego stosunku serdecznego, pewnéj atrakcyi moralnéj między autorem a jego słuchaczami, czy też czytelnikami. Ta atrakcya i wzajemność rozstrzyga bardzo często o popularności autora. Największe zalety umysłowe i pisarskie, wysoki nastrój ducha, nie zastąpią takiego stosunku. To nam dostatecznie tłómaczy ów codzienny w piśmiennictwie objaw, że ludzie średnich lub miernych zdolności cieszą się wziętością tłumów, kiedy często pierwszorzędne talenty nie mogą wcale liczyć na uznanie, a nawet bezstronność swoich współczesnych i pozostaje im tylko apelacya do następnego, lub jeszcze dalszego pokolenia. Możnaby ten objaw, który potwierdzają wszystkie epoki ruchu umysłowego, wyrazić tak, iż pisarze utalentowani mogą, przy innych warunkach sprzyjających, znaleść uznanie i sławę u współczesnych; pisarze o wybitnéj oryginalności umysłowéj, dostępują tego wyjątkowo tylko.

Im więcéj umysł krytyczny czy twórczy ma punktów zetknięcia ze swojém otoczeniem, wspólnych uczuć i zwyczajów, tém większe posiada widoki rozpowszechnienia własnych wyobrażeń swoich, które go od otoczenia różnią, i na odwrót, im mniéj posiada punktów wspólnych, a więcéj oryginalnych, tém niepewniéjsze widoki ich rozpowszechnienia, bo różnica między nim, a otoczeniem jest zbyt istotną i wielką, bez atrakcyi wzajemnéj. Te wyobrażenia nie mogą wówczas

stać się monetą obiegową, którąby krążyła wśród ogółu i rozpowszechniała idee oryginalne. Zadanie takie bierze dopiéro na siebie czas.

Stendhal, z całą zapewne świadomością tego prawa, pisze swoje książki dla „kilku szczęśliwych" i przepowiada należyte ich zrozumienie za pół wieku, co się też ziściło.

W naszych czasach, kiedy reklama dziennikarska, a nawet uliczna, stała się tak silném narzędziem powodzenia i dosięga chyba kulminacyjnego punktu, przypisują jéj moc wyśrubowywania zręcznéj mierności do stopnia wielkiego rozgłosu. I niepodobna téj natrętnéj przekupce odmawiać potężnego znaczenia handlowego, chociaż dodać trzeba, iż rozdmuchuje ona instynkty i upodobania tłumu, płynąc z nim w jednym kierunku; nie byłaby jednak w stanie działać przeciwko naturze tych instynktów. Tak głęboko najlepiéj urządzona reklama nie sięga. Przechadza się pod ręką ze Straussem i Offenbachem, i jednocześnie opowiada o braterstwie z muzami na Parnasie, bo czelna to baba, kłamstwa się nie lęka i swoich ludzi zna. Trudnoby jéj było jednak protegować wobec klienteli swojéj Sokratesa i dlatego woli wieńczyć Offenbacha. To téż szczwany wyga w lepszéj jest z nią zażyłości od apostoła.

Lecz wróćmy do Sudermanna, którego ostatnią komedyę „Walka motyli" grywają z powodzeniem w teatrze. Powodzenie sztuk tego autora w Warszawie jest stałe, wskutek nietylko jego talentu, ale i zaufania publiczności, o czém była mowa. „Walkę motyli" pod względem napięcia siły i idei trzeba uważać za słabszą od poprzednich dramatów Sudermanna. W „Honorze" widzieliśmy śmiało i krytycznie podjętą myśl o względności tego uczucia wśród różnych warstw społecznych; w „Końcu Sodomy" patrzyliśmy na upadek pięknych natchnień artystycznych pod zgubnym wpływem destrukcyjnych pierwiastków, toczących tak zwane towarzystwo współczesne; nareszcie w najlepszym dramacie tego autora „Gniazdo rodzinne" został świetnie ujęty antagonizm między patryarchalnym domem rodzinnym, a dążącą do niezależności jego córką. Każda z tych sztuk była bardzo żywotną przez swoje odpowiedniki w rzeczywistości, przez pierwszorzędne temata społeczne i psychologiczne, które z uderzającą prawdą rozwijała, przez ogólno-cywilizacyjną skalę nareszcie, dzięki któréj temata te zarówno drgają życiem w Berlinie, Wiedniu i Warszawie. W każdéj z tych sztuk, nad tłem realném, czy jak chcą realistyczném, nad mocnym fundamentem faktów świeciła rozleglejsza idea twórcza i społeczna. W „Walce motyli" tło i fakta pozostały te same, to

jest prawdziwe i żywotne, lecz brak właśnie perspektywy, brak idei, którąby rzucała światło z góry.

Tutaj mamy tylko ścisły, ograniczony obraz, szczelnie zamknięty w ramach sceny; tam patrzyliśmy na duże bogactwo pierwiastków i myśli, które z tych ram sięgały daléj. Skala zadania obyczajowego, napięcie siły twórczéj i krytycznéj nie pozwala nawet porównywać ostatniéj sztuki Sudermanna z poprzedniemi, które stanowiły cykl powikłań i starć życia, bardzo doniosłych i dojrzałych, i w formę dramatyczną z wielkim talentem ujętych.

Nie znaczy to, ażeby ostatnia sztuka Sudermanna pozbawiona była wartości; chodzi tylko o określenie jéj skali w porównaniu z poprzedniemi. Wartość bezpośrednią posiada, jako odbicie stosunków rzeczywistych na tle walki o chléb, suknię, trzewik i bogatego męża, walki i gry, w któréj stawką jest uczciwość człowieka i godność kobiéty. Tę walkę można łączyć z innemi żywiołowemi zagadnieniami epoki, czy to społecznemi, czy moralnemi, i wówczas otrzymujemy sztuki z szerokim zakresem, z przebłyskami poezyi, z tętnem dyalektyki, z polotem talentu, wzbijającego się po nad szarą prozę dnia i do takich właśnie sztuk przyzwyczaił nas Sudermann w trzech swoich dramatach; można także ograniczyć się tylko do obserwacyi téj walki, do odtworzenia procesu życia, nie sięgając po uogólnienia i temata, i wówczas otrzymujemy „Walkę motyli”, w których matka trzech córek (wdowa po radcy), nie posiadająca określonych środków do życia, a dużo próżności, czyni wszelkie wysiłki, ażeby się utrzymać na pozycyi towarzyskiéj, do któréj, jak sądzi, dała jéj prawo przeszłość i fałszywa ambicya. Hergentheimowa jest pospolitą matką dwóch pospolicie zepsutych i jednéj uczciwéj córki, zarabiającéj na utrzymanie tamtych, gdy sama znów jest wyzyskiwaną przez kupca motyli, dla którego je maluje, także pospolitego skąpca i samoluba. Autorem intrygi w téj smutnéj komedyi jest znów pospolity blagier, z niepospolitą chyba bezczelnością, z wielką dozą przebiegłości, pośredniczący między kobiétami a skąpcem, bo jest kochankiem jednéj z córek wdowy i chce ją wydać za syna swego pryncypała. Ten jednak wybrał uczciwą Rózię.

Cóż więc tę sztukę, pełną pospolitych ludzi i wypadków, chroni od pospolitości? Znajomość życia, prawda obserwacyi, talent autora. Musi go chyba posiadać, jeżeli z tak powszedniego materyału robi rzecz niepośledną. Przeciętny autor sceniczny nie potrafiłby z tego tematu nic nad banalność wykrzesać. Ale Sudermann nie napróżno widocznie żyje w Niemczech współczesnych, gdzie wielorakie czynniki sprawy społecznéj wchodzą nietylko do parlamentu, ale

i do dramatu. Z jego żywych, choć smutnych sztuk, przeglądają rozmaite węzły tego powikłania, co czyni go żywotnym i wynosi po nad mniéj lub więcéj uzdolnionych techników scenicznych.

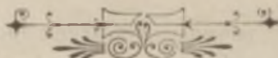
* * *

Prasa ruska podaje wiadomości o komisyi, utworzonéj przez rząd, dla reformy lub zmiany przepisów o cenzurze wydawnictw i gazet zagranicznych. Oprócz delegatów różnych ministeryów, do udziału w komisyi wezwani będą akademicy, profesorowie uniwersytetu i przedstawiciele prasy. Do ambasadorów i posłów zagranicą posłane będą zapytania, które z wydawnictw tamtejszych winny podlegać cenzurze. Według informacyi czasopisma „Ruskaja Žizń”, reformy te mają na celu, ażeby gazety polityczne i wydawnictwa naukowe abonenci odbiérali bez cenzury.

* * *

Pierwsza sesya rady gospodarstwa wiejskiego w Petersburgu została przez p. ministra rolnictwa, A. S. Jermołowa, otwartą. Z programu sesyi wyłączono dwie ważne sprawy: o miejscowych organach tego ministeryum i o kredycie melioracyjnym. Minister w mowie swéj zaznaczył, że pierwsza kwestya będzie rozpatrywana przy ogólnéj reformie ministeryum; co zaś do drugiéj, to została już opracowana i będzie wniesiona do rady państwa. W mowie téj zasługuje na uwagę ustęp następujący: „Wszystkie rodzaje przemysłu wiejskiego, wielkiego i drobnego, dominialnego i dzierżawionego, szlacheckiego i włościańskiego, stanowią przedmiot jednakowéj troski rządu, albowiem rolnictwo nie jest przedmiotem tego lub innego kierunku polityki, lecz stanowi sprawę powszechną, zasadniczy fundament bogactwa racyonalnego.”

B. Lut.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Января, 1895 г. — Druk Jana Cotty

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *W. Preyer.* **Rozwój umysłowy dziecka** od pierwszych dni życia, oraz wskazówki do czynienia obserwacyi dla rodziców i wychowawców. Przekład d-ra *M. Flauma.* Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 200.
2. *Paweł Giraud.* **Opowiadania historyczne. Grecya.** Życie domowe i publiczne Greków. Przełożył *J. L. Popławski.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 387.
3. *Czesław Pieniążek.* **Szare godziny.** Wydanie 2. Krak., nakł. G. Gebethnera i S-ki, 1894, 8-vo, str. 2 7 z rysunkami.
4. . *Dzierżanowska* i *St. Sempołowska.* **Zbiór zadań arytmetycznych.** Liczby całkowite. Warsz., nakł. G. Sennewalda, 1895, str. 113.
5. Dr. *Szczęsny Kudelka.* **Burak cukrowy** i jego uprawa. Wydanie 3. Warsz., nakł. G. Sennewalda, 1895, 8-vo, str. 180.
6. **aty** naszych ogrodów. Opis i hodowla kwiatów gruntowych. Przez *Edmunda* . e 3, z 410 figurami. Warsz., nakł. Gustawa Sennewalda, . VIII + 531 + IV.
7. **Obraz literatury** powszechnéj w streszczeniach i przykładach ułożyli *Piotr Chmielowski* i *Edward Grabowski.* Zesz. III. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1 8-vo (161—240).
8. *Ludwik Straszewicz.* **Fantazye.** Petersburg, u Grendyszyńskiego. 1895, 8-vo, str. 123.
9. **Poturczeńcy** (1683—1684). Opowiadanie przez *Kajetana Kraszewskiego.* Petersb., nakł. Grendyszyńskiego, 1895. 8-vo, str. 139.
10. *Teofil Lenartowicz.* **Wybór poezyi.** Z portretem autora. Petersburg, 1895 str. 354.
11. **Historya barzo ucieszna** młodzianom i pannom przystojnéj miłości hołdującym gwoli... roku 1665. Wydał *Jan Łoś* (Pomniki piśmiennictwa polskiego, wydawana przez Jana Zakrzewskiego). Petersb., u Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 5.
12. **Z dziejów możnéj rodziny.** Kartka historyczno-obyczajowa. Przez *Kajetana Kraszewskiego.* Krak., druk Anczyca, 1894, 8-vo, str. 36.
13. *Klemens Junosza.* **Czarne błoto** (Pająki wiejskie). Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 393.
14. *Lew. Wallace.* **Ben-Hur.** Opowiadanie z dni Mesyaszowych. Wyd. nowe. Warsz., Gebethner i Wolff, 1895, 8-vo, t. I, str. 301; t. II, str. 364.
15. *Maryan Gawalewicz.* **Dusze w odlocie.** Z pamiętników młodego lekarza. Nowela z ilustracyami Lindemana. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, str. 169.
17. *Archibald Geikie.* **Geografia fizyczna.** Uzupełnił i poprawił *Józef Morozowicz.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, str. VI i 194 z drzeworytami.
18. **Scriptores rerum polonicarum.** Tom XV: Analekta rzymskie, wydał dr. *Józef Korzeniowski.* Krak., nakład Akademii um., 1894, str. LXIV i 357.
19. **Sprawozdanie komisyi fizyograficznej.** T. XXVIII. Krak., nakł. Akademi 893, str. XXXVII, 249 i 266.
19. *Henryk Sienkiewicz.* **Pójdźmy za nim!** Przełożył na język ruski *W. M. Ławrow.* Moskwa, 1895, str. 56 (cena 4 kop.).
20. **Wieś polska** pod względem prawnym od wieku XVI do XVIII przez *Bolesława Ulanowskiego.* Krak., w księgarni Spółki Wydawniczéj, 1894, 8-vo, str. 44.
21. **Simonis Starowulscii**... elenchus operum..., collectus a *Theodoro Wierzbowski.* Warsz. 1894, 8-vo, str. 31.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwlaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.

